

**FRANS EEMIL  
SILLANPAA  
Słońce Życia**

**SŁOŃCE  
ŻYCIA**



**T Ł U M A C Z Y Ł A  
CECYLIA LEWANDOWSKA**

**WYDAWNICTWO  
POZNAŃSKIE**

Tytuł oryginału fińskiego  
*ALAMA JA AURINKO*

Opracowała graficznie  
*KRYSTYNA HAŁASZYN*

## POWRÓT DO RODZINNEGO DOMU

Syn wraca w rodzinne strony. Wraca w chwili, gdy właśnie na zboczach rozbłysło na nowo przebudzone lato. O nadejściu lata mówi wszystko: drzewa, pola, sklepienie nieba.

Syn widzi już z daleka, że jedno skrzydło drzwi do^mu jest na oścież otwarte; wytwarza to wokół zagrody szczególnie nastrój, ale wracający nie zważa na to zupełnie. W krokach przybysza wyczuwa się wahanie, jakby nagle cel jego wędrówki przesunął się dalej. Gdy jest już zupełnie blisko, zatrzymuje się jeszcze raz, odwraca się i rozgląda po okolicy, jakby chciał uciszyć niepokój płynący z otwartych drzwi: „Spokój! Spokój! Cóż z tego, że wracam?”

Po trzech stopniach wstępuje na ganek i przed wejściem ogląda się raz jeszcze. Przez rozwarte drzwi sieni widać matkę. Krząta się po kuchni. Jest więc w domu! Matka! Synowi nasuwa się wiele słów -- ale mówi tylko:

-- Dzień dobry!

Matka odpowiada na powitanie, lecz nie przerywa roboty. Nie zbliża się do syna, on także do niej nie podchodzi, ale się odwraca, idzie do izby, zamyka za sobą drzwi i już za pierwszym oddechem ogarnia go zawsze ta sama, swojska atmosfera rodzinnego zakątka.

Gdy w taki cudowny dzień połowy czerwca syn wraca do domu, do matka, aby spędzić u niej lato, z początku czai się w nim niepokój. Właśnie dlatego przystawał

tak często po drodze. Teraz ma przed sobą tak wspaniale nieodmienne w swych nastrojach liczne szczegóły obrazu rodzinnych stron. Właściwie nie wie, któremu z nich przede wszystkim dać się z powrotem wciągnąć. Rozgląda się wokół, upaja się wszystkim, spragniony, i już po godzinie ma wrażenie, że wieki minęły od chwili, gdy usiadł tu na bujającym fotelu...

Bezwiednie zaczyna nucić fragment jakiejś melodii, która odpowiada jego nastrojowi, a wszystko dookoła zdaje się słuchać przychylnie. Przez oba szczytowe okna na ścianę wielkiego pokoju pada blask wieczornego słońca. Za jednym z bocznych okien chwieją się kwiaty kruszyny. Zdają się namawiać, by rzucił okiem na zbocza. Spojrzenie chłopca, jakby zachęczone przez chwiejące się kwiaty, ogarnia rozległą dolinę, dumną ze swej urody, swoich zboczy, zagród i z nieba, które nad nią zawisło.

Długo patrzył na ten krajobraz poprzez kiście kwiatów, kruszyny i nie przestawał nucić z cicha melodii, która tak bardzo odpowiadała jego nastrojowi. Uciszonymi zmysłami wyczuwał niejako woń młodej zieleni, a tykanie zegara zdawało mu się ciągle coś powtarzać. To bezustanne powtarzanie wprawiało powoli przybysza w stan, za którym wzdychał. Na moment uświadomił sobie, jak niesłychanie proste jest życie i byt. W tym odkryciu zamknęło się na chwilę wszystko: tykanie zegara, życie krzewiącej się trawy, błoga melancholia dnia... i on sam. Jak gdyby w jego głębi ktoś przytaknął: „Tu jest teraz moje miejsce!” i jak gdyby to stwierdzenie wyjaśniało i rozwiązywało całą zagadkę bytu.

Jest lato. Syn dawnej gospodyni na Malkamaki, Elias, wrócił do domu i od tego zaczyna się letnia baśka, bajka, która mimo wszelkich posepnie brzmiących nut, jest owiana blaskiem poezji. To ona, niczym ptasie gniazdo, kryje się wśród kwitnących zarośli. Atmosfera

wczesnego lata pełna jest wielkich i drobnych tajemnic. Wesoło śpiewają ptaki, kukają kukułki, pachną kwiaty, a w najgłębszej tajni tego wszystkiego kryje się tajemnica...

W dalszym ciągu kołysze się bujający fotel, a głos chłopca wznosi się często do najwyższego dyskantu. W tym błogim nastroju Eliaz żyje od dnia wczorajszego. Można by powiedzieć, że to ciągle ten sam dzień, ta sama długa godzina, która może się skończyć tylko w jeden jedyny sposób. Gdy wczoraj wieczór pożegnał się ze swymi kolegami, nie od razu wrócił do siebie. Najpierw poszedł na wzgórze, z których roztaczał się widok na miasto, zamknięte niejako między niebem, ziemią i morzem. Ten obraz miasta był dla niego czymś bardzo bliskim, zrozumiałym, znał tu każdy szczegół. O świcie ruszył w drogę do domu, ale nadal trwała krótka godzina wczorajszego wieczora.

Na widok matki zrodziło się w nim nagle jakieś bliżej nieokreślone uczucie dla niej. Teraz siedział na bujającym fotelu i czekał. Cekał na wieczór, na miękki mrok nocy. Z pamięci wynurzyły się obrazy pełne urzekającego powabu: hen daleko rysuje się horyzont, z tamtego miejsca na zboczu może spoglądać w dół ku zagrodzie, widać stamtąd dach domu i ścieżkę wiodącą do spichlerza...

Serce zabiło mu mocniej, gdy zbudzony ze swych rozmyślań, dostrzegł przez okno, że ktoś nadchodzi. Ktoś się zbliża! Słychać wyraźnie kroki. Wycofał się pośpiesznie do komory. Stał przez chwilę i czuł łomot własnego serca. Cekał, jak czeka się na strzał. Teraz słychać już głos...

Chwila, gdy popatrzył przez okno na nadchodzącą dziewczynę, pozwoliła mu zauważyć zmianę, jaką ubiegła zima wycisnęła na jej twarzy i spojrzeniu.

## WIOSNA LYYLI Z KORKEE

Tej wiosny śnieg stajał szybko. Zima minęła niby sen. Zniknęła nagle i od razu wydawała się równie daleka jak wszystkie poprzednie.

Dla Lyyli zima przeszła zupełnie niepostrzeżenie. Zdawało jej się, że trwała tak krótko jak sen. Po prostu zbudziła się pewnego ranka, by nagle odkryć, że wiosna już nadeszła. Wprawdzie oczy dziewczyny dostrzegały, co się działo w przyrodzie w ciągu ostatnich tygodni, ale nie poświęcała tym zjawiskom baczniejszej uwagi niż wszystkiemu innemu, co ją otaczało. Przez długie tygodnie ubiegłej jesieni miała zatruty spokój i tylko ronione ukradkiem łzy przynosiły ulgę. Potem zapanowała w chacie zimowa cisza. Praca przy kołowrotku i inne rozliczne zajęcia, których nie brakowało w domu od szarego ranka aż do wieczornego zmierzchu, swą jednostaj-nością tłumili w Lyyli wszelkie uczucia, a przez to samo chroniły przed wstrząsami.

Raz usłyszała, że to święto Matki Boskiej Gromnicznej, kiedy indziej, że to dzień Zwiastowania Marii Panny; w owym dniu w południe podłoga izby i parapet okna zajaśniały wesołym blaskiem. Ta błyszcząca plama w osobliwy sposób zbudziła na nowo dawny, bardzo dawny nastrój z dziecinnych lat, wspomnienie, które, jak się zdawało, odpłynęło już daleko w czas i przestrzeń... Przepęliło to Lyyli rzewną melancholią, a jednocześnie roztkliwiło i, kiedy zabierała się z powrotem do roboty, ogarnęło ją przyjemne uczucie, było jej lżej, raźniej, jak gdyby wyplakała swoje zgryzoty, ale to przelotne rozbłyśnięcie światła u schyłku zimy, choć zjawilo się tuż przed wielkimi oczami dziewczęcia i odbiło się w smutnym ich spojrzeniu, w najtajniejszym zakątku serca nie zdołało rozbudzić na nowo tego, co utonęło w łzach, wylewanych skrycie w ciągu mrocznych

tygodni jesieni z powodu uczucia, które nią wówczas całkowicie zawładnęło. Znalazłszy się przypadkiem sama w pokoju, Lyyli patrzyła króciutką chwilę na jasną plamę światła, a potem dalej przędła wełnę.

To jednak, co nie mogło dokonać się w dzień marcowy, stało się pewnego dnia kwietniowego.

Przez całą zimę Lyyli przędła wełnę, przygotowując ją do tkania. Gdy szpule były już pełne, warkot kołowrotka ustał, a zaczęło trzeszczeć motowidło. Dziewczy na nawinęła na nie gotową przędzę z obu szpuli, po czym smukłymi palcami związała razem cewki. Ramię motowidła zostało przyciśnięte do dołu. Motek przędzy ześliznął się na przegub ręki, owinął miękko dookoła, a następnie został złożony w koszu wiklinowym obok drzwi do komory przedsionka. W kwietniu góra przędzy wyrosła ponad kant kosza. Matka już parokrotnie zauważyła przy okazji, że wkrótce będzie chyba dosyć przędzy, więc czas pomyśleć o farbowaniu. Wreszcie pewnego środowego wieczora Lyyli przeżyła chwilę cichej radości: wiedziała, że motek, który właśnie nawija, jest już ostatni tej zimy.

Do wieczery miała jeszcze dla siebie wspaniałą wolną godzinę. W gasnącym z wolna świetle dnia obchodziła bez pośpiechu podwórze. W końcu zatrzymała się u węgła domu od strony izdebki. Stała niby nieoczekiwana zwiastunka zbliżającej się wiosny. Z całej jej postaci było widać, że nawet teraz, gdy tak wędrowała dokoła, w gruncie rzeczy nie próżnowała. Z twarzy, i rąk, nawet z fałd fartucha zdawała się promieniować cicha skrzętność, jakby dziewczyna była przesiąknięta nastrojem pracowitości panującym w mieszkalnej izbie.

Podobny wieczór kwietniowy wyczarowuje wszędzie na ziemi rozliczne zjawiska, które trwają tylko jedną, jedyną chwilę, a potem zaraz przeobrażają się w nowe, odmienne. Często nie dostrzega ich w ogóle nikt

i nic, chyba jedynie zamierający odblask dnia, który je za sobą zostawia.

Na podwórzu stoją osiki, strojne w pękające pąki kwiatów, które na fioletowym tle nieba rysują się jak szarordzawe plamy. Ten przepych błyszczących barw w przezroczystym jak kryształ powietrzu kwietniowego wieczora jest pierwszą prawdziwą zapowiedzią wiosny. Dookoła wszystko jeszcze spoczywa nie upiękzone: szara ziemia, chrust świerkowy, zesłoroczna zwiędła trawa. Hen daleko widać wieś i jezioro, pokryte ołowianoszarym lodem, po którym nie można już jeździć. Czai się tam melancholijna nuta wiosennego nastroju, jakby zamierająca zima rzuciła stamtąd, z dołu, spojrzenie ku przewiewnym koronom osik i ku stojącej pod nimi dziewczynie. Jakby chciała jej przypomnieć minione miesiące i teraz, w chwili pożegnania, wzbudzić choć na chwilę uczucie żalu. We wzroku dziewczyny maluje się istotnie nawrót tęsknoty. Zima... zima... -- myśli. Oczy jej rozszerzają się. Na wspomnienie, jak bardzo była w ostatnim czasie samotna, wstrząsa nią dreszcz. Ale świadomość tego zdaje się być jednocześnie zdobytym skarbem i -- podobnie jak głęboki sen -- potęguje uczucie siły, która jest czasem ciężka i żalosna. Może się bowiem zdarzyć, że gdy minie cierpienie, wybuchnie wolno płynącymi łzami... Teraz jednak spojrzenie Lyyli pada na kielkujące żyto i jego błyszcząca zieleń przepełnia duszę dziewczyny pokrzepiającą otuchą. W tejże samej chwili, jakby dla pogłębienia tego uczucia, w łaźni, gdzie właśnie rozpalono ogień, zapłonął wesoło płomień.

I nagle dziewczyna uświadomiła sobie, jak swojski i uroczy czar zawisł nad zagrodą i domem. Rozradowanymi oczami powiodła dokoła; cieszył ją każdy szczegół ścian domu i wydeptanych schodów. Miała wrażenie, że ktoś ukrywał się przed nią tuż blisko, a teraz wabi ją



ku sobie. Ten ktoś był wszędzie, gdzie tylko spojrzała, ;ile czując uważne spojrzenie jej pięknych oczu, natychmiast znikał.

Po drugiej stronie domu panował w dalszym ciągu północny chłód. Okno komory spoglądało przed siebie bez wyrazu, przypominało człowieka, który nie gniewając się na nikogo, pragnie, aby go na razie zostawiono samego. Nie docierało do niego światło dnia na zachodzie. Spoczywało więc poza ciepłymi promieniami wieczornego słońca, którego blask padał na ścianę domu od podwórza. Wokół cała kraina zwróciła swe oblicze ku zachodzącemu słońcu. Tylko na nie patrzyła, nie chcąc odwrócić spojrzenia.

W miarę jak zapadał zmierzch, wieczorna czerwień błyszczła coraz czystiej, powietrze stawało się coraz przejrzystsze. Łyse korony osik, okalających zbocze wzgórza między Korkee a wsią i jeziorem, rzeźbiły się zimno i wyraźnie na przezroczystym niebie. Las schodził aż do wąskiego cypla, gdzie kończył się paroma rozłożystymi wierzbami. Z daleka ich piękne, pochylone kształty przywoływały na myśl wytworne postacie ludzkie, które odłączyły się od bezimiennego tłumu drzew. Rozciągająca się nad wierzbami szara powłoka lodu była o kilka tonów jaśniejsza, za nimi zdawało się dziać coś niezwykłego, czego zaledwie dalekim odbłaskiem był nastrój panujący tu wysoko, w zagrodzie. Para szpaków ćwierkając pofrunęła w tamtym kierunku. Wzbiła się tak wysoko, że promienie zachodzącego słońca złociły ją od spodu. Miało się niemal wrażenie, że to ich pieśń przybrała w tym złotym blasku widzialną postać.

W tym czasie jednak pięknooka dziewczyna z Korkee siedziała już na małym stołeczku przed paleniskiem łaźni. Płomienie oświetlały z boku jej twarz i migotały małymi punkcikami światła w jej oczach, które poprzez szyby okna wpatrywały się, nieruchome, w przejrzysty

wieczór. Zdawała się być snem zapomnianym po wieczne czasy. Dym wypełził niemal całkowicie z łaźni, nad głową zamysłonej dziewczyny snuł się welon pary jak lekka, jednostajna zasłona, aby później wysliznąć się niepostrzeżenie przez otwarte drzwi. Ogień płonął tak równomiernie i cicho, że najczujniejsze ucho nie zdołałoby uchwycić jego trzasku. Nie docierał żaden dźwięk, nie było widać niczego, co by zakłócało spokój. Zdawało się, że wszystko stara się zatrzymać uciekającą chwilę, przemawiając do niej nieuchwytnym szeptem. W górnym kącie jednej z czterech szyb okna widać było małego, trójkątnego motyla, którego nieruchome kontury rysowały się na tle nieba. Siedząc przed paleniskiem łaźni, Lyyli zaczęła sobie uświadamiać, że wiosna już nadeszła. I nagle przez jej ciało przepłynęło ciepłe uczucie przebudzenia. Nieświadomie oderwała wzrok od okna i zwróciła go na płomień dogasający na palenisku. Mrok zgęstniał tak bardzo, że blask ognia był silniejszy od dziennego światła i drgał przed piecem jasną plamą. Za oknem niebo przybrało zielonkawą barwę. Na szybie nadal trzepotał się motyl.

Skończyła się więc długa zima. Poprzedzająca ją jesień też była beznadziejna. Teraz przed nią beztrroski, w pełni zasłużony czas, który z pewnością będzie czasem radości. Przyszły jej na myśl niedzielne potańcówki i stroje, zabawy w jasne noce lata, chłodna, skąpana w rosie trawa, mnóstwo rzeczy, o których marzy już od dawna, ale których dotychczas jeszcze nie przeżywała... -- Jestem już dorosłą dziewczyną. Mam osiemnaście lat. Vainó skończył dwudziesty pierwszy. Wałęsał się już ubiegłego lata. Ten z pewnością wie wszystko! Marta i Saima są jeszcze małe. Przypominam sobie dobrze, jak się urodziły... Wiem już niejedno, co im nawet nie przychodzi do głowy.

Lyyli ogarnęło nagle nieznanne dotąd uczucie. Oczy

jej zapłonęły. Nie mogła odwrócić wzroku od błyszczącego żaru. Ona również instynktownie chciała zatrzymać uciekającą chwilę. Zaczęły się jej nasuwać okropne myśli, przedstawiały się rzeczy, o których przedtem nigdy nie myślała, o których nie wiedziała, czy są dobre, czy złe, brzydkie, czy piękne.

Do łaźni weszła matka, aby przygotować kąpiel. Popatrzyła zdziwiona na córkę. Nie rzekła ani słowa. Obrzuciła tylko Lyyli spojrzeniem i pracowała dalej. Lyyli jednak miała uczucie, że matka dostrzegła w niej coś tajemnego. Podniosła się i wyszła na podwórze.

-- Odlej wodę i nałóż wszystkim ziemniaki! -- zawołała za nią matka.

Gdy Lyyli zbliżała się do domu, nad podwórzem snuło się jeszcze coś z poprzedniego nastroju, ale jej zdawało się, że przeżyła ten nastrój dawno, w zimie. Objęła wzrokiem las na zboczu i usiłowała wyobrazić sobie, jak wygląda teraz w głębi. Powietrze było rześkie, osiki otulał już cień. Wieczór, który się zbliżał, niósł z sobą chwilę nieznanego, głębokiego skupienia.

Ze środka domu dochodziło bezustanne, jakby senne pogwizdywanie Vainó. Był zatem sam. Wrócił już z roboty. Lyyli weszła do domu. Na płycie czernił się garnek z ziemniakami. Saima stała oparta o kuchnię i wpatrywała się w płomień. Wszystko było takie znane, powszednie, takie jak zawsze, a przecież Lyyli znowu opanowało wrażenie, że wróciła jakaś dawno miniona chwila z jej dzieciennych lat. Drażniło ją trochę, że to, co widzi, jest takie pogodne, właśnie takie, jakie jest. Czemu Saima stoi, zatopiona w myślach, i nie odzywa się? Czemu Vaino siedzi sam w izbie i pogwizduje w mroku? Dlaczego wygląda na tak dorosłego i doświadczonego? Czemu nie ma jeszcze ojca i Marty? Czy nic ich nie spotkało? Wkrótce będzie można położyć się do

łóżka. Wkrótce będzie można leżeć i myśleć w zupełnej samotności. Człowiek czuje się wtedy taki bezpieczny...

Na razie jednak nic się nie stało. Wszyscy zjedli wieczerzę i poszli do łaźni. Najpierw gospodarz i Vaino, potem Lyyli i młodsze siostry. Matka Ełina nie brała dziś kąpieli.

Jak zwykle, wszystkich ogarnęło znużenie po dniu pracy. Tylko że dzisiaj przy posiłku i kąpieli obeszło się bez zapalenia lampy. To stało się zapewne przyczyną, że po kolacji nie udali się od razu na spoczynek, ale najpierw trochę porozmawiali. Gawędzili o nowych dzierżawcach w Malkamaki. Mówili także o wdowie po poprzednim użytkowniku, która sprzedała prawo do dzierżawy. Jak wynikało z rozmowy, była daleką krewną matki Eliny. O jej synu, Eliaszu, nikt nie powiedział ani słowa. Wspominano go w ogóle rzadko, w dodatku

-- bardzo ostrożnie, jakby obawiano się poruszyć drażliwy temat. W tej wieczornej rozmowie rodziny na zagrodzie Korkee wyczuwało się tajony przymus. Nikt nikomu nie przeczył. Zmierzch zdawał się dziwnie uroczysty.

I później nic się właściwie nie zdarzyło. Bo czyż można nazwać zdarzeniem, że tu i ówdzie ktoś z młodych spoglądał dłużej niż zwykle w niebo, z którego przez całą noc nie ustąpił słaby blask? Każdy, kto to czynił, sądził w danej chwili, że jest sam jeden na świecie, myślał o swych najtajniejszych sprawach, które mógł bez lęku poruszyć jedynie w podobnych chwilach

-- całkowitego spokoju, kiedy czyste sny pogrążonych w spoczynku bliskich zdawały się uświęcać powietrze. W takich chwilach wzrok wędruje z łóżka ku oknu i w końcu odkrywa gdzieś daleko, niczym coś, co budzi i i/oczucie, bladą gwiazdę, w której iskrzeniu zdają się odbijać dawne, dziecinne wyobrażenia o aniołach i nie-lic Wokół tej najtajniejszej sprawy wyobrażenia snuje

H

długi szereg zdarzeń, które po promieniach wzroku wędrują w daleki świat bladej gwiazdy. Cicho mija noc. Dookoła słychać równomierny oddech innych ludzi, jakby bezustannie potakującą odpowiedź na głos, który od wieków oznajmia z wyżyn coś radosnego. Raz po raz migoce słabo odkryta gwiazda, zbliża się niby spoglądające pilnie oko. Poprzednie przeżycia, dawne, jak i te najświeższe, ale już minione, usuwają się w cień i wydają się bardzo znikome, a sen, który jeszcze dziś wieczorem napawał lękiem, wznosi się teraz promienny ku gwiezdnemu blaskowi.

...Wrócił więc dziś wieczorem do domu. Mówi mi to jasne niebo... Wrócił i śpieszył do mnie właśnie wtedy, gdy stałam na podwórzu... To jego śmiejące się radośnie myśli unosiły się nad zboczami, nad wierzchołkami osik, myśli, których nie udało mi się schwytać... Ach! teraz nadejdzie. Teraz wymawiam jego imię, głośno i wyraźnie... teraz: Elias! Elias!... Czeką na wzgórzu. Zbliży się. Już go widzę... „Dobry wieczór, Lyyli!” -- To ja się tak nazywam...

Lyyli ogarnął niepokój. Podniosła się i opierając się na łokciu, wyjrzała przez okno. Wydawało się, że na dworze jest w tej chwili jaśniej niż wówczas, gdy szła na spoczynek. Obok oddychała Saima. Słyszała także oddech drugiej siostry i odczuła to jako upomnienie, że i ona ma się położyć i zasnąć. Nawet szyby okienne patrząc na nią zdawały się przytakiwać: „Tak! tak przystoi! Tak, tak przystoi!”

Pożegnała jasną noc, położyła się i zamknęła oczy. Młody Elias, przedmiot jej rozmyślań, nie czekał się już tam, na dworze; czuła jego obecność wszędzie w powietrzu otaczającym łóżko. Nie otwierała oczu, a jednak miała wrażenie, że patrzą wzajemnie na siebie... -- „Lyyli, Lyyli, wkrótce nadejdzie lato, całkiem niezadługo... postanowiliśmy... Oh!... już na jesieni...” -- I tak

trwało nieprzerwanie dalej w błogim śnie do samego świtu.

Tak to owego kwietniowego wieczora i następnej nocy Lyyli czuła, jak w radosny nastrój przebudzenia wślizguje się ukradkiem nuta melancholii. Wewnętrzny instynkt szeptał jej już ubiegłej jesieni, że w tej najtajniejszej dla niej sprawie kryje się załazek grożącego jej nieszczęścia. Potem jednak, pogrążona w długim zimowym śnie, zapomniała powoli o przelotnych przeżyciach ubiegłego lata. Przyszło jej to łatwo w zimie, gdy wszystko spoczywało, zdrętwiało, bez ruchu, tak że wprost trudno było uwierzyć w życie, ukryte pod powłoką śniegu. A przecież i wtedy nawet wątłe źdźbło trawy nie zatraciło swej siły wzrostu. Nadeszła wiosna i natychmiast ustąpiło sztuczne odrętwienie dziewczyny. Bezwiednie zaczęła się budzić do życia ta część jej istoty, która przepelniała ją całą blaskiem niepojętego, dzikiego, nie znanego dotąd szczęścia. Intuicja ostrzegła ją, że to szczęście jest właśnie zwiastunem przyszłych zgryzot. Daremnie jednak próbowała je w sobie zdławić. Na próżno usiłowała odsuwać swe myśli jak nałdziej od tego imienia. Wiosna zaskoczyła ją znienacka. Uczucie szczęścia, niby gwałtowny nurt, wzięło nad nią górę i zwyciężyło. Wszystkie jej zmysły opanowała miękkość. Ustąpiła i w tę kwietniową noc powtarzała cicho jego imię. Był to bardzo niebezpieczny czas, z każdą bowiem nocą zbliżało się lato, a z chwilą, gdy raz osłabła, nie mogła się już dłużej opierać. Poddawa się, utraciła swą dziewiczość. Zabrała ją wiosna.

Lyyli miała uczucie, że powietrze wokół niej rozszerza się coraz bardziej, a jej własne życie uchodzi z piersi i rozplywa się w coraz przejrzystszy prze stworzu, gdzie bije silniejszym, pełniejszym tętnem, podobnie jak cały świat stawał się rozleglejszy. Nie zasklepiła się już w swej żałości, bo dzień w dzień ogrze-

wały ją ciepłe promienie słońca. Pierzchyły wszystkie posępne troski. Nie czuła już lęku przed tym imieniem. Pełna pożądaniami, oczekiwała tego, co miało nadejść, ale jednocześnie była spokojna; wiedziała, że to wewnętrzne opanowanie bezustannie wzmacnia jej siły. Ten okres gwałtownych uniesień odbijał się na jej zewnętrznym wyglądzie. Pewnego dnia wścibska Marta zaczęła robić wyraźne aluzje, co na policzkach starszej siostry wywdało żywy rumieniec. Dni płynęły tymczasem coraz prężniej, jeden za drugim. W ciągu miesiąca Lyyli tak rozkwitła i tak się inaczej poruszała, że sama dostrzegła tę zmianę w spojrzeniach rodziny, a we krwi czuła dziwnie błogie dreszcze.

Obcy również zwrócili na to uwagę. Pewnego majowego dnia Lyyli poszła do kościelnej wsi po przędzę na osnowę, potrzebną jej do tkania. Wracła do domu o zmierzchu, mijając kolejno jedną chałupę po drugiej. W jednej z nich siedziały trzy kobiety, kołysząc koniuszkami palców filiżanki z kawą. Były tak zajęte plotkowaniem, że zawsze któraś siedziała z na wpół otwartymi ustami, czekając tylko na chwilę, gdy dwie pozostałe zaczną pić kawę i dopuszczą ją do słowa. Koniec końców tamte przytykały usta do filiżanki i trzecia mogła wreszcie opowiadać... Ale właśnie w owej chwili ktoś przechodził drogą. Pierwsza z kobiet, która łyknęła trochę kawy i chciała właśnie postawić filiżankę z powrotem na stole, spostrzegła przechodzącą i podbiegła do okna. Druga, wciąż z filiżanką w czubkach palców, podążyła za nią chyłkiem, ale tamta już zawróciła.

-- Zdaje się, że to dziewczyna z Korkee -- rzekła.

Dwie pozostałe stały nieprzytomne, wlepiając oczy w przechodzącą Lyyli. Rozmowa urwała się i kobiety były zawiedzione, bo zdarzenie nie nastęczało im okazji do plotek. Wszystkie dawno już nie widziały Lyyli z Korkee, nic też o niej nie słyszały. Nie było o

czym plotkować. Inne tematy również się wyczerpały.

Lyyli także spostrzegła kobiety. Serce jej zabiło mocniej, z dumą. Zrobiło się jej nagle żal tych kobiet, których życie było takie ubogie. Ona sama miała wrażenie, że cały świat spoczął u jej stóp. Czuła, że jej kroki pieszczą ziemię. Po raz pierwszy tej wiosny, a raczej lata, dookoła niej przepływało przez powietrze ciepłe tchnienie. Rozchylające się pączki tworzyły na krzakach przejrzystą siatkę liści, która z daleka wyglądała jak zawieszona w powietrzu. Wśród listowia brzęczał trzmiel. Był jeszcze jasny dzień. Przez chwilę zdawało się nawet, że słońce rozbłysło silniej. Nagle przypomniała sobie, jak w sklepie we wsi trzepotał się brązowy motyl, uderzał skrzydłami o ścianę, a potem wyleciał na swobodę. Było to gdzieś koło południa. Ranek pozostał już daleko za nią, a słońce stało jeszcze ciągle wy soko na niebie. W południe ukrywało się przed oczami ludzi za swym wielkim, dalekim blaskiem. Teraz blask z wolna przygasał i wzrok mógł spotkać się z roześmianym obliczem złotej kuli, która zdawała się patrzeć na człowieka z nieopisanie wesołą surowością.

Przez całą powrotną drogę Lyyli myślała o własnych sprawach, zupełnie jakby te myśli podsuwał jej otaczający ją krajobraz, jakby z pogranicza nieba i ziemi spoglądała ku niej jakaś żywa istota, dla której nic z jej życia nie było tajemnicą i która godziła się na wszystko, a przez to samo wabiła ku sobie. Była w tym świadomość ogromu tego świata i przecucie jeszcze większych przestrzeni. W czasie tej wędrówki Lyyli zrozumiała, że teraz nareszcie zacznie dorastać. Przypominały jej się znowu spojrzenia w oknie chałupy, znaczący wyraz, jaki ostatnio dostrzegła na twarzach swoich najbliższych w domu, i ogarnęło ją spokojne uczucie pewności siebie.

Kiedy weszła do rodzinnej zagrody, zobaczyła kotki osik, unoszące się w powietrzu niby kłębki waty. Nie-



które już opadły i leżały w młodziutkiej trawie. Spostrzegła je dopiero teraz, po powrocie do domu. Oznaczały coś, co już minęło. Na jeziorze migotały zmarszczki fal. I to spostrzegła dopiero teraz. Daleko w polu kołysał się łan żyta, kłosa były już dość długie, a barwa ich -- nieco zmatowiała. Lyyli mimo woli pomyślała o kwietniowym wieczorze w łaźni i poczuła, że coś już zostało przeżyte do końca. Jakże wszystko w ostatnich czasach było zawile, cudownie zawile! Każdy dzień, nie! -- każda godzina była odmienna od poprzedniej i znikała natychmiast hen, daleko. W takich chwilach rodzinna zagroda i jej otoczenie wydawały się również tak niezwykle małe i tak bardzo już swojskie, zbyt dobrze znane. Z młodych brzózek padał bezustannie żółtozielony deszcz. Stały w swej najpiękniejszej szacie puszystych kotek. Lyyli jednak miała uczucie, że ich piękność jest czcza, bo nikt nie zwraca na nią szczególnej uwagi. -- Po tamtej stronie wzgórz wieczór upływa z pewnością wesoło... Westchnęła w błogim zamyśleniu i weszła z przędzą do komory.

W domu panowała cisza. W pewnej jednak chwili usłyszała matkę.

-- Czy syn gospodyni wrócił już do domu? -- pytała.

To przyszedł ktoś z Malkamaki. Chyba Taave.

-- Jeszcze nie, ale powiadają, że wróci w piątek -- brzmiała odpowiedź.

Myśli Lyyli kołysały się jakby w takt piosenki: „W sobotę wieczorem, w sobotę wieczorem, w sobotę, w sobotę wieczorem”. A więc i w domu można spędzić przyjemnie wieczór! Zupełnie jakby przywędrował wraz z nią swobodny, wesoły nastrój wioski i czekał, podobnie jak ona, snując się po domu. -- Teraz jednak zostanę tu. Dziś wieczorem nie pokażę się nikomu wię-

cej. Rada bym tylko zobaczyć, jak też obecnie wygląda Taave.

W izbie można było usłyszeć, jak Lyyli wyszła z komory i zbliża się do drzwi.

-- Dobry wieczór! -- powiedział Taave.

Lyyli stała bez ruchu. Taave podniósł się i wyciągnął rękę. Potem matka zaczęła ją wypytywać o kupioną przędzę. Pozostali siedzieli milcząc. Wśród ogólnej ciszy Taave pożegnał się i ruszył z powrotem do Malkamaki. Gdy rodzina została znów we własnym gronie, odrętwienie zniknęło. Po dłuższej chwili odezwał się Vainó, wypowiadając to, o czym myśleli wszyscy:

-- Do Malkamaki przyjechała podobno bardzo szykowna dziewczyna. Aaaa! -- ziewnął szeroko, a potem dodał jeszcze: -- No, zobaczymy.

Nikt nie miał już nic więcej do powiedzenia. Lyyli stała, wyłączona z kręgu rodzinnego. Ujrzała nagle przed sobą coś zupełnie nowego, coś, co wymusiło na jej wargach przekorny uśmiešek. Rozśmieszył ją Taave, którego podejrzewała, że jest gdzieś w pobliżu, markotny, iż przejrzała go Lyyli z Korkee. Doprawdy, różne się teraz dzieją rzeczy. Co to wszystko może znaczyć?

Noc była bardzo jasna. W zagrodzie zdawał się panować w dalszym ciągu nastrój, który Lyyli przyniosła z sobą z wioski.

Tej nocy jednak, podobnie jak i następnej, córka go spodarzy na Korkee spała tak spokojnie, jak już dawno jej się nie zdarzyło. Sama zresztą nie wiedziała, czy śpi, czy czuwa, ale czuła się pełna sił. Jej młoda krew długo się burzyła. Teraz płynęła wartkim strumieniem, ale spokojnie. A wokół niej rozwijała się coraz bujniej przyroda. Wszędzie strzelała szerokolistna trawa, tworząc niejako scenerię dla rozedrganego oszołomienia, jakie ogarniało cały świat. Stare gałęzie kruszyny, przystrojone w kwiecie, wyglądały odświętnie. Bujne, rosnące

pojedynczo krzaki przypominały wielkie bukiety. Chciało się przycisnąć je do piersi i zespolić z nimi we wnętrzu. Patrząc na nie z bliska, odczuwało się bezwiednie nieprzepartą chęć, aby uklęknąć i ucałować łono ziemi, z którego ssały żywotne siły. Na wzgórzach połykiwało już kilka plam suchej ziemi, rozsiewającej delikatny zapach. Tam też zjawily się pierwsze kwiaty poziomek.

W tym czasie jednak dziewczyna z Korkee nie zwracała zbytniej uwagi na to wszystko. Sama rozwijała się i rozkwitała wraz z otaczającym cudem tworzenia. Była niejako częścią środowiska. Nie zwracała też uwagi na stan własnych uczuć. Nie ukrywała go również przed innymi. Było wiele słów, które wymawiali ludzie nie przeżywający tego, co ona, działo się wiele rzeczy, o których rozmawiali, a którym ze swej strony Lyyli nie poświęcała ani jednej myśli, podobnie jak Ewangelii, którą matka czytywała w niedzielę. Dla niej takim słowem była miłość. Nie wiedziała, co znaczy. Ledwie że przypominała sobie w te dni o owym pełnym znaczenia imieniu, a może nie zdawała sobie sprawy, że o nim jedynie myśli. Znajdowała się w stanie jakiegoś zamroczenia, ale było jej z tym dobrze. W ciągu dwóch dni, od rana do wieczora, snuła się na ramach nic z kłębka. Trzeszczenie ramy wydawało się tajemniczym szeptem, przerywanym przez tłumiony śmiech. Dziewczyna przysłuchiwała mu się z zaczerwienionymi policzkami. Nie mogła oderwać myśli od słów Taavego, od ludzi, o których poprzedniego wieczora mówił ziewając Vainó. Pochlebiali jej próżności, że dała wówczas tak mało posłuchu temu, do czego robił aluzje Taave. Biedny chłopak!

W środę naciągnęła osnowę na krosno. Okno stało otworem. Na podwórzu śmigaly znowu jaskółki.

— Powinienem iść do Malkamaki -- rzekł Vainó.

— Po co? -- spytała siostra.

-- Powiniennem tam pójść, aby pożyczyć dla ciebie grzebienia tkackiego -- podkpiwał brat.

Siostra nie odezwała się słowem, nie spuszczała jednak oczu z wtyczek, które zakładała między krzyżaki.

Cały czwartek i piątek zeszyły jej na naciąganiu osnowy'na płochy. Na tym minął jej również wieczór piątkowy. A potem, jakże rozkosznym uczuciem było przytulić tego wieczora głowę do poduszki. Gdy patrzyła w okno, miała wrażenie, że na dworze jest zimno, a tymczasem, wręcz przeciwnie, wieczór był bardzo ciepły. Nic nie zaprzętało jej myśli i wkrótce zasnęła.

W sobotę rano skończyła naciąganie. Następnie przygotowała sobie posłanie w spichlerzu. Vainó również przeniósł się już do komory przedsionka. Potem przebrała się. Przez cały czas miała uczucie, jakby świadomie przygotowywała się do czegoś zakazanego. Coś ją gdzieś bezustannie ciągnęło. Wreszcie, wreszcie wybiła godzina, kiedy mogła wyjść z domu... aby pożyczyć grzebienia tkackiego.

■-- Zaproś Eliasza, żeby zaszedł kiedy do nas -- rzekła matka.

-^ A czy w ogóle wrócił już do domu? -- spytała obojętnie córka, idąc dróżką od spichlerza do furtki w parkanie.

-- Słyszałaś przecież sama, że wczoraj wrócił -- rzekła matka.

■-- Nie słyszałam -- odparła córka nie obejrzawszy się. Szła drogą, nie zwracając najmniejszej uwagi na pełen serdecznego ciepła hołd, jakim tę wędrownkę zda wała się uświetniać ziemia.

W Malkamaki weszła do położonego w dolinie domu, w którym mieszkała dawna gospodyni. Powiedziała: „Dzień dobry!” i przedstawiła swoją prośbę. Pozdrowiła także syna, Eliasza, który siedział wesół i rozmowny i

patrzył na nią przekornie. W końcu gospodyni poszła na strych po grzebień. Eliasz był w tym momencie w alkierzu, ale natychmiast wrócił do izby. I oto nadeszła chwila, krótka, błaha chwila, na którą jednak pewna piękna dziewczyna czekała bezwiednie przez całą zimę, a potem z pełną świadomością przez całą wiosnę. Oczekiwanie, pełne podniecenia, uczyniło ją w końcu skrytą i zamkniętą w sobie. Było lato, ciche i ciepłe.

W drzwiach ukazał się chłopak z płonącymi oczami. Dziewczyna zwróciła ku niemu wzrok. Wyraz jej oczu był niezwykły. Można by rzec, że gorzej w nich serdeczna nienawiść. Podszedł do niej zupełnie blisko, a ona spojrzała na drzwi, jakby czekała na kogoś.

— Jak ci się wiodło? -- spytał. Słowa nie miały tu znaczenia, tylko głos pełen był wyrazu. Chłopak wziął dziewczynę za rękę.

— Dziękuję, dobrze -- odparła i roześmiała się głośno.

Swobodna dłoń dziewczyny spoczęła na przegubie jego ręki. Wolnym ramieniem objął ją. Stali przytuleni. Chłopak przypominał leśnego drapieżnika, który słyszy w gąszczu podejrzany szelest. Jakby od drzwi zagrażało im niebezpieczeństwo. Rozległy się kroki nadchodzącej gospodyni. Sposobna chwila przepadła.

-- Ten jest może trochę za rzadki... Jak mówiłaś? Bierzesz sześć, czy też osiem płoch?

Lyyli z Korkee wracała do domu. Miała wrażenie, że lato zaczęło się już dawno, bardzo dawno temu... W rękę trzymała pożyczony grzebień. Ach, doprawdy, jakże piękne wydawało się jej teraz życie! A przy tym nawinęła już przędzę i zabrała się do tkania. Nie do wiary! Czyżby słońce chyliło się już ku zachodowi? Lyyli sądziła, że nigdy już, nigdy więcej nie będzie mogła zasnąć. W letni wieczór, który był coraz chłodniej-

szy, wracała do domu, do Korkee, z powrotem do Kor-  
kee, z powrotem do Korkee.

## POCZĄTEK

Poemat letni zaczyna się. Ukazana już została sceneria przyszłych wydarzeń: gęsto zalesione brzegi, wzgórza i woda, a dookoła osiedla, ukształtowane przez ludzkie instynkty. Wewnątrz nich i dla nich -- bezustanna krzątania i zapobiegliwość ludzi; współzycie i zagadnienia, które odzwierciedlają pradawne dążenia człowieka. Wszystko to od wieków rozgrywa się pod sklepieniem nieba, nieodmiennie, podobnie jak od wieków dzień przeobraża się w wieczór, a zima w lato. Teraz jest znów lato, wieczór letni, a Lyyli z Korkee, młode stworzenie, opuściła właśnie Malkamaki.

W letni wieczór nikt nie spieszy się na spoczynek tak wcześnie, tak od razu. Zatrzymuje się wpierw, waha, przedłuża chwilę odejścia... I później, gdy tchnienie północy tłumi wszelkie szmery i drgnienia, tak że nie słychać już ani muzyki, ani tańców w dali, a tylko otwieranie drzwi, gdy ktoś wchodzi albo wychodzi, stoi się jeszcze na murawie podwórza albo też siedzi się na przyzbie domu i spogląda na rozległy krajobraz i daleki widnokrąg. One także zdają się posiadać jakby świadomość. One także zdają się na kogoś czekać.

Zagroda leży pośrodku opadającego na południe zbocza rozległej, długiej doliny. Nad nią wznosi się niewielkie wzgórze z paroma krzakami i samotną jarzębiną. Pod jarzębiną kamień. Ze wszystkich stron spojrzenie biegnie bezwiednie do tej jarzębiny i kamienia. W wiosenny wieczór ich kontury rysują się ostro na niebie. Można sobie wtedy wyobrazić, że kamień i drzewo spo-

glądają na południe, gdzie wzdłuż jeziora ciągnie się pasmo wzgórz, wrzynające się w wodę szerokimi cyplami. Hen daleko cypel, na którym kołyszą się już wspomniane poprzednio iwy, wydłuża się. Tamta okolica jednak należy już do innej wsi, która ku pięknym iwom na cyplu spogląda tak samo jak Malkamaki na jarzębinę i kamień.

Przez tę okolicę wije się droga w swym letnim, odświeżonym przybraniu, urozmaiconym jak wesoła gawęda. W pewnym miejscu rozcina wzgórze wilgotna kotlina, gdzie wśród bujnych paproci, przypominających wachlarze palm, sączy się zimny strumień. Zda się, że w tym miejscu połknięta przez ziemię droga zbliża się do wędrowca, jakby chciała mu powiedzieć, że zna jego myśli, zamiary i cele. Nie straszy jednak psotami bojaźliwego przechodnia, mruga tylko na niego porozumiewawczo i dalej wiedzie go spokojnie pod górę, skąd już niedaleko do pierwszej szarej chaty.

Ale oto słońce sobotniego wieczora zachodzi. Robi się chłodno i wilgotno. Atmosfera pracowitego tygodnia rozplywa się i ulatnia. Zaczyna się noc przedświąteczna.

Trawiasta łąka Malkamaki opada ku zachodowi, niżej zamyka ją żywopłot z bzu, ulubione miejsce wróblích pogwarek. Szeregi okien obu domów mieszkalnych wychodzą na podwórze. Z wyglądu okien można się domyślić, jakie izby kryją się za nimi.

Jeden szereg okien ma obramowanie białe, drugi --■ czerwonawe. Szereg białych znajduje się wyżej i wygląda okazałej. Tam wysoko mieszka obecny gospodarz na Malkamaki z żoną i córką, której na imię Olga. Przemierzając podwórze Olgę najłatwiej śledzić z okna mniej okazałego szeregu. Czasem, gdy dziewczyna przypadkiem nie czuje, że jest obserwowana, można nawet zobaczyć jej oczy. Są chyba szare, ale brwi i rzęsy czar-

ne. Ich cień tworzy jakby lekki welon, spod którego pada twarde, niczym nie wzruszone spojrzenie, z łatwością przyciągające ku sobie inne, słabsze.

Jeśli panna z Malkamaki zmierzy swym spojrzeniem spotkanych na drodze do wsi dwóch wyrostków, to później, gdy zostaną sami, nie wiedzą, o czym mówić. Gdy tylko przybyła do Malkamaki, zerknęła przelotnie na młodego parobka, Taavego, który na ogół miał się za chwata. Przyszła jej po prostu ochota strzelić oczkiem, podobnie jak silny, zdrowy człowiek odczuwa czasami potrzebę przeciągnięcia ramion. Taave natomiast już pewnego wieczora wylewał po kryjomu łzy, kiedy panna po drugiej stronie podwórza przestała śpiewać. Co prawda, czytał właśnie romans.

Taki to był los małego Taavego, na którego Olga z Malkamaki spojrzała przelotnie, podobnie jak patrzy się na różne zjawiska przyrody, chociażby na ogniki, które hen daleko na pustkowiach to rozbłyskują, to gasną. Zdarzyło się to podczas uczty, którą wyprawiano z oka zji wprowadzenia się do zagrody nowych gospodarzy. Od tej pory upłynęły już dwa miesiące wiosny. W tym czasie panna zdążyła już zmienić wiosenny kostium na letnią sukienkę. Stało się to dzisiejszego ranka.

Pierwszy wieczór lata, który się właśnie rozpoczyna, nie upoważnia do zrezygnowania z krótkiego opisu scenerii na Malkamaki. Są ludzie, którym los, wprowadzając ich w nowy krąg, nie oszczędza próby sił... Samo po wietrze zdaje się wywoływać pewne ponad miarę intensywne rojenia o tym wszystkim, co ma się zdarzyć w najbliższych miesiącach -- gdy z dnia na dzień wzmagać się będzie potęga słońca, której niepodobna się oprzeć. Niemniej na obliczu wieczornej godziny tli się także radosna iskierka, migoce w oczach młodzieńca wymykającego się na nocne spotkanie. Gdybyś się go spytał, co daje mu błogie oszołomienie zmysłów, spojrzałby tylko,



jak młode drapieżne zwierzę, i nie rzekłby ani jednego słowa. Zda się, że próbuje potajemnie siłę swych mięśni i, dumny ze swego paska i dewizki przy zegarku, pogwizdując schodzi ku zagrodzie... Wokół panuje cisza, w której kryje się oczekiwanie. Syn dawnej gospodyni z Malkamaki, Elias, przybył również niedawno w te strony i od razu uległ wiosennemu nastrojowi. Widziano go, jak stał na podwórzu, gdy Lyyli odeszła.

## PIERWSZA NOC LATA

Droga wychodząca z Malkamaki zaczyna się pod kilkoma klonami i zaraz potem skręca w lewo, aby obejść strome zbocze. Zakręt ten obejmuje plantację chmielu, a za plantacją widać szczytowe okno szarego domu. Dom ten ze swymi oknami o sześciu szybach i schodami o drewnianych słupkach balustrady jest bardzo staroświecki i w nim właśnie króluje dawna gospodyni, matka Eliasza. Ledwie tego popołudnia zdążyła powitać wracającego do domu syna, a już do obojga przyszła w odwiedziny dziewczyna i kiedy matka była na strychu, aby przynieść stamtąd grzebień tkacki, w izbie na dole dwoje młodych zdążyło się nawzajem uściskać.

Stara gospodyni nie domyślała się tego, podobnie jak nie wiedziała o łańcuchu zdarzeń, który się tu zamknął, zazębając swe ogniwa. Któż zresztą, widząc uprzejmy uśmiech, z jakim Lyyli rozmawiała z matką młodzieńca, mógł przypuszczać, że ta śliczna, osiemnastoletnia dziewczyna leżała na swym łóżku w jasną noc kwietniową i nie mogąc zasnąć wpatrywała się w gwiazdę, poddawała się rozkołysaniu nie znającym granic w czasie i marzyła właśnie o młodzieńcu, który teraz tu stoi i oddycha tym samym powietrzem, co ona?  
Stara

gospodyni, którą dorodny syn napelniał skrytą dumą, była uprzejma dla córki swej siostrzenicy i gdy wręczała jej grzebień, zdawała się jednocześnie błogosławić całą robotę na krosnach. Kiedy jednak Lyyli odeszła, stara kobietę ogarnął niezrozumiały niepokój, ale nie przyszło jej do głowy, że może to mieć jakikolwiek związek z dziewczyną.

A może to uczucie promieniowało z Eliasza? Ledwie bowiem usłyszał zbliżające się kroki matki i odsunął się od dziewczyny, opanowało go dziwne zniecierpliwienie. Stał na uboczu i obserwował, jak Lyyli, trochę bledsza niż poprzednio, rozmawia z jego matką. Z całego serca pragnął teraz jednego: by Lyyli co rychlej odeszła. Dziewczyna, oczywiście, nie przeciągała odwiedzin. Podała niepewnie rękę najpierw matce, potem Eliaszowi. Ten uścisk dłoni zdawał się uściskiem obcego, niezdecydowanego człowieka, z którym chciałoby się rozstać możliwie jak najprędzej. Tak też się stało -- Elias odwrócił się i wyszedł do alkierza.

Tam usiadł z powrotem na sofie, utkwivszy oczy w okno. Czuł, że płoną mu oczy, a wzrok błąka się przenikając poza rzeczy widzialne, jakby chciał się uwolnić spod wpływu ciasnego, krępującego go otoczenia, albo też jakby chciał dać temu otoczeniu możliwość swobodnego uczestnictwa w wędrówkach jego duszy. W tej chwili samotności mroczna komora i zarysy zbocza, widoczne z niskiego okna, były dużo bliższe sercu Eliasza niż córa lasów, która odchodziła, wspinając się ku horyzontowi. Można ją było również śledzić patrząc przez boczne okno pokoju. Z innego miejsca podążał za nią także wzrok mężczyzny, który zażywał właśnie błogiego wypoczynku sobotniego wieczora. Tu jednak, w alkierzu, czas włókł się powoli, sekunda po sekundzie, a siedzący w rogu sofy młodzieniec uświadamiał sobie jedynie bicie własnego tętna. Było coś niedorzecznego w

przeżywaniu uciekającego wieczora w podobny sposób. Życie nie było puste. Poprzedniego dnia o zmierzchu, stojąc na wzgórzu, patrzył na wieże, dachy i strzelające w jasny przestwór nieba wierzchołki drzew. Potem wrócił do miasta i zgiełkowymi ulicami dotarł do drzwi swego mieszkania. W ten ostatni wieczór wiosny zatrzywał się przy nich na chwilę. Wydało mu się, że gładki bruk pustej ulicy wygląda w tym oświetleniu dziwnie pociągająco, jak młoda, rozbawiona mieszkanka miasta... To było wczoraj wieczorem. O tej porze roku jednak ziemia jest zasobna, promieniuje swymi skarbami, przenikając do zmysłów człowieka, gdziekolwiek się on znajdzie. Gdy zapadnie wieczorny mrok, nie wiadomo, skąd to promieniowanie właściwie płynie, ale wypełnia całą przestrzeń. Znad łąki podnosi się wilgotna mgła. Pośrodku łąki wije się powolny strumień. Z daleka wygląda zupełnie zwyczajnie. Kiedy jednak zejdzie się niżej i położy wśród kopców trawy na brzegu, to patrząc na strumień z bezpośredniej odległości, można by powiedzieć, że to jakiś olbrzymi owad. Wystarczy jednak podnieść się, a strumień stanie się z powrotem najzwyczajnym w świecie strumieniem, i tylko palce cuchną szlamem. Nad wszystkim unosi się nastrój letniej nocy. Nie widać ani jednego osiedla ludzkiego, ale tam, w głębi, schodzi ku strumieniowi spróchniały parkan. Dziwnie pomyśleć, że żył tu niegdyś człowiek, który pewnego dnia go postawił.

Zbliża się godzina dziesiąta. Eliasz przesiedziawszy dłuższy czas na szczycie dachu rodzinnego domu, ze szedł na dół, stanął przy węgle i spoglądał na południe. Najwyższy czas na niego! Przeszył go dziwny dreszcz. Coś w nim bezustannie szeptało: „Nie pójdziesz tam?” -- Ale inny głos podsuwał niby dalsze wyjaśnienie: „Dokąd właściwie miałbym iść...! Nie! Lepiej posłu-

chać. jak gwizdże drozd!" -- Ile w tej ciszy kryje się życia, choć mogłoby się zdawać, że śpiewa tylko ptak. W każdym z tych domostw śpią ludzie. Przedtem widziałem jeszcze kilka wracających z łaźni kobiet w chustkach. Co im się teraz śni? Czy matka poszła już spać? -- Zagroda Korkee -- tak, to ją widać.

Taave z Malkamaki był sam jeden w domu. Wiedział dobrze, że nikt do niego nie zajrzy, pozwolił więc bujać swym myślom w atmosferze całkowitej swobody sobotniego wieczora. Wróciwszy z łaźni, położył się na łóżku i z głową opartą na ręku puścił wodze fantazji. Wiedział, że nikt nie przyjdzie, a jednak -- nie przyznając się do tego nawet przed sobą -- czekał cierpliwie na coś czy na kogoś. Zegar ścienny tykał monotennie, a szerokie drzwi izby, zamknięte i nieruchome, zdawały się zachowywać w pamięci chwilę, w której ktoś przez nie przechodził. Klamka niejako wyczekiwała, by ktoś co rychlej położył na niej rękę. Drzwi jednak nie drgnęły, a noc stawała się coraz głębsza. Taave wiedział, co zrobi za chwilę, ale jeszcze się trochę ociągał. Powietrze pustej izby rozszerzyło się i napierało coraz mocniej na niego. Zaczęło delikatnie falować w uszach, budząc wspomnienia z chłopięcych lat. Przypominało jednak nie zdarzenia, lecz nastroje z owego okresu. Ogarnęło go i wzięło w swoją moc uczucie dziwnie bezsilnej niewinności. Potem ukazał się obraz Olgi. Weszła do mrocznej izby i natychmiast skierowała wzrok na łóżko. Jej oczy płonęły porozumieniem. Tu, do mnie!... Tak, tak, tak... Cały łańcuch rojeń, które snuła luzem puszczonego fantazja Taavego, splótnęło się bezwiednie z uczuciem niewinności, które go opanowało. Tajemniczy nastrój urojonego szczęścia omotał swym czarem młodego parob-CZftka. W tej harmonijnej atmosferze szczęścia kryły się jednak i posępne nuty.

W pewnym punkcie rozrzuconego szeroko w dolinie przysiółka stoi zagroda z licznymi zabudowaniami. Śpiewający na wierzchołku dalekiego świerka drozd może ją łatwo dojrzeć. W izbie czeladnej jest dużo mroczniej niż na dworze. W kącie wzdycha właśnie istota imieniem Taave. Ktoś, patrzący na zagrodę z daleka, nigdy by tego nie przypuszczał. Niemniej Taave także potrafi niekiedy śmiać się serdecznie i w zuchwałym podochoceniu wyczyniać na sali tańców przeróżne figle.

Na razie jednak w kącie izby unosiły się dalej sny, osiągnęły swój szczytowy punkt i zaczynały się rozplýwać. Z świadomości Taavego wynurzyło się nagle zdziwienie, jak dziecinne są te wszystkie fantazje. Wzruszył niecierpliwie ramionami, podniósł się i przeszedł parę kroków po izbie. Prawdę rzekłszy, sam nie wiedział, co począc. Skierował się do okna w bocznej ścianie domu i spojrzął na stojący naprzeciw dwór. Do diabła! Niech się raz wreszcie napatrzę do syta! -- mruknął niemal głośno i wlepił ponury wzrok w jedno z okien przeciw ległego domu. To jednak nie chciało zdradzić, co się za nim kryje. Przez cały czas Taave miał wrażenie, że tuż obok stoi jego drugie ja i podkpiwa z niego, ale on w swej przekorze zaprzecza temu drugiemu ja. Wreszcie odszedł od okna. Wahał się w dalszym ciągu. Znow zbliżył się do okna, tym razem szczytowego, wziął do ręki lusterko, otworzył usta i oglądał zęby. Potem odłożył lusterko, zacisnął usta, naprężył mięśnie i zaczął się fechtować w pustym powietrzu. Nagle wybuchnął śmiechem. Tymczasem zapadł już późny wieczór.

Taave bez zastanowienia zaczął się ubierać w swój najlepszy garnitur, choć za chwilę uznał, że jest to całkiem niepotrzebne. Dokąd się wybiera? Gdyby przynajmniej gdzieś w pobliżu była zabawa...

Szedł wzdłuż domu powolnym, pewnym krokiem. Czuł na sobie czyjś wzrok. Zdawało mu się, że wystar-

czyłoby tylko odwrócić się, a zobaczyłby oczy. Obejrzał się usiłując zachować obojętność. Ale nie! Nikogo nie ma!

Nie przyspieszając kroku, minął okno gospodyni, za którym leżał już spokojny, skupiony nastrój nocnego wypoczynku. Trawa była wilgotna. Tu i ówdzie dostrzegał kwiat, którego nie zauważał w ciągu dnia. -- Ciekaw jestem, czy Elias jest w domu... Wrócił przecież dopiero w południe, ale... Zaczął go podejrzewać, że także wymknął się z domu. W pewnej chwili poczuł bezradność, wyobcowanie, ale jednocześnie dostrzegł, że w zagrodzie położonej na skraju przysiółka otworzyły się szeroko drzwi spichlerza. Jakiś mężczyzna wyszedł stamtąd, przeskoczył przez parkan i szybko schodził ku wsi. Taave drgnął, uradowany. Gdzieś jest z pewnością potańcówka! Nucać pod nosem, ruszył rażno w stronę wsi.

Tak to w mroku letniej nocy śpieszą młodzi chłopcy, jeden tu, drugi ówdzie, a drozd-plotkarz wyśpiewuje ich myśli i zamiary.

Drozd nie przerywa swojej pieśni. Do północy jeszcze daleko. Śpiewa w gąszczu świerkowego lasu. Sterczące jeden nad drugim wierzchołki drzew wspinają się na zbocze, u stóp którego sączy się strumień. W kotlinie, pod najniższymi rozpościerającymi się gałęziami drzew, panuje mrok, który może służyć za osłonę. Wystrzelające z tego mroku drzewa nie chcą zdać się wiedzieć, co się kryje u ich korzeni. Wysoko bowiem ze wszystkich stron spływa na rozkwitłe wierzchołki przejrzysta jasność. Tam, na szczycie świerka, siedzi drozd. Szyszki najwyższych zawieszonych gałęzi widzą pokrytą brunatnymi plamami pierś małego pieśniarza, obserwują, jak ta pierś nadyma się w śpiewie. Pod drozdem faluje roz-

chybotane morze igieł, z którego wysuwają się w górę gałęzie z ognistoczerwonymi szyszkami, jakby chciały ofiarować swe skarby niebu. Wszystko razem tworzy popękaną tu i tam powłokę, która chroni przed natrętną ciekawością to, co kryje się niżej, między drzewami. Tam też, w bliskim sąsiedztwie rozspiewanego samczyka, znajduje się drozdowe gniazdo. Przez szparę między gałązkami widać miękki grzbiet i błyszczące oczy samiczki.

To opadające, to wznoszące się wysoko dźwięki pio senki samczyka otulają gniazdo i samiczkę poczuciem bezpieczeństwa. Samiczka czuje się szczęśliwa; przepelnia ją błogością i równomierne ciepło gniazda, i cisza nocy, która pogłębia się z każdą chwilą. Wie, że dopóki noc z zapartym tchem przysłuchuje się trelom samczyka, nic jej nie grozi. Zda się, że samczyk swym bezustannym potokiem dźwięków mógłby utrzymać w bezruchu całe przestworze.

Raptem drzwi otworzyły się z hukiem. W mrok wy toczyły się zgiełk muzyki i rozgwar ludzki, a wraz z nimi wypadło trzech zwartych z sobą wyrostków. Jeden usiłuje wyrwać się możliwie jak najprędzej dwu pozostałym, którzy ciągną go na tyły domu. Jedynymi świadkami tej sceny są tylna ściana domu i daleki widnokrąg.

-- Nie rozumiesz, do licha, że tu nie miejsce dla ciebie? Idź się zabawiać ze smarkaczami! Nie pchaj się między dorosłych!

Tamten, przyciśnięty do muru, stękał, nie mogąc wykrztusić słowa. Rozległo się uderzenie, a potem zapanowała cisza.

Na podwórzu dały się słyszeć zgiełk i rozmowy. Jedna z postaci oderwała się i, prześliznąwszy się koło węgła domu, wróciła na podwórze, druga zniknęła w cie-

niu stajen, gdzie rozgoryczona oczekiwała zadośćuczynienia od tego, co jeszcze mogła przynieść noc.

Wszystko to jednak było jedynie przelotnym wstrząsem odczutym tylko w jednym punkcie nieskończoności. Jasnooka noc była pogrążona w głębokim śnie i nawet nie zauważyła, co się zdarzyło. Drozd skończył swoją pieśń. Nadeszła bowiem zwykła pora jego spoczynku.

Taave nie miał ochoty pokazywać się swemu towarzyszowi, gdy ten wrócił ze swych porachunków z kolegami. Punkt szczytowy został przekroczony. W czasie bijatyki raz po raz ktoś zniknął z sali. Za pierwszymi podążali inni. Taave ruszył samotnie do Malkamaki i dotarł do zagrody drogą, o której istnieniu nie miał dotąd pojęcia.

Tymczasem zabawa taneczna w oddali całkiem przycichła. Losy uczestników, kierowane przez rozliczne niedostrzegalne okoliczności, zaczęły się prząść na nowo albo toczyły się dalej te same.

— Drozd przestał śpiewać -- rzekł Eliasz. -- Słyszysz, dziewczyno? Drozd przestał śpiewać.

— Północ już zatem -- odparła Lyyli nie otwierając oczu.

Tak, owszem, to już północ. Osłabło podniecenie.

Lyyli, wracając owego wieczora z Malkamaki łąkami, znajdowała się przez całą drogę w osobliwym nastroju, o jakim nie miała nawet pojęcia na wiosnę, gdy snuła swe przeróżne marzenia. Kruszyna rozkwitła. Brzozy okryły się już w pełni rozwiniętym listowiem, droga obeschła. Wszystkie te okoliczności zdawały się nawzajem uzupełniać. Harmonizowały z nimi najsilniejsze poruszenia głęboko skrytych zakamarków serca dziewczyny. Zupełnie jakby wszystko czekało od dawna na *tą* chwilę, na ten moment przebudzenia się, i cieszyło się; zawczasu na myśl o dalszym rozwoju. Szczytowym



momentem tej powszechnej radości były jej własne doznania. Nowe przeżycia pchały ją bezustannie naprzód, intuicja zamilkła, nie mówiła, jakiego rodzaju przeżycia ma jeszcze przed sobą. Zdawała sobie jedynie sprawę z tego, że nie mogłaby teraz ani spać, ani jeść, ani też wykonywać jakiegokolwiek pracy. Wszystko to należało do minionego życia i wydawało się jej obecnie niewypowiedzianie blahe, nieistotne i bez znaczenia. A jednak wewnętrzne wzburzenie pchało ją do domu, daleko od Malkamaki. Pieściła w myślach dróżkę na wzgórzu, skąd było widać dach rodzinnej chaty i płaskie podwórze z wydeptanymi ścieżkami. Serce jej biło w dalszym ciągu tym samym oczekiwaniem, w jakim żyła przez ostatnie tygodnie. Krótkie zetknięcie się z Eliaszem zmieniło jednak ton jego pulsowania. Nie pamiętała szczegółów spotkania. Mogłoby się zdawać, że tała przed sobą, iż coś takiego w ogóle się zdarzyło. Gdy dotarła do granicy zagrody i obejrzała się, twarz jej oblał rumieniec.

Na dróżce wiodącej przez las nuciła z cicha jakąś melodię, ale nie zastanawiała się sama jaką. Przed jej błyszczącymi oczami przemykała dróżka, niby żywa istota wiała się wąską bruzdą między ścianami drzew, w cieniu których panował już chłód. Podążała spiesznie swą drogą, ale raptem zatrzymała się niespodzianie, utkwivszy na chwilę ciemne oczy w mroku lasu. Naprzeciw siebie, oko w oko, stały w milczeniu dwa tak bardzo odmienne twory przyrody: odwieczny, bez granic w czasie las, w którego niezliczonych komórkach płynęło niewidoczne, pierwotne, potężniejące z każdym dniem wiosny życie, i istota ludzka, której krew pulsowała bezwiednie rytmem tysięcy poprzednich pokoleń. Przy takim spotkaniu człowiek i las zaglądają sobie w oczy, przeskakują wszystkie ubiegłe okresy, w czasie których tak bardzo się od siebie oddaliły, zaniedbując

wspólnotę, w jakiej żyły pierwotnie. Podobne spotkania zdarzają się; człowiek czuje wtedy instynktownie zarówno pierwotną więź, jak i zawrotną przepaść, jaka wytworzyła się między nim a przyrodą, i choćby nawet przeżywał w takiej chwili radość miłości, przejmują go dreszcz grozy.

Lyyli szła dalej. W pobliżu rodzinnego domu zatrzymała się nad strumieniem i siadła na przybrzeżnym kamieniu. Dobrze znane otoczenie osłabiło napięcie, w jakim się znajdowała. Myśli i wrażenia stały się bardziej zrozumiałe. Przed oczami stanęły: rodzinna zagroda, ojciec i matka, i całe powszednie życie. Za tamtym pagórkem stał dom. A Eliasz?... Wzburzenie Lyyli ucichło, rozkołysane uczucia płynęły spokojniej, łagodniej. Ogarnęła ją nieprzeparta tęsknota za bliskością Eliasza. Pomyślała, a nawet wyobraziła sobie dokładnie, jak później spotkają się gdzieś na wzgórzach. Obraz ten nabierał barw, stawał się coraz wymowniejszy, mamił ją i wywoływał cały łańcuch dalszych, przedziwnie błogich obrazów. We wszystkich uśmiechała się twarz Eliasza. Lyyli odczuwała przy tym zupełnie to samo, co czuje samiczka drozda w gnieździe. Ukryła twarz w dłoniach i poczuła się całkowicie bezpieczna. Bliskość rodzinnego domu przegnała wszelką obcość lasu. Otoczyło ją coś swojskiego, dobrego. Ocknąwszy się ze swych marzeń, długo jeszcze siedziała nad strumieniem i nie podnosząc z dłoni głowy, usiłowała wyobrazić sobie kwitnące dookoła astry, mech i strzelające w górę liście paproci; próbowała odgadnąć, jakie to słowo powtarza się bezustannie w szemraniu strumienia. Potem wstała i poszła dalej.

W Korkee panował znów nastrój sobotni. Pompa U studni, osiki, drzwi spichlerza -- wszystko błyszczało bardziej niż zwykle. Jutro niedziela! Droga schodząca ku wsi zdawała się kryć w- swych zakrętach wesołe

obietnice. Lyyli minęła podwórze i przeszedłszy schody skierowała się wprost do alkierza, gdzie położyła grzebień w głowach łóżka, a potem zaczęła krążyć bez celu po mrocznym pomieszczeniu. W izbie mieszkalnej panował ruch. Szykowano się chyba do kąpieli w łaźni. Skończono właśnie wieczerzę. -- „Dziś nie chce mi się iść do łaźni. Nie jestem również głodna. ”

Sprzątnęła ze stołu, zajrzała do alkierza, a później poszła do spichrza. Weszła wolno do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Mijały godziny. Droga szli jeszcze ludzie. Gdzieś rozległ się łoskot. Leżała wyciągnięta na łóżku. Przez otwarte drzwi docierał do jej uszu każdy szmer, ale ukołysane przez ciszę i pobrzękiwanie komarów zmysły znajdowały się w stanie półsnu, półjawy. Znad łąk i kotliny wznosił się delikatny, chłodny zapach, który wypełnił całe powietrze z zadziwiającą prędkością, jakkolwiek najbardziej wyostrzone zmysły nie zdołałyby wykryć najlżejszego drgania. Leżała na łóżku, a całe jej myślenie i czucie były jakby delikatnie zamglone. Nie dostrzegało się jednak, jak mgła gęstniała, wyczuwało się ją tylko coraz wyraźniej. Dopiero gdy spojrzano się w inną stronę, widać było wyraźnie jej gęste smugi... Lyyli od dawna już czuła wilgotny chłód na ramionach. Od dawna już słyszała szmer przed oknem. Jakby pod naporem cudzej woli, siada i widzi, że firanka w oknie izby jest zaciągnięta. Minął już pewnie szmat nocy. Jej chłód mieszał się z zapachem świeżych liści. Czuła nadpływający z oddali zapach łąk.

Zagroda leżała pogrążona w głębokim śnie, ale z wąskiej ścieżki wysoko na wzgórzu można było dostrzec, że drzwi spichlerza są tylko przymknięte. Jest to błahy lecz pomyślny szczegół, obietnica szczęścia, jaka niekiedy, na pozór nie uzasadniona, może zaświecić na ludzkiej drodze. Z chwilą, gdy podobne obietnice rozpoczynają swą grę, zauważa się je wszędzie. Uszczęśliwio-

na wyobraźnia tropi je i usiłuje przypisywać im znaczenie.

Z krzaków poderwał się z furkotem wielki ptak. To wypłoszony z gniazda cietrzew. Teraz nie słycać już łomotu skrzydeł. A to co znowu?

Dwoje szpiegujących na wierzchołku wzgórza oczu dostrzega przymknięte tylko drzwi. Wyobraźnia podsuwa natychmiast żywy obraz tego, co się znajduje za nimi. W czasie swej wędrówki z Malkamaki Eliaz dostrzegął wszelakie, wielkie i drobne zjawiska letniej nocy, jego uwagi nie uszedł ani kamień, ani sucha gałązka, ani konar, ani ten widok, a jednocześnie przeżywał cierpliwie długie, niemal zastygłe godziny oczekiwania. Kto widzi przymknięte tylko drzwi spichlerza i ma przed sobą jeszcze wiele godzin nocy, nie waha się, pozwala tej szparze w drzwiach igrać ze swoją wyobraźnią.

W tym czasie Lyyli leżała ubrana na łóżku w lekkim półśnie. Niewiele brakowało, by błogie znużenie uspiło ją całkiem, choć wzmagający się chłód przeszywał ją dreszczem. Nagle jednak przebudziła się, jakby jej ktoś przypomniał, że jest już późna noc. Gdy usiadłszy na łóżku zobaczyła w drzwiach murawę na podwórzu, ogarnęło ją uczucie rzewnej serdeczności, jak niegdyś, kiedy była jeszcze małym dzieckiem. Było to przelotne uczucie, które przyszło niespodzianie i zniknęło natychmiast, gdy owiana nocnym chłodem wstała i podeszła do drzwi. Nastrój jej uległ od razu zmianie. Na swe poprzednie wyobrażenia o spotkaniu z Eliazem spojrziała jakby z większego oddalenia... Siadła na progu... O czym właściwie myślała? -- Spotkałam się już z Eliazem. Wziął mnie za rękę. Było to dawno temu... A potem byłam także w izbie... Teraz jest mi dobrze... Nie przyjdzie tu... Doprawdy, jakie to dziwne, gdy noc taka jasna,

a tamci w domu śpią za zaciągniętymi firankami... Vainó znów gdzieś poszedł...

Raptem owionęło ją od stóp do głowy gorące tchnienie wiatru. Wstała i podeszła do parkanu. Zobaczyła, jak hen daleko podnosi się poranna mgła. Usłyszała śpiew drozda. Za każdym krokiem pogłębiał się wokół niej nastrój letniej nocy, a choć znajdowała się w tak dobrze znanym otoczeniu, każdy krok zdawał się ją przybliżać do tajemniczej, cudownej krainy, w której już dawno minęło i zniknęło wszystko doczesne -- dzień i blask słońca. Nie zauważyła jeszcze Eliasza. Ten bowiem, ledwie zobaczył na progu spichrza Lyyli, przysiadł na ziemi i rozkoszował się zapachem, który rozsiewała trawa. Mógł nie oczekiwać dziewczyny. Mógł o niej nie myśleć. I tak przyjdzie.

Przyszła. Spotkali się zupełnie tak samo, jak spotykają się nawzajem w niezliczone noce niezliczone zastępy młodych, oszołomionych swoją po raz pierwszy budzącą się miłością.

Co za wspaniałe uczucie móc się objąć swobodnie ramionami! A jednak było to coś zupełnie odmiennego, niż wyobrażali sobie w skrytości serc. To, co ich teraz najbardziej oszalało, było właściwie błahymi, ubocznymi szczegółami: zapach skóry, woń ubrania, ręka położona na ramieniu lub szyi, palce na podbródku. W ich marzeniach te drobne wątki nie odgrywały nigdy najmniejszej roli. Dostrzegali je dopiero teraz. Młodzieniec właściwie nie całował dotąd kobiety, chyba w wyobraźni, gdy na przykład na ulicach miasta spotykał którąś z piękności o kształtach przyciągających oczy. Dziewczyna w ogóle nie wiedziała o tym nic, nigdy nie słyszała nawet rozmów na ten temat. Ich doświadczenia w tej dziedzinie były więc różne. Eliasza był gotów odważyć się na to teraz. Kiedy jednak to zrobił, odczuł przede wszystkim zadowolenie ze swej śmiałości: tak, więc po-

całował kobietę... Teraz wiedział, jak to wygląda. Oto leży obok niego dziewczyna, którą pocałował. Lyyli natomiast nie rozumiała z początku, o co mu chodzi, potem zaczęła się domyślać i instynktownie stawiała opór. Kiedy jednak to się dokonało, poddała się całą swą istotą błogiemu czarowi, czuła, że w tej właśnie chwili przeobraziła się i stała nowym człowiekiem, którym o władnęło jedno pragnienie: z zamkniętymi oczyma oddać się całą i nie pożądam niczego więcej objąć młodzieńca za szyję. Wszystko dookoła wydawało jej się czymś zu pełnie błahym, bez znaczenia. Czas i przestrzeń przestały istnieć, były nieokreślone jak we śnie. Zdawała się odpychać od siebie ziemię, jakby ta przyciskała się do ciała wbrew jej woli tylko dlatego, że nie mogło być inaczej.

A teraz stało się po raz drugi...

Tym razem Eliazs nie zamknął już oczu. Wręcz przeciwnie, jego zmysły były dziwnie wyostzone i z bacznością uwagą obserwowały najmniejszy szczegół. Przez chwilę uchem chwycił trele drozda, póki spojrzenie nie zatrzymało się na żyłkowaniu źdźbła trawy, a potem na delikatnym zarysie dolnej wargi dziewczyny. Obecna chwila nie wprawiała go już w stan wzburzenia. Nie! Myślał tak jasno, że widząc w swych ramionach dziewczynę z zamkniętymi oczami, miał ochotę roześmiać się głośno. Kiedy jednak uniosła nieco powieki, poczuł, że ogarnia go zachwyty i uśmiechnął się tylko szeroko, aż rozbłyły białe zęby.

-- Ach! Dziewczyno! Dziewczyno! -- wyszeptał, zmuszając ją do ponownego zamknięcia oczu.

Tak to Eliazs i Lyyli przeżyli pierwszą letnią noc swojej miłości, w cieniu drzew na wzgórzu, pod sklepieniem nieba, i wolno im było mieć te same uczucia i wrażenia, które towarzyszą innym niezliczonym parom w podobne letnie noce. Oboje jednak byli święcie prze-

konani, że coś takiego zdarzyło się wyłącznie im. Chłopak słyszał dużo o podobnych przeżyciach i sam nieraz fantazjował na ich temat. Teraz niemógł się oprzeć tajemnemu zdumieniu, że urok spełnienia jest tak prosty. Niemniej czuł się jak ktoś, kto nagle zdobył tak wielkie bogactwo, jakiego przedtem nawet nie wyobrażał sobie... To jest Lyyli. Należy do mnie. Dziewczyna, młode dziewczątko... Odczuwał rzewną tkliwość i kiedy opanowany tym uczuciem przyglądał się rysom dziewczyny, zaczynał się już mimo woli nowy rozdział ich miłości. On jednak ledwie to sobie uświadamiał. Przez dłuższą chwilę leżał bez ruchu i poprzez włosy dziewczyny wpatrywał się w ziemię. Tak mijały godziny młodemu Eliaszowi, póki nie skończył się śpiew drozda. Dopiero wtedy powiedział parę słów, czas był najwyższy, bo wypełniona ciszą przerwa trwała trochę za długo nawet dla niego, gdyż zaczął już myśleć i obserwować sam siebie. Kiedy spostrzegł w swoim zachowaniu wiele sztuczności, przeraził się. Przecież Lyyli mogła to także zauważyć.

Jej szczęście jednak było w dalszym ciągu niczym nie naruszone. Nie zastanawiała się i nie obserwowała; nie ważyła swego szczęścia, lecz oddawała mu się całą kowicie. I jakby dla dopełnienia tego szczęścia z pamięci dziewczyny wynurzyło się wspomnienie miesięcy wiosennych i na tle przeżywanej chwili nabierało właściwego znaczenia.

Dalekimi, spokojnymi oczami patrzyła na to doświadczona jak nikt przyroda, przyjąwszy na się postać letniej nocy. Do jej uszu doleciał właśnie w tej chwili zgiełk dalekiej bijatyki, ale oczy wciąż były wpatrzone w młodą parę. Raptem jednak jakby i dziewczyna usłyszała w jakiś niepojęty sposób bijatykę. Usiadła i powiedziała:

-- Muszę już iść...

A potem ze wzrokiem zatopionym w oczach chłopaka dorzuciła śmiejąc się:

-- Drozd także przestał już śpiewać.

W chwilę później niewielki skrawek ziemi zielenił się, opustoszały. Wczorajszy wieczór dawno już minął, lecz ten, co wyszedł o wieczornym zmierzchu, ledwie zdążył to zauważyć. Na wschodzie ukazuje się słońce nby wilgotna, czerwona, rozdygotana kula. Na skraju moczarów ciągnących się za wsią, widać postać młodego parobka, który z rękoma w kieszeniach i podniesionymi nie co ramionami wędruje szybko przed siebie. Minęły trzy godziny, odkąd pełen zaciętości opuścił salę tańców. Teraz, gdy zbliża się do swoich czterech ścian, ściągnięte rysy jego twarzy łagodnieją. Drażni go budzący się dzień. Kiedy jednym susem przesadza parkan, wywołany tym szmer wstrząsa całym promiennym nastrojem. Mija plantację chmielu i węgiel spichrza i podąży spiesznie na swój strych. Jest już jasny dzień. W kojcu stajni cielę potrząsa uszami. Wreszcie znika w swej kryjówce ostatni nocny łążęga. Teraz i jego- odzież wisi już na ścianie strychu, a w kieszonce kamizelki tyka zegarek. Przez szczelinę zagląda do chłopca różowoczerwony promień światła, nby ostatnie pozdrowienie z jego nocnych wędrówek. Chłopak jednak wsuwa się pod koc. W myślach zamyka strych przed nocną wyprawą z wszystkimi jej przygodami, wtula się niejako w to wyobrażenie i zapada w sen.

Przybierający na sile szczebiot ptactwa brzmi jak chór towarzyszący duetowi ziemi z promieniami słońca. Kukanie kukułki zapowiada niedzielny poranek. Nad placem podwórza Malkamaki śmigają jaskółki, połyskując białymi kamizelkami. Ich ćwierkanie dociera do

.idomości Taavego. Natężenie jego myśli słabnie.

Teraz dopiero uświadamia sobie, że wlepił bezmyślnie w podwórze. Gdy spojrzał ponownie na okno tam



w górze, pierzchnął nocny nastrój, który trzymał go w swej mocy, odkąd wrócił z tanecznej zabawy. Okno wygląda sennie i posepnie.

-- No, dalej, idźże spać, ty głupcze!

A jednak ostatnia strofa poematu tej nocy nie zo stała jeszcze wyśpiewana.

Gdy po tej pierwszej letniej nocy nad drogami, pola mi i wodami rozbłysnął już niedzielny poranek, panna Olga z Malkamaki spała jeszcze w swym łóżku.

Błask słoneczny ogarnął całą krainę. Kiedy ostatni nocni maruderzy wślizgiwali się do swych domostw, słońce wznosiło się już nad widnokrzem, ale nie zaczęło jeszcze naprawdę świecić. Zaledwie wędrowało w górę, przygotowując się na godzinę, w której znikną ostatnie resztki nocy. Dopiero wtedy mogła się rozpocząć tajemnicza pora, niedostrzegalna dla nikogo a przecież niosąca ogromne zmiany. Letni poranek nic bowiem nie wie o ubiegłej nocy. Jest niejako całkiem odrębną istotą, która wkracza pod coraz jaśniejsze sklepienie nieba, by śpiewać coś zupełnie innego niż to, co szeptał ci do ucha wieczór letniej nocy. Wszystko, co kryła noc, było tajemnicze, pełne skrytych namiętności, pod wpływem których młodzi ludzie opuszczają dom i ognisko rodzinne i podążają ścieżkami, na których co krok czeka ich przygoda, znikają w nocnej mgle i pachnącej trawie. Czar letniego poranka natomiast jest szczery i jasny, niczego nie ukrywa. Nie ma nic do szeptania w samotne uszy, nie podjudza do bijatyki, nie kusi do rozpusty. To wszystko jest dziedziną mroku i gaśnie wraz ze świtem. Ranek wcale tego nie zna. Gdyby jakiś wędrowiec pełen porannej rześkości mijał przypadkiem niewielki, porośnięty trawą skrawek ziemi na zboczu, nie opodał zagrody Korkee, mógłby sądzić, że to miejsce słucha w nabożnym milczeniu pierwszego kazania niebieskich

przestworzy. Z drugiej strony pagórka słońce świeci mocniej niż na pokrytych zbożem polach innych zagród i w dobrej wierze ogrzewa i upiększa ślady gwałtownych kroków, które zostawiła tu ubiegła noc. Zagląda do wnętrza domu przez okno i rozbłyskuje w pyłkach ku rzu, który leży na wszystkim, nietknięty. W niejednym miejscu promienie dotykają również twarzy śpiących i zmuszają do przebudzenia. Człowiek otwiera oczy i widzi, że wszystko co wstało przed nim ze snu, poddało się już urzekającej potędze ranka. I on się więc poddaje. Ranek opromienia senne obrazy nocnych rozkoszy miłosnych, podobnie jak rozjaśnia porosły trawą skrawek ziemi wysoko na wzgórzu, rzuca swe światło zarówno na widownię nocnych porachunków, jak i na ślady stóp pod ścianami domu.

Zegar wskazuje dopiero szóstą. Świergot jaskółek dociera do uszu śpiącej, ale jej nie budzi, wplata się jedynie w jej sen. Słońce zagląda już w twarz. Śpiąca nie wie, że promienie padają na dwa przednie zęby, błyszczą w rozchylonych ustach, i na nabrzmiałą górą wargę. Ktoś, kto mógłby obserwować ją w tej chwili dostrzegłby, że jest zupełnie inna niż za dnia. Oddycha głęboko, wargi poruszają się, na skroniach wiją się włosy. W ciszy wczesnego poranka cały pokój wypełnił się światłem słonecznym. Szczególnie silnie błyszcząca szpa ra w uchylonych lekko drzwiach, więc można było przypuszczać, że światło słoneczne wpadało przez nią z sąsiedniego pokoju... Teraz właśnie śpiąca otworzyła oczy. Patrzcie! W tym oświetleniu wydają się prawie niebieskie. Nie zdając sobie jeszcze sprawy, że się zbudziła, usiłowała instynktownie zatrzymać pierzchający Śniło jej się właśnie, że widzi chłopaka podskakującego z szelmowską miną. Któż to mógł być, na Boga? I jaki to dowcip opowiedział, zanim zniknął?... Sen jed-

nak nie wrócił. Do jej świadomości wdzierała się natomiast coraz wyraźniej tchnąca cisza pokoju i tak dobrze znanych przedmiotów. Leżała w dalszym ciągu bez ruchu, wpatrując się w szparę drzwi, przez którą zaglądały jasne promienie światła. Zdawało jej się, że sen umknął właśnie przez tę szparę i gdyby zajrzała do sąsiedniego pokoju, snułby się dalej. Co to? Przez szparę w drzwiach wciska się mała, szara łapka, przesuwa się to w górę, to w dół. Potem drzwi cicho zgrzytnęły, obok łapki wynurzą się białe, pocieszny nos i biała plama na piersiach. To kot, młodziutki kociak. Przednia łapka wsuwa się już dalej, okrągłe oczy wpatrują się, przerażone, w śpiącą. Kotek zdaje się rozważać w pełnym napięciu skupieniu, czy może podejść bliżej, a ponieważ twarz na łóżku nie wykrzywia się we wrogim grymasie, wślizguje się odważnie do pokoju, a potem nagle zatrzymuje się na jasnym dywanie, nieco bezradny, z wygiętym ogonem.

Para oczu śledzi z łóżka każdy ruch zwierzątka, które zdaje się należeć do snu przed chwilą rozwianego.

Tymczasem jednak rozwidniło się całkiem. Kotek przycupnął. Siedzi na podłodze, poważny jak dorosły kot, i spogląda w szyby okienne. Nagle przejeżdża szybko językiem parę razy po piersiach, kicha i liże się na nowo. Potem wolno zamykają mu się oczy i koniec końców wyciąga się jak długi na dywanie. Teraz można mu się dobrze przyjrzeć. Urodził się tej wiosny i rośnie z każdym dniem, który przybliży lato. Zasnął.

Do pokoju wraca znowu senność. Dziewczyna odwraca się na łóżku, wzdycha, wyciąga warkocz, uwięziony dotychczas pod plecami, tak że widać teraz w całej okazałości jej czarne włosy. Poprzedni sen nie wraca, ale trzyma się w miłej bliskości.

Potem kotek i dziewczyna budzą się i zaczynają kręcić się po domu.

## NIEDZIELA

Ville i Elina z Korkee poszli do kościoła, a wkrótce potem wymknęła się do wsi Marta. Nie było także widać Vainó i Saimy. W wielkiej izbie wypełnionej promieniami niedzielnego słońca została tylko Lyyli. Nuciała cicho jakąś piosenkę. Do izby dolatywał zapach rosnącej na dworze trawy. Cisza była tak wielka, że zdawało się, iż uczulone na radości innych zmysłów ucho mogłoby usłyszeć bieg słonecznych promieni.

Przez cały ranek Lyyli czuła się tak swobodnie i lekko, jakby w nocy nic nie zaszło. Zwinniej niż zazwyczaj pomagała matce przy rannej robocie, czuła przy tym, że udziela się jej nabożny nastrój całej rodziny, nastrój, który zrozumiała po raz pierwszy dopiero dzisiaj. Dopóki była na oczach innych, usiłowała bezwiednie krzątać się pilnie wokół różnorodnych drobiazgów, pragnęła być wciąż czymś zajęta niezależnie od tego, co się z nią działo. Czekwała na chwilę, gdy zostanie sama. Wraz z nią zdawał się również na to czekać skrycie i cierpliwie poranek niedzielny. Przeżycie nocne ukrywało się jeszcze w najtajniejszych głębinach jej duszy, skąd tylko co pewien czas wydobywały się na powierzchnię rozkołysane silnie fale, jakby chciały dziewczynie szelmowsko przypomnieć, że cała ta krzątanina jest nieco sztuczna, że w gruncie rzeczy czeka jedynie na chwilę zupełnej samotności, gdy odezwie się wreszcie to, co było dotąd utajone.

Kiedy w końcu zapanowała cisza, Lyyli wyszła na podwórze, aby się upewnić, że naprawdę nie ma Vainó i Saimy. Nie było ich ani widać, ani słyszeć. Tylko jaskółki ze świstem śmigały do stajni i z powrotem przez otwarte drzwi. Ich świergot i lot sprawiały wrażenie,

one czują się teraz wyłącznymi panami w zagrodzie. Jaskółki zdawały się nic sobie nie robić z obecności Lyy-

li. Jedna z nich, młoda, siadła na skraju dachu, tuż nad głową Lyyli, jakby chciała ją przez to nakłonić, żeby się raz wreszcie przyjrzała z bliska jaskółce. I nie troszcząc się wcale o dziewczynę, zdawała się tylko rozważać, jakimi to piruetami ma za chwilę śmignąć przez powietrze. Przypominała pełną wewnętrznego ciepła żywą istotę, którą ocean powietrzny wyrzucił na chwilę na brzeg.

Lyyli była więc teraz zupełnie sama, a mimo to usiadła na stopniach schodów i przyglądała się jaskółkom. Śledziła wzrokiem ich lot i metaliczny blask piór, jakby to było niezmiernie ważne. Nic ją nie przynaglało. Wiedziała, że jest zupełnie sama i że, jeśli zechce, rzuci się w izbę na łóżko, będzie leżała z twarzą ukrytą w poduszce, podda się nocnym wspomnieniom i będzie myślała o tym jednym, jedynym... Na pewno to jeszcze zrobi. Teraz jednak siedziała tu i spoglądała na wieś, na rysujące się w oddali wierzby, a potem znów na rodzinną zagrodę. Musi uprzytomnić sobie w myślach nazwę zagrody i swoje własne imię. Kiedy tak patrzyła na ścieżkę przecinającą podwórze, wydała jej się jakaś opuszczona i zbyt znajoma. Ojciec i matka modlili się teraz w kościele...

Myśl o tym wzbudziła w niej lekki opór, a zarazem niewymownie błogie uczucie oszołomienia. Wstała, weszła do izby, położyła się na łóżku i pograżyła w tajemnej głębi swego nocnego przeżycia. Pozwoliła swoim myślom krążyć swobodnie wokół obrazu, którego przez cały ranek starała się nie rozpamiętywać.

Lyyli i Eliasz nigdy nie rozmawiali z sobą poważniej. Jako dalecy krewni, znali się od dzieciennych lat, ale spotykali się bardzo rzadko, w dodatku -- w obecności rodziców. W dzieciństwie Eliasz bawił się parokrotnie z Lyyli i Vainó, który był jego rówieśnikiem. Vainó był bardzo żywy, Lyyli natomiast nieśmiała i najchę-

niej stała na uboczu i przyglądała się -- przyglądała swymi ciemnymi oczami. Później Eliasz widywał Lyyli jeszcze rzadziej, gdyż rzadko bywał w domu, często nie było go tu nawet w lecie. Zapomniał niemal o dziewczynie. Spotkał ją nagle we wsi kościelnej ubiegłego lata przy jakiejś świątecznej okazji. Oboje byli w towarzystwie matek, które wdały się natychmiast w rozmowę. Dzieci natomiast, choć już od dawna były dorosłymi ludźmi, szły za nimi, nie odzywając się wcale do siebie. Niemniej to spotkanie obudziło w obojgu wspomnienia z dziecinnych lat, podobnie jak promienie słoneczne, błysnąwszy przez szparę między chmurami, mogą niekiedy przywieść na myśl obraz minionych zdarzeń. Potem, jeden jedyny raz, w pewne wyjątkowo piękne popołudnie lata, dawna gospodyni z Malkamaki przyszła do Korkee, aby odwiedzić Elinę. Razem z nią przyszedł Eliasz. I wtedy nastąpiło to, co stało się przyczyną, że cicha, nieśmiała dziewczyna z Korkee leży teraz na łóżku pogrążona w tajemnych marzeniach o szczęściu. Do tej pory jednak zamienili z sobą zaledwie parę nic nie znaczących słów, których żadne nie potrafiłoby sobie przypomnieć i o których też żadne nie myślało. Lyyli nie przyszło do głowy, że może się znowu spotkać z chłopcem. Leżała i odtwarzała w marzeniach bezpośredni tok tych letnich dni. Życie jej dotarło do mety. Miała uczucie, że wszystko już osiągnęła, że *coś* podobnego nie może się powtórzyć. Napięcie nagromadzone w czasie wiosny, w ciągu całego dotychczasowego życia zostało tak wspaniale rozładowane. Czy naprawdę stało się to dziś w nocy? Z pewnością. Stało się więc tak, jak powinno się stać. Trzymał mnie w swych objęciach i całował. Tak... tak, tak właśnie było... Na dworze płynął niedzielny dzień. Na wzgórzu rozkwitły kwiaty poziomek podobne do promiennych oczu, których nie oślepią blask słoneczny. Godzina za godziną

■i;

uwijały się jaskółki. Śmigaly tu, śmigaly tam, ich urywany świergot zdawał się wyzwolonym nagle wybuchem dźwięków. Między niebem i ziemią, które patrzyły na siebie z wzajemną dobroduszną wyrozumiałością, zapanowała harmonijna zgoda. Nad wszystkim świeciło słońce.

Dziewczyna podniosła się i z wyrazu jej oczu można było rozpoznać, iż właściwie dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę ze swej samotności. Spojrzenie jej wybiegło daleko, na skroniach wiły się włosy. Gdy tak siedziała, zdawało się, że na chwilę otwarła na oścież wrota swej duszy, aby mógł do niej swobodnie wpłynąć nastrój panujący w całej przyrodzie.

Ale właśnie w chwili, gdy miała już zapaść zbyt głą boko w beczasie tej cichej godziny, wróciło jej rodzeństwo i swą paplaniną przegnało nastrój. Vaino domyślał się pewnie, że Lyyli przeżyła niezwykłą noc; jak się zdaje -- sam wrócił do domu wówczas, gdy siostra szła do spichlerza. To przypuszczenie nie sprawiło dziewczynie przykrości. Gdy w pewnej chwili Saima wyszła z izby, aby przynieść wody i zerwać parę kwiatów, Lyyli spojrzła bratu w oczy i zapytała:

— Gdzie tańczyliście tej nocy?

— W Linna! -- odparł w przypływie przekory, a po chwili przerywając ciszę, która nagle zaległa, dodał:

— Kalle wygrzmoeił livarięgo Vahamaki.

— Że też ty nic przy tym nie oberwałeś! -- rzekła

Lyyli.

— Tylko niezdarom dostają się cięgi -- odparł Vainó.

— O co właściwie Kalle ma taką złość do livarięgo? -- spytała po chwili Lyyli.

-- Najpierw Taave zaczął się bić z livarim i schwytał go za kołnierz. Iivari chciał się odegrać, ale nadszedł Kalle i zataszczył go na tyły domu.

-- Ach tak, to i Taave tam był! -- rzekła Lyyli i uśmiechnęła się zagadkowo.

Vainó również roześmiał się znacząco. Taavego bowiem uważano za byłego narzeczonego Lyyli. Rozmowa z bratem, której istotny sens był zrozumiały jedynie dla nich obojga, przywołał dziewczynę z powrotem do teraźniejszości. Promienna niedziela została niejako odsunięta na bok, a nocne spotkanie powoli bladło, choć Lyyli nie chciała sobie tego uświadomić i próbowała tę zmianę nastroju lekceważyć. Słowa Vainó w osobliwy sposób zakłóciły spokój jej marzeń. Nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia. Brat rzucił się na łóżko, a siostra przeszła do alkierza. Nie myślała specjalnie o niczym. Było jej tylko lekko na sercu.

Niedziela płynęła dalej spokojnie i nastrój Lyyli za czyną przypominać ten, w jakim znajdowała się rano, kiedy ojciec i matka poszli do kościoła. Przy obiedzie jednak rozmowa jeszcze raz zeszała na odwiedziny Lyyli w Malkamaki i matka spytała wręcz, czy Elias jest w domu. Córka ograniczyła się do krótkiej odpowiedzi. Mimo to zauważyła, że matka wyczuła w jej słowach szczególny ton, a ponieważ Vaino na pewno coś wiedział, Lyyli siedziała podczas całego posiłku ze spuszczonej oczami i milczała. Usiłowała w ten sposób zmusić do milczenia resztę rodziny. Niemniej taki obrót rzeczy nie był dla niej przykry, choć spowodował zmianę nastroju. Nie był już taki radosny jak przed południem, gdy leżała na łóżku, pogrążona w marzeniach. Przebywanie przez cały dzień w gronie rodziny musiało zburzyć bezwzględna całość, w jakiej poprzednio widziała nocne przeżycie. Czula, że jest teraz innym człowiekiem niż rano, a kiedy znów nadszedł wieczór, opanowało ją dziwne niespokojne rozdrażnienie. Obraz ukochanego wypaczył się w jej ponad miarę rozgorączkowanych uczuciach. W swej wyobraźni spojrziała na niego z innego

**BO**



punktu widzenia. Nagle uprzytomniła sobie, że myśli o małżeństwie i o wszystkim, co się z tym wiąże. Na tle tego, co teraz odczuwała, małżeństwo wydało się jej czymś obcym i niezwykłym. Leżało po prostu całkowicie poza jej światem. Zrodzonej w sercu miłości nigdy nie potrafiła nazwać po imieniu. Traktowała ją jedynie jako szczególny stan swej duszy, nie mający nic wspólnego z resztą świata, a już najmniej -- z małżeństwem, które zawierają z sobą ludzie. Obecnie jednak w ciągu jednej krótkiej chwili dokonała się zasadnicza zmiana. Dziewczyna wiedziała, że ta zmiana ma wszelkie cechy trwałości i czuła, że dopiero teraz w jednym mgnieniu oka stała się dorosłym człowiekiem.

Choć Lyyli wiedziała z całą pewnością, że Eliasze nie przyjdzie do niej tego wieczora, wyszła na pagórek i długo tam siedziała. Wysoko na wzgórzu ukazał się jej znowu obraz chłopca, zupełnie odmienny od tego sprzed chwili. Z góry roztaczał się przed nią widok na Malkamaki. Przed oczami duszy wyczarowała obraz zagrody, wydało się jej, że widzi tam swego Eliasza, swego ukochanego Eliasza. Zaczęła już czekać na niego, wiedziała jednak, że nie przyjdzie, ogarnęła ją więc tęsknota za ukochanym, tajemna trwoga i zwątpienie. Zniknęły wprawdzie zaraz, ale zostawiły dziewczynę w przykrym napięciu, które wynikało z przekonania, że wszystko stało się nagle inne.

Gdy Lyyli schodziła ze wzgórza, drozd zanucił nad nią swoją piosenkę. Głos Eliasza wydał się jej w tej chwili bardzo dalekim wspomnieniem, które już zbladło. W ciągu jednej nocy i jednego dnia zdążył się rozpocząć i zakończyć rozdział ludzkiego losu.

W Malkamaki podobnie -- niedziela nie minęła całkowicie bez zdarzeń. Eliasze przez cały dzień myślał o nocnym spotkaniu. Był już zdecydowany wyruszyć wieczorem w tę samą drogę, gdy po południu jego uwa-

ga skierowała się w inną stronę. Zobaczył Olę. Spojrzenie jej oczu podnieciło go lekko. Było niezwykle -- może dlatego, że widok Eliasza skojarzył się jej z porannym snem. Ponadto przypomniała sobie, że już poprzedniego wieczora widziała go na dachu i z tej przyczyny jej uczucie dla tego obcego młodzieńca było podobnie serdeczne jak dla uśmiechającego się szelmowsko chłopaka ze snu.

#### UPUSZCZONY FIOLEK

W tym czasie, gdy Eliaz wrócił do Malkamaki, pan na Olga zaczęła się nudzić na dobre, dzień dłużył się jej nieznośnie. Nigdy przedtem nie czuła tego tak żywo jak obecnie. Tak zresztą miała się rzecz z całą przeprowadzką do Malkamaki i pobytem tutaj, z czego Olga pojęła jedynie, że zgadzało się to w niezwykle sposób z szeregiem innych okoliczności. Pod koniec marca ojciec wezwał ją z miasta do domu, właśnie na wielką uroczystość wprowadzenia się do Malkamaki. W owym czasie przebywała w stolicy i tylko co poznała Bruniusa... W dniu jej przyjazdu wyprawiono ucztę z okazji zamieszkania w Malkamaki. W związku z tym przybyło sporo krewnych. Zjawił się także pewien starszy pan, adwokat, w stosunku do którego ojciec zachowywał się szczególnie uprzejmie -- czego zresztą oczekiwał także od córki. Była więc uprzejma. Sądziła, że przejrzała zamiary ojca i kiedy stwierdziła, że nie wygląda to w żadnym razie groźnie, nie miała nic przeciwko (emu), aby adwokat trochę się do niej zalecał. Zaproponował jej, by poszła z nim zobaczyć, jak czeladź tańczy w swojej izbie. Przystała.

Miody parobczak, Taave, przywiózł tego dnia Olę

do domu. Teraz był wraz z innymi w izbie czeladnej. W pewnej chwili dziewczyna spostrzegła, że stoi w tłoku obok niego... Teraz to wszystko z tamtych czasów dawno zarosło trawą -- wtedy była sanna, wspaniała sanna... Wtedy bawił ją pewien adwokat, który robił nieśmiałe próby... miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, w wycięciu kamizelki jaśniała różowoczerwona koszula... Te błahe szczegóły utkwiły mocno w pamięci Olgi. Zdawało się jej, że z łatwością mogłaby sobie wyobrazić, jak garnitur porusza się, a w środku tkwi coś, co nazywa się adwokatem... Owego wieczoru taniec z Taavem, obcym, dzikim, a zarazem dziewiczo niewinnym chłopakiem podziałł na nią szczególnie orzeźwiająco. Rozumieli się tak dobrze, jakby byli starymi znajomymi. Przez cały czas Olga miała wrażenie, że jest z całym towarzystwem na majówce w lesie.

Została tu jednak na zawsze i czas płynął powoli. Olga dużo sypiała, często nawet w dzień. Gdy człowiek budzi się z takiego snu, wiosenna przyroda zdaje się tchnąć szczególną miękkością. Kiedy spała, świeciło słońce. Świeciło w dalszym ciągu, choć zbliżał się już wieczór. Przez okno można było zobaczyć to i owo z tego, co robiono w majątku, gdy tymczasem próżna bujność ziemi, nie mająca nic wspólnego z rozsądkiem, z każdym dniem rozwijała się coraz wspanialej. Dostrzegało się to najlepiej właśnie wtedy, gdy zbudziło się z południowej drzemki. W najbardziej nieoczekiwanych miejscach wystrzelały ciągle nowe kwiaty, o które nikt się nie troszczył, nawet same rośliny. Zdawały się zadowalać swoim własnym istnieniem. Jedynym, co wszystkie pospołu tworzyły, było lato. Jedno lato po drugim. Jaki to miało sens? Olga skończyła dwadzieścia pięć lat. Nigdzie nie była naprawdę zadowolona i choć przebywała często i chętnie wśród ludzi, był w niej jakiś chłód, pewnego rodzaju rezerwa. Stwa-

rzęła to zawsze wokół niej próżnię, przez którą nikt do tąd nie zdołał się przedrzeć. Ciągnęło się to już od chwili, gdy pewnego razu, mając piętnaście lat, na jakimś ślu bie przyjrzała się uważniej oblubienicy i innym kobietom... Tu jednak była samotna. Jej chłód roztajał. Miała wrażenie, że w biały dzień zabłąkała się w nieznanej puszczy wśród całkowicie obcych sobie roślin. Czas zaczął się jej dłużyć. Nie znajdowała zajęcia ani dla rąk, ani dla umysłu. Pewnego razu dowiedziała się, że w stajni okociła się kotka. Przyniosła całą kocią rodzinę do domu i zaczęła się nią opiekować. Czowała, że maleńkie kocięta lubią ją. W ich ślepym macaniu było coś rozkosznie świadomego. Spędzała w ich towarzystwie dłu gie godziny.

Pewnego dnia przebudziwszy się wyszła z domu. W niebieskiej sukni i w różowym woalu na głowie skierowała się na drogę, która z podwórza schodziła w dolinę. Znów miało się ku wieczorowi. Ranek był już daleko poza nią, z tamtej strony południowej drzemki. Śniło jej się coś, czego nie mogła sobie przypomnieć, ale blask sennej zjawy zdawał się snuć wokół całego krajobrazu i używać nieuchwytnego uroku, czegoś, co nie mieściło się w czasie. Olga często przeżywała podobne chwile; pogłębiało to jeszcze bardziej jej uczucie osamotnienia. Jej dusza nie otwarła się jeszcze, aby odczuć piękno, które tu żyło i snuło się między niebem a ziemią. Była sama, ale nie było jej z tego powodu smutno. Wegetowała zupełnie jak rośliny. Nic nie zdumiewało jej bardziej niż własne życie. Niekiedy zdarzało się jej rozmyślać w cichości, czy Brunius naprawdę ma zamiar się z nią ożenić. W każdym razie myślał chyba o tym przyrzekając, że odwiedzi ją kiedyś w lecie. -- Za niego mogłabym wyjść -- myślała -- jeśli będzie się nadal zachowywał jak dotychczas. Jako jego żona, czułabym się spokojna i pewna, bezpieczna przed wszystkim... Przed-

tern jednak chciałabym... Chciałabym to wszystko zobaczyć sama... trzymać w objęciach... kogoś zupełnie młodego... takiego jak Taave... ale tak być nie może... to nie doprowadziłoby do niczego... a jednak musi to być wspaniałe... chciałabym sama zdobywać doświadczenia, ale w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi, by nie wstydzić się potem wszystkiego...

Kiedy w swych rozmyślaniach doszła do tego momentu, zdawało jej się przez chwilę, że cała otaczająca ją kraina zbliżyła się -- tak, właściwie ta samotność jest zupełnie przyjemna, gdyż wtedy nie ma powodu wsty dzić się czegokolwiek. Przecież tu dopiero zaczęłam myśleć o czymś podobnym... i tu można by naprawdę spróbować... choć... ciekawa jestem, czy po takich doświadczeniach świat i życie stają się dla człowieka zrozu-mialsze.

Zadawszy sobie to pytanie, Olga doszła do wniosku, że z pewnością będzie najlepiej, jeśli wszystko zostanie po staremu. -- Brunius jest chyba najodpowiedniejszym kandydatem. A jednak... miałabym również ochotę to coś... to coś innego przeżyć wyłącznie na własną rękę...

Po jednym z pól chodził Taave i bronował. Pozdrowił Olę, miał przy tym trochę zmieszana minę. Oldze sprawiło to przyjemność, gdyż odczuła, że jest silniejsza i że panuje nad sytuacją. Wędrowała dalej, bardziej zadowolona niż poprzednio. Nuciała z cicha. Zdawało się jej, że w krajobrazie odkrywa już coś, co bardziej odpowiada jej nastrojowi. -- Nadchodzi nowe lato i może to nowe lato będzie inne niż poprzednie...

Wróciła do domu i siadła do pianina. Owego wieczoru słońce przed zachodem świeciło niezwykle jasno. Było to w wieczór piątkowy, w przeddzień powrotu Eliasza do domu. Później w nocy, gdy leżała w łóżku i czekała na sen, zaczęła marzyć o nowej sukni, jaką chciałaby uszyć sobie tego lata. W tych rozmyślaniach czas pły-

nął jej miło i ani nie spostrzegła, kiedy zasnęła. Gdy następnego ranka obudziła się i szukała sukni, którą chciała włożyć tego dnia -- letniej sukienki lila z czarnym jedwabnym paskiem i czarnymi wyłogami -- usłyszała sobie, że nie ma podobnej sukienki, że tylko takiej marzyła. To śmieszne przeżycie sprawiło ją w dobry humor na całe przedpołudnie. Przypominała jej także niebieska sukienka, w którą się później ubrała, lekko się uśmiechnąwszy.

Dzień był cichy, ciepły. Po południu powiedziano jej, że wrócił do domu syn dawnej gospodyni. Później, wieczorem, wracając z łaźni panna Olga zobaczyła po raz pierwszy Eliasza. Siedział właśnie na szczycie dachu i spoglądał na południe -- w stronę Lyyli z Korkee. I wtedy to zaczęło się zainteresowanie Olgi Eliaszem, przez cały wieczór myśli jej krążyły bezustannie wokół niego. Siedziała w izbie na poddaszu, skąd widać było całą drogę, ale jedynym człowiekiem, którego na niej zobaczyła, był Taave. Około wpół do dziesiątej szedł w kierunku wsi. Dobrze, że Taave poszedł. I choć później Olga nie ujrzała już nikogo więcej, nie czuła niezadowolenia i nie nudziła się. Wszystko wydawało się jej bardziej swojskie niż kiedykolwiek przedtem.

W niedzielę po południu wyszła z domu, zabierając po raz pierwszy parasolkę od słońca. W ogrodzie stała wraz z synem dawna gospodyni. Przyglądali się, jak peonie i korony cesarskie wychodzą z ziemi.

Podobnie krótko trwa niejedno cudowne zjawisko przyrody w lecie. Bywa, że kwiat dziś rozwinie się, kwitnie przez noc, a nad ranem już więdnie. Tak też było z pierwszym spotkaniem Eliasza i Lyyli na pagórku. Pierwsze wrażenie zaczynało już niepostrzeżenie przyćmiewać. Czas jeszcze, aby się nim rozkoszować, zanim całkiem nie zmarnieje. A potem... Żegnaj, nienaruszona nocy letnia wraz ze śpiewem twoich drozdów! Wiele

szczegółów przetrwa i będzie prząść uroczą tkaninę wspomnień.

Pierwszym uczuciem, jakiego doznał Elias, gdy się obudził późnym rankiem, była tęsknota za Lyyli, ale ponieważ wypływała niejako ze snu, ulotniła się niebawem. Przetrwało jedynie uczucie radosnego zadowolenia. Leżał w dalszym ciągu w łóżku i myślał o swej wspaniałej wiosnie, która jego wypoczętym zmysłom wydawała się jednolita i nieprzerwana w swym nastroju, podobna do tego letniego poranka niedzielного. Leżąc, wyobrażał sobie cały przepych, którego kwiaty kruszyny zagładające do okna były jedynie zapowiedzią. Próbował przypomnieć sobie coś najpiękniejszego z dotychczas przeczytanych książek, ale światło poranka było tak przejrzyste, że nic mu nie przychodziło do głowy. Nie znajdował ani jednego wiersza, który by mógł mieć coś wspólnego z obecną chwilą. -- Kiedyś jeszcze, wieczorem, wybiorę się tam znowu, spotkamy się i uściskamy -- myślał. -- Dziś wieczorem jednak chyba tam nie pójdę. Mam dobrze obwarowane serce, bardzo dobrze obwarowane...

Tak myślał Elias, ale coś w jego sercu zdawało się mówić, że mimo wszystko powinien tam iść dziś wieczorem. Odsunął jednak od siebie tę błahą rozterkę, zostawił sprawę otwartą i rozkoszował się jedynie swym niezdecydowaniem. Potem wyskoczył z łóżka i na wpół ubrany podszedł do okna, jakby to leniwe wygląkanie było dla niego czymś zupełnie normalnym i powszednim. Przeświecające przez szybę słońce grzało jego obnażone piersi. Myśli były znowu bliskie zaśnięcia.

Taki był ranek Eliasza. Koło południa jednak krążył w jasnym blasku słońca po otwartej przestrzeni, poddając się nastrojowi niedzielного krajobrazu i pozwalając, aby pod jego wpływem budziły się w nim nowe wrażenia. Ujrzał kamień i jarzębinę. Skręcił, aby przyj-

rzeń im się z bliska. Gdy podchodziło się do nich здаwały się kulić. Z bliska dostrzegało się tylko porosty na kamieniu i pień drzewa z płataniną konarów i gałęzi. Stąd jednak można było również popatrzeć ukradkiem na okolicę, w chwili kiedy nie podejrzewała, że ktoś może ją obserwować. Ciekawe, jak w dalekiej perspektywie zagroda i widnokrąg nachodzą na siebie niby fale na powierzchni rozkołysanego morza. Eliaz miał wrażenie, że stoi na małej wysepce. Potem wdrapał się na kamień i usiadł.

W oddali widać stąd było lasy w coraz bardziej rozrzedzonych kolorach. Wyglądały jak ostatnie tony przebrzmiałej melodii spływającej z słońca. Gdy oglądało się je z tej wysokości, nie hamowały już wyobraźni; tak silnie na postawę obserwatora oddziaływało poczucie wielkiej odległości. Na całej tej przestrzeni ucho nie mogło uchwycić żadnego dźwięku, oko nie widziało żadnej twarzy i może dlatego obraz Lyyli wydał się Eliazowi dziwnie daleki, jakby dziewczyna była częścią ogromnego wszechświata. Uświadomił sobie na chwilę, kim właściwie była Lyyli: córką zagrodnika z tamtej strony lasów. Jakże odmienne od rannych były teraz jego uczucia! Słońce nawet zdawało się być tym zmieszane. Eliaz zapragnął nagle wrócić do domu... -- Przedemną długie lata, które mam spędzić tam, w zagrodzie... Tak, tak, a po tamtej stronie jest Lyyli. Wiem... we dworze jest także panna... Ciekaw jestem, czy była wśród kobiet, które widziałem wczoraj wieczorem, jak wracały z łążni... Niedziela, wieczór, śpiew drozda, Lyyli... Tęskno mi za czymś. Ale za czym?

Nieco później Eliaz siedział pod ścianą domu, z matką. Przysiadła się do niego, aby cieszyć się latem. Niam był wcale pewien, czy nie zauważyła jego nocnej

prawy. Ponieważ nie robiła żadnych aluzji, starał się Usilnie być dla niej serdeczny. Peonie i korony cesarskie



wypuszczały z ziemi swe mocne kielki, matka i syn przyglądali się im z zadowoleniem. Goździki dawno już przekwitły. Była to może jedna z tych rzadkich chwil, kiedy syn czuł, że kocha matkę i wtedy, gdy jest obok niego. Dał temu wyraz, zostając przy niej i przysłuchując się jej opowiadaniu, choć mówiła niewyraźnie. Przypomniało mu się także, jak serdeczna była wczoraj dla Lyyli. -- A teraz i ta niedziela zaczynała chylić się .ku wieczorowi.

Popatrz! Drogą idzie panna ze dworu! W ręku trzy ma parasolkę. Popatrz tylko na te oczy, na tę kibić! Teraz kłania się matce. Idzie dalej. Czy zostanie tu na całe lato?

Jak bardzo odmienił się nagle świat! Czy naprawdę wrócił niedawno ze spaceru do kamienia i jarzębiny? Jakże dłużył mu się ten dzień -- do tej chwili!

— Czy to córka gospodarza?

— Tak.

— Jak jej na imię?

— Jej? -- Oh... Zdaje mi się, że Olga.

Matka i syn usiłowali zataić, nawet przed samym sobą, jak silne wrażenie wywarło na nich to przelotne spotkanie. Eliasz wrócił po chwili do domu, skąd mógł obserwować, jak panna szła drogą. Raz po raz zatrzymywała się, schodziła z drogi i zrywała kwiaty. Zdawała się rozglądać, czy nie znajdzie ich więcej. W końcu nie widząc już żadnego zawracała. Stara kobieta została na dworze i należy oczekiwać, że wda się w rozmowę z panną. Olga nadeszła niebawem, kołysząc lekko parasolką. Wzrok miała utkwiony w przydrożnej trawie, jak ktoś, kto znalazł jeden kwiat, ale szuka ich więcej -- albo udaje, że szuka.

Eliasza coraz silniej ogarniało uczucie, którego w żadnym razie nie potrafiłby wyrazić słowami. Prze-

szedł czym prędzej do alkierza, podobnie jak to uczynił o tej samej porze wczoraj, gdy do domu zbliżała się inna dziewczyna. Dziwne, że tylko co zrodzona serdeczność Eliasza dla Lyyli nie przeciwstawiła się uczuciu, które wybuchło teraz z taką gwałtownością. Trzymała się niejako na uboczu, nietknięta i nienaruszona. Zdawało się, że nie ma nic wspólnego z chwilą, która nadeszła. Nie runęło nic dawnego; zjawilo się tylko nowe, szczęśliwe. I dlatego też Eliaz nie miał żadnych skrupułów. Odczuwał tylko radość.

Szczęście przybiegło szybkim krokiem. Słyszał już, jak panna Olga rozmawiała na dworze z jego matką... Teraz obie wchodzi do domu. Ogień szczęścia płonął jasnym płomieniem. Był niedzielny wieczór i każde z dwojga, które zaczynało płonąć, czuło, że to samo dzieje się z drugim.

Olga minawszy niedawno gospodynię i Eliazsa czuła, że jej przechadzka straciła wszelki sens, gdyż całe jej zainteresowanie zostało za nią. Idąc czuła przez cały czas, że wzrok młodzieńca trzyma ją jakby na uwięzi, pozwala oddalać się, lecz ani na chwilę nie uwalnia. Ona zresztą wcale nie próbowała wyzwolić się. Bezwiednie zboczyła z drogi i zerwała fiołek. -- To mogłoby być interesujące, zastanów się jednak, co by było, gdyby stara się spostrzegła!

Przez chwilę myśli Olgi były bardziej zajęte dawną gospodynią niż jej synem. Mrugnęła na niego w myślach i szepnęła: Tak, tak, rozumiem, ale postaraj się, żeby stara niczego nie zauważyła.

I jakby się z sobą umówili, podczas gdy Eliaz prze szedł do alkierza, powoli, na pozór obojętnie zbliżyła się ponownie do domu dawnej gospodyni. Fiołek trzyiila w ręce. Nie zadała sobie trudu, aby przypiąć go na piii rsiach, a nie chciała go także rzucić. -- Za chwilę stara odezwie się...

Kobiety zaczęły z sobą rozmawiać, śmiały się do siebie. Ponieważ żadna z nich nie chowała względem drugiej urazy, nastrój był serdeczny, a śmiech harmonizował z cichym wieczorem świątecznym. Mówiły o tym i owym, wreszcie stara kobieta poprosiła pannę, żeby zechciała wejść do środka. Olga droczyła się trochę, ale nie odmówiła. Nigdy jeszcze nie była w izbie dawnej gospodyni i dlatego też nigdy nie odczuwała tak silnie wrażenia, jakiego doznaje się przy pierwszym wejściu do mieszkania ludzi, którzy nas interesują. Z drugiej strony zdawało się, że wraz z Olgą wtargnęły do izby starej kobiety nowe światło i nowy zapach.

Stara krzątała się wesoło. Podprowadziła Olgę do fotela, a potem powiedziała głośno:

— Gdzież to się podział mój chłopak? -- Uchyliła drzwi do alkierza i rzekła:

— Ach, tak! Siedzi sobie tutaj! No, chodźże i dtrzymaj towarzystwa gościowi. Proszę, niech pani spocznie! Zaraz zaparzę kawy.

Po tych słowach wyszła do kuchni. Eliasz słyszał wszystko.

Wahał się chwilę, a potem wszedł do izby, w której siedziała Olga. Była sama.

Zewnętrzne szczegóły -- słowa, ruchy i spojrzenia -- nie mają znaczenia. Spotkanie odegrało zasadniczą rolę w dalszym rozwoju wypadków, a zasługą Olgi było to, że pierwsze ich spotkanie nie było ostatnim. Tak z pewnością stałoby się, gdyby siedzieli teraz obok siebie jak inni ludzie, bo nieraz podobnie wiele obiecująca bajka letnia kończy się na pierwszych słowach. Ledwie Eliasz wszedł do pokoju, Olgę owładnęło natychmiast osobliwe uczucie przynależności do tej samej sfery, co on. Pozwoliło jej to przyjąć od razu lekki, kokieterjny ton. Od pierwszego wejrzenia zauważyła również, iż wywarła na Eliaszu tak silne wrażenie, że ugrzązł w

kłopotliwym milczeniu. Zdawała sobie sprawę ze znaczenia tej chwili. Z przekornym spokojem patrzyła na niego spod na wpół przymkniętych powiek i śmiała się. Na twarzy chłopca malowały się na przemian to powaga, to śmiech. Wreszcie odwrócił wzrok.

Początek zatem był zupełnie jasny i tym razem stara kobieta również coś chyba zauważyła, chociaż nie dała tego poznać po sobie ani teraz, ani później. Miała pod swym dachem dwoje młodych, którzy w ten niedzielny wieczór wyruszali skrycie na wycieczkę po nieobliczalnych drogach swawolnej, szybko przemijającej miłości.

„Niech tam! Wolno im! -- rozgrzeszała ich z góry stara kobieta, której zaświtała nagle w głowie pewna myśl. -- Niech robią, co chcą! Co mnie to obchodzi!” -- Cieszył ją widok ich młodych twarzy, ich ubranie i postacie. Ożywioną rozmową usiłowała umilić czas swemu dostojnemu gościowi.

Olga także już uległa czarownej mocy lata. Gdy wracała z tej wizyty do domu, czuła żywe zadowolenie graniczące niemal ze wzruszeniem. Na zakręcie obejrzała się nawet raz jeszcze za siebie. Po raz drugi uczyniła to pod klonem. Tak, oczywiście, stał w oknie. Teraz minęło już jego onieśmielenie. Ach! Oby to było już jutro!... Tak, tak! Tak! I tutaj coś się dzieje. Teraz rozumiem... Jak bardzo się już ochłodziło! -- Fiołek upuściłam na podłogę, tam, w izbie. Oczywiście, to dziecinada, ale niech tam... Od dziś będę się go trzymała. Mam już towarzysza... Ciekawa tylko jestem, jak mu na imię... Młodzieńcowi było na imię Elias. Ledwie Olga wysła z izby, podniósł leżący na podłodze fiołek. Był tego samego koloru, co parasolka, jego delikatny zapach mógł pochodzić równie dobrze z samego kwiatu, jak i, która go trzymała. Eliaza ogarnęła nagle szalona odwaga. Podszedł do okna i patrzył prosto, bez

skrępowania, na przechodzącą dziewczynę, pozwalając swym oczom nacieszyć się jej widokiem do syta. Gdy zniknęła, spojrzął zamyślony na zwiędnięty fiołek, jak by oczekiwał od niego odpowiedzi. W gruncie rzeczy jednak to, na co tak wnikliwie patrzył, stanowiło część jego własnych uczuć, których ten fiołek był niejako symbolem. Zdawało się, że kwiat żyje, że patrzy wzrokiem pełnym wyrazu, wzrokiem człowieka, który znalazł się mimo woli w sytuacji, nad którą nie potrafi panować. Zdawał się czekać, aż go odrzucą.

Nie uczyniono jednak tego. Wysunięto szufladę w stole i złożono fiołek obok papierów.

Eliasz nie wie, czym wypełnić pustkę powstałą po odejściu Olgi. Ciało i dusza goreją pożądaniem, a nie mają na co czekać. Zda się, że wszystko, co go otacza jest znudzone swoim istnieniem. Za ledwie wczoraj wie czorem wydawało mu się, że w ten pierwszy letni wieczór nikt nie ma ochoty kłaść się do łóżka, a dziś wszystko zdaje się czekać na sen. Ale to okropne układać się na spoczynek z duszą przepaloną pożądaniem. -- Dziś wieczorem Olga nie przyjdzie już do mnie. Nie przyjdzie, choć wiem, że zrobiłaby to chętnie. Teraz wyjdę i pokażę się...

A jednak nie spotkali się już więcej tego dnia. Wie czór niedzielny był i pozostał do końca bezlitosny dla Eliasza, który wychodzi wreszcie z domu i rusza niemal w tym samym kierunku, co wczorajszego wieczora. Idzie. Idzie przed siebie bezwiednie w tym samym kierunku. -- Czy znowu mam wypatrywać Lyyli? -- Usiadł nie opodal miejsca, gdzie Olga zerwała przedtem fiołek. Spoglądanie stąd ku zagrodzie miało też swój urok. Teraz pójdzie do Lyyli.

W drodze jednak zachwiał się w swym postanowieniu. Drozd śpiewa dalej namiętnie, ale Eliasz słyszy jedynie głos, nie wyczuwa treści. Pieśń jest ta sama, co

wczoraj. -- Co miałbym dziś do powiedzenia Lyyli?... Powinienem się jej trzymać, skoro raz z nią zacząłem. -- Spostrzegł, że myśląc o Lyyli stara się nie myśleć o Oldze. -- Niemniej doszedł aż na miejsce wczorajszego spotkania, stał i spoglądał ku Korkee. Przez chwilę nieodparcie pragnął jednego: zdobyć się na odwagę szaleńca i iść do Lyyli, prosto do spichlerza. Ten szalony pomysł szybko się jednak ulotnił. Eliasz uspokoił się, popatrzył na swe podniecenie oczami kogoś bezstronnego, niezainteresowanego i ruszył w powrotną drogę do domu, aby ułożyć się na spoczynek. Rad był ze swe go opanowania. Pozwalało mu to teraz marzyć o długich dniach, które miał przed sobą i od których będzie mu wolno wziąć wszystko, co tylko ma do zaoferowania lato. Kiedy jednak spojrzął ponownie na upuszczony przez Olgę fiołek, opanowało go dziwne uczucie. Zdawało mu się, że widzi przed sobą Lyyli, jakąś bardzo bliską, bardzo radosną...

## MIŁOŚĆ I MIŁOSTKA

Miłość Eliasza i Lyyli -- nie tylko Eliasza i Olgi -- trwała nadal i rozwijała się w ciągu następnych tygodni we wszystkie ranki, dni i wieczory, a wiatr wiał raz z tej, raz z tamtej strony.

Najpiękniejsze były godziny ranne. Olga, zbudzona przez promienie słońca i harce kociaka uświadamiała sobie z zadowoleniem, że noc przegnała myśli ubiegłego wieczora. Wczoraj bowiem dręczyły ją różne problemy. W swych rozważaniach posunęła się tak daleko, że zaczęła się zastanawiać nad małżeństwem z Eliaszem. Gdy w podobnych chwilach przypominała sobie zakochany wyraz twarzy, spojrzenia i ruchy młodego człowieka,

które zauważyła w ciągu dnia, ogarniało ją dziwne, nieokreślone uczucie i sama nie wiedziała, czy to uczucie błogości, czy też niechęci. Potem myśl jej przeskakiwała przez zawrotne przepaści, na przykład przez przepaść między Eliaszem a Bruniussem... Na ścianie tykał zdumiony zegar. Dziwił się, że dziewczyna leży w łóżku, a nie śpi.

Kiedy jednak Olga zaczynała myśleć o tych samych sprawach rano, zaraz po przebudzeniu, dzień rzucał na jej rozważania swe pobłażliwie uśmiechnięte światło. Rano czuła jedynie, że jest młodą dziewczyną, która ma przyjaciela i wielbiciela imieniem Eliasz.

Dzisiejszy dzień był także pełen obietnic. Na dworze czekało słońce i świeże, przejrzyste powietrze, na których istnienie Olga zaczęła już zwracać uwagę i do których przywykła. Od razu poprawił jej się humor. Cokolwiek robiła -- każde skrzywienie twarzy w grymasie -- każde najlżejsze poruszenie ciała -- wszystko to działo się jakby pod rozkosznym naciśnięciem jakiejś małej sprężyny, ukrytej w niej samej. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, dostrzegała obecnie coś podniecającego. Kociak rósł nieprawdopodobnie prędko i już samo to wprawiało Olę w przyjemny nastrój. Brała go na kolana, szła z nim do bawialni, stawiała go na basowych klawiszach pianina, a sama -- grała na wiolino-wych zwariowaną polkę. Rano wszystko po prostu bawi człowieka. W kącie ogrodu świeciły złote kule pełnika europejskiego. Zza okna dochodziło buczenie trzmiela niby echo czegoś miłego i dalekiego, co przytrafiło się już wczesnym rankiem. Kwitły już wszystkie letnie kwiaty, których istnienie i rozwój na pozór pozbawione są jakiegokolwiek sensu. Mówi się przecież to samo o lecie człowieka, porównuje się życie ludzkie do życia kwiatu. I czy istotnie to porównanie nie jest w pełni uzasadnione? Jaki jest sens życia Olgi? Jaki sens ma

życie Eliasza? Jaki sens ma życie Lyyli? Takie pytania można sobie zadawać w podobny letni ranek, Medy kwitną pelniki, a tych troje łączą wzajemne powiązania. Czyż nie unoszą się oni w przestworzach tak samo swobodnie jak kula, na której żyją, pod jej rozkwitłym płaszczem i -- pod słońcem? Odpowiedź jest zawsze ta sama, aż po kres czasów.

Pod sklepieniem nieba rosną przeróżne kwiaty, a każdy gatunek ma swoją porę dnia, swoją godzinę, w której korzysta z pełni swych praw. Szukanie konwalii jest miłą rozrywką wieczorem, ale modre oko przełącznika błyszczący najjaśniej w południe. Świe tliki kwitną wówczas, gdy lato przekracza już swój początek, kiedy zieleni się młoda ruń, a osiki stoją w pełnej szacie listowia. Wszędzie w niskiej trawie połyskują kwiaty, delikatne jak motyle. Płatki ich koron i słupki opadają przy lada dotknięciu. Wysoko na wzgórzu Olga zrywa -- ot, tak sobie, przechodząc -- kwiaty przełącznika. Ten bowiem jest pierwszym ambasadorem przepychu kwiatów w lecie. Kwitnie także pięciornik, a liście bodziszka łąkowego też są już duże. Lyyli w Ko-rkee zna najlepiej te dwie rośliny, gdyż co wieczór ścina je na paszę, którą szykuje krowom na noc. Parzy się je wrzątkiem, a wtedy wydają zapach, który tak dobrze pamięta od najwcześniejszych lat swego dzieciństwa.

Kwiat przełącznika można rozłożyć na najdrobniejsze cząstki. Można utonąć w tym maleńkim, błękitnym świecie. Można znaleźć w nim nerwy i tkanki, nektar i pyłek. Ten maleńki kielich w swym kształcie i w swojej treści zda się drobnym, nieskazitelnym, niebieskim wierszem, który można by użyć jako motto do letniej, pełnej zieleni opowieści o życiu i słońcu. Każdy kwiat rozpoczyna nowy rozdział.

Ponad różnorodnymi liśćmi i kwiatami przechadza ■' piękna dorosła kobieta. Stoi na grzbiecie wzgórza



i spogląda w dół. Sama nic nie widzi, ale wie dobrze, że jest widziana przez kogoś innego. Dlatego też schodzi teraz ze wzgórza na brzeg jeziora, skąd nie widać już dworu. Staje nad samą wodą i rozkoszuje się jej wonią. Nie ma zamiaru kąpać się, a przecież odpina parę guzików bluzki. Nie, nie! Doprawdy nie czeka na nikogo. Bawi ją po prostu samo odpinanie guzików, które zwykle poprzedza kąpiel. W powietrzu nie odczuwa się już chłodu poranka. Jest niemal gorąco. Widnokrąg zasnuwa się mgłą. Olga stoi nad wodą i wpatruje się w jedną jedyną plamkę. Jej wzrok ogarnia świat zamknięty w tej małej plamce, a dusza przeczuwa ogrom wszelkiego istnienia. Ona zaś sama jest światem rozdartym między tymi dwoma. Z tamtej strony wzgórza znajduje się czło wiek, za którym ogarnęła ją bezwolna tęsknota. Zda się, że dziewczyna natęży słuch, aby sprawdzić, czy rozedrgane powietrze nie zaniesie tej tęsknoty do celu, wbrew jej woli.

Wędrując po nieznanym ścieżkach Olga dotarła do miejsca, gdzie niegdyś zerwała fiołek. Wraca teraz do domu tą samą drogą, co wówczas -- koło pokoju Eliasza. Chłopiec stoi w oknie. Żadne z obojga nie zdobywa się na gest powitania i dopiero, gdy Olga minęła okno, ukochany wychodzi z domu. Dziewczyna zatrzymuje się pod klonem. Eliasz idzie ku niej, przy czym przez cały czas wydaje mu się, że obserwuje sam siebie. Olga powtarza w myślach: „Eliasz zbliża się! Zbliża się! Teraz zacznę...” -- Serca tłuką się gwałtownie w ich piersiach, a dusze, jakby zdrętwiałe, cofają się bojaźliwie i przeczą słowom wymawianym przez wargi. Olga opiera się o pień klonu, wysuwa stopę do przodu, patrzy Eliaszowi prosto w oczy i mówi poważnie:

--- Zawiąż mi sznurowadło! Rozwiązało się...

Strwożona dusza zadrżała niemal przy słowach, któ-

re wyrzekły usta. Powiedziały: „Zawiąż mi sznurowadło!”  
Powiedziały „ty”.

Było to pierwsze prawdziwe spotkanie Olgi z Eliaszem. Od tej chwili oboje czuli, że opętała ich niewidzialna potęga i że ich własna wola nic nie znaczy. Ich miłość stawała się z każdym dniem gorętsza, podobnie jak lato. Dzień mijał w zniecierpliwieniu, noc przechodziła bezsenna, ranek wstawał pełen nadziei.

A co robiła Olga następnego ranka?

Stała przed wielkim lustrem. Zamknęła drzwi i wzięła kotka na kolana. Kotek w lustrze był taki sam jak żywy. Tak więc Olga prawdziwa i Olga z lustra porozumiały się z sobą niejako za pośrednictwem kotków, które patrzyły na siebie z kolan obu kobiet.

Później zdarzyło się coś nowego. Kiedy Olga wpatrywała się w lustrzany obraz swego nagiego ciała, ogarnęło ją uczucie przedziwnego skupienia. Jakby urok tego obrazu przepelnił ją trwogą, jakby zatrzymawszy się na krótko, zaczynał się nagle cofać tok myśli, które w ostatnich dniach płynęły bez przerwy. Potem ośwładnęła ją wspaniałe uczucie spokoju i szczęścia. Posadziła bezwiednie kotka na podłodze i wróciła sama do lustra. Jej twarz tchnęła ogromną powagą. Przez chwilę dziewczyna miała wrażenie, że spokojnie, bez najmniejszego zdziwienia ogląda coś bardzo tajemniczego i cudownego. Zupełnie jakby do pokoju wtargnął niewidzialny duch wszystkich kwitnących obecnie kwiatów i opadł na nagą skórę lustrzanego obrazu. Podobnie siadają na kwitnących krzewach motyle. To ona właśnie, postać, którą widzi przed sobą w lustrze, powiedziała pod klonem do Eliasza: „ty” -- ona, która przez dziesięć lat strzegła pilnie swego dziewictwa i zachowała poczucie własnej osobowości, której w dalszym ciągu nie chciała zmienić. Z lustrzanego obrazu promieniowała niejako pewność,

że ta osobowość pozostanie zawsze ta sama, nietknięta, niezależnie od tego, jaki los przypadnie istocie imieniem Olga, niezależnie od tego, czy poślubi niejakiego Bruniusa, czy urzeczywistni ciche, tajemne zamysły co do pewnego młodzieńca... Zdawało się, że dusza opuściła obnażone ciało Olgi i zespoliła się z obrazem ofiarowanym jej przez lustro.

Po tych dokładnych oględzinach w lustrze Olga doznała uspokojenia. Jej wewnętrzne życie wśliznęło się na powrót w dawne tory, z tym jednak, że osiągnęło niejako wyższy poziom. Była gotowa spotkać się z Eliaszem, ale nie szukała świadomie okazji. Czuła zadowolenie. Wspomnienie krótkiego spotkania pod klonem sprawiało jej tajemną rozkosz, dołączało się niby niewielka ale cenna perła do sznura przeżyć minionych tygodni. Na dworze żarzyło się promienne lato... lato... to lato... -- Parę zapisanych linijek z trudem może oddać zaledwie kilka drobnych fragmentów jego zdarzeń. Olga często stawała przed lustrem i ulegając nieświadomej sile, poprawiała w swym stroju lub uczesaniu to ten, to ów drobiazg, prawie niedostrzegalny ale stanowiący część ogólnego wyglądu, podobnie jak drobny liść jest częścią ogromnego drzewa.

Pewnego razu jednak szczytowe okno w izbie dawnej gospodyni było otwarte na oścież. Olga podeszła tam. W izbie stał Eliasz. Twarz dziewczyny przybrała wyraz, który zdawał się mówić: „Oboje przecież czujemy, że coś jest jeszcze przed nami i musimy czekać, aż to się stanie. Na razie całe nasze życie jest jedynie niecierpliwym czekaniem. Nie, nie, zostaw!...” -- Głośno zaś rzekła:

-- Niech pan przejdzie się ze mną kawałek!

Przechadzali się w zmiennym nastroju, ale przez cały czas udawało im się unikać zbyt wiążących, poufnych słów. Tę postawę zachowywali wobec siebie poczynając od owego dnia aż do wigilii przesilenia lata.

Nie doszło między nimi do fizycznego kontaktu, a po nieważ życie nie przytępiło ich zmysłów, tym żywsza i różnorodniejsza była łącząca ich niewidzialna, głęboka więź, która zaczyna się zawsze tam, gdzie dwoje, choćby tak nic nie znaczących ludzi spotka się z sobą bodajby w zupełnie błahych okolicznościach. Być może nie zdają sobie w ogóle sprawy, że podlegają pewnym określonym prawom.

Niegdyś, w owe pierwsze niedzielne popołudnie Eliasz czuł się skrępowany swym milczeniem, gdy został sam na sam z Olgą, ale ona, wiedzona trafnym instynktem, zdołała rozładować groźne napięcie i w jak najnaturalniejszy sposób przywrócić niewymuszony nastrój w ich spotkaniach. Podobnie w ciągu następnych dni, ich niewidzialne współzycie toczyło się swym naturalnym biegiem, jakkolwiek drobne zewnętrzne zdarzenia ujawniały czasem niepewność i zakłopotanie. Wystarczyło po prostu spotkanie ich oczu, organu najszlachetniejszego ze zmysłów.

Życie rozbłysło więc barwami właśnie tu, pod drzewami, wśród zarośli. Tu właśnie znalazła się przytulna kryjówka w bezkresnej puszczy życia, pod pewnymi względami nie przypominająca jednak wcale innych kryjówek...

Eliasz w dalszym ciągu bez najmniejszych skrupułów spotykał się wysoko na wzgórzu z Lyyli. Pocałunki stały się dla niego czymś tak naturalnym, że nie odczuwał już przy nich nic szczególnego, ale nie mógł się też ich wyrzec. Leżeli obok siebie na trawie i całowali się bez przerwy, ale nic więcej między nimi nie zaszło. Lyyli zezwoliłaby na to, wcale by się nie broniła. Każde nowe spotkanie na wzgórzu niczym się nie różniło od poprzednich. Inaczej jednak wyglądało w poniedziałkowy wieczór przesilenia lata. Wtedy przeżyli po raz pierwszy coś zupełnie nowego. Te wszystkie spotkania

nie miały nic wspólnego z Olgą, toteż dziewczyna nigdy się o nich nie dowiedziała.

## ZNOWU NIEDZIELA

I znów Lyyli przeżywa w Korkee niedzielę. Lato zdaje się oceanem marzeń, po którym życie, odbiwszy od wiecznie nowego brzegu wiosny, płynie co roku do obiecujących wybrzeży jesieni. Tej niedzieli żeglowano już dość daleko, na pełnym morzu.

Tegoroczne lato jest o tyle niezwykle, że niewinna dziewczyna z Korkee już przed tą niedzielą była całowana niezliczone razy. Po raz ostatni zdarzyło się to wczoraj wieczorem, czy też raczej dzisiaj w nocy. Eliasza odwiedził ją ponownie na wzgórzu.

Tego rodzaju życie musiało oczywiście wycisnąć swe piętno na Lyyli. W spojrzeniach, w ruchach dziewczyny wyczuwało się pewność i beztróskę, co jej rodzina dostrzegała przy różnych drobiazgach. Gdy w Korkee zjawił się ktoś obcy, w zachowaniu Lyyli było aż za wiele pewności siebie. Siedziała przy krosnach, tkła i zdawała się w ogóle nie słyszeć, co gość mówił o jej robocie. Zdarzało się też nieraz, że wstawiała od tkania z senną miną i wychodziła, aby zająć się inną robotą, choć gość, którego należałoby uszanować, nie myślał jeszcze się żegnać. W codziennym życiu wtrącała się raz po raz do rozmowy innych i wygłaszała poglądy, które kazały przypuszczać, że wie znacznie więcej niż mówi. Gdy była sama, zaczynała nucić pod nosem, a niejednokrotnie i przy innych, gdy już nie była sama, nie zważając, że mógł ją usłyszeć Vainó albo któraś z młodszych sióstr. Tak więc rodzina zaczynała się domyślać, co się z nią dzieje, ale każdy zachował swe domysły dla sie-

bie. Pewnego razu w czasie posiłku rozmawiano ogólnie o małżeństwie. Raptem ktoś całkiem bezmyślnie wyrzekł imię Eliasza. Wszystkich ogarnął jakiś nieposkromiony zapal, nadmierna gorliwość -- ktoś subtelny wyczułby to od razu w głosach rozmawiających. I właśnie wtedy Lyyli, korzystając z okazji, wstała od stołu, odwróciła twarz i jakby chciała jeszcze spotęgować nastrój ogólnego zakłopotania, rzekła ze śmiechem:

-- O! Eliaz to piękny chłopak!

Jakże daleko już zaszła od tej pierwszej niedzieli! Wobec całej rodziny wyraziła swoją opinię o Eliaszu, o młodym człowieku! Oto skutki tych wszystkich namiętnych godzin.

Niedziele należały do dni, w których Lyyli przychodziło najłatwiej zastanowić się nad wszystkim. W tym czasie zdawało się jej, że każda ubiegła niedziela jest już czymś bardzo dalekim w czasie. Gdy kończył się tydzień i spoglądała na siebie z poprzedniej niedzieli, miała niemal ochotę roześmiać się, tak bardzo dziecinne było to jej ja sprzed tygodnia. Tak na przykład w drugą niedzielę lata radosne oszołomienie i gorączkowe rojenia o małżeństwie z pierwszej niedzieli wydały się jej czymś straszliwie dziecinnym. -- Nie wychodzi się za mąż ot tak, bez niczego. Najpierw trzeba mieć dom, przyjdą przecież dzieci. Zabrałam się zresztą do tkania, a skąd wezmę wszystko inne? Niemożliwe również, żeby Eliaz sam zdobył to wszystko, co jest potrzebne do małżeństwa. Przykro po prostu wyobrażać sobie coś takiego. To ja muszę się na to zdobyć. On nic nie może o tym wiezieć. Pewnego razu, gdy znów przyjdzie do mnie, za stanie mnie w nowym domu i zamieszka ze mną... Ale małżeństwo... Ślub... -- Z tym jej wyobraźnia nie umiała sobie poradzić i, zamiast się na próżno borykać, poprzestała na oczekiwaniu najbliższego spotkania na wzgórzu, łudząc się, że może przyniesie ono wyzwalają-

ce rozwiązanie tych wszystkich spraw. I znów się spotykali, znów siadali przy sobie, wyciągali się na trawie, obejmowali nawzajem, całowali i mówili do siebie parę nic nie znaczących słów. Trudno im było rozmawiać z sobą. Mimo wszystko lepiej było milczeć. Żegnając się stali jeszcze chwilę przytuleni do siebie, po czym każde odchodziło w swoją stronę. Tak wyglądały spotkania. Potem znowu nadeszła niedziela. Wypłynęli już daleko na morze lata. Nie było widać ani skrawka brzegu.

Rano pięknooka dziewczyna stoi na schodach spichlerza i patrzy hen, na wieś, na cypel. Już o tej wczesnej godzinie widnokrąg zasnuwa się mgłą. Skwar dnia daje się już teraz we znaki. Jest niedziela. Niebawem zaczną huczeć organy w kościele. Ta niedziela jest jakby roz-leglejsza, zdaje się zmierzać do czegoś, nie wiadomo jednak jeszcze, do czego. Wiąże się to ściśle z samą dziewczyną. Zamknięta w swym własnym intymnym świecie, ledwie że przebudzona, zda się być wyobrażeniem słonecznego żaru. Ten zjawiał się, kiedy jeszcze spała. Zrodziły go przeżycia ostatnich tygodni, z każdym dniem przybiera na sile... Gdy rozżarzona kula słoneczna stoi nad widnokretem, ma się wrażenie, że wybuchł tam pożar. Pożar jest teraz jeszcze straszliwszym słowem niż dawniej. Można sobie wyobrazić, że wybuchł gdzieś daleko, że rozszerza się i zbliża. Trzeba uciekać w przeciwnym kierunku. Tam jednak również się pali. -- Co to ma znaczyć? Powietrze dyszy żarem, dym gę stnieje, lecz drzewa, trawa, wzgórze trwają na swych miejscach. Człowiek nie może oderwać się od ziemi, jest niejako przykuty do jej powierzchni... Zrodzony w fantazji obraz budzi miły dreszcz grozy. To tylko żar słoneczny przybiera na sile, ludzie, zwierzęta, ziemia wszystko, co żyje i rośnie trwa w spokoju, choć potęga nieba i słońca jest większa od nich wszystkich. Dziś bu rza jeszcze się nie rozpętała, a jednak Lyyli stała się

już igraszką rozżarzonych sił. Od dawna już przestała być tą dziewczyną, która w owe chłodne, szczęśliwe godziny kwietnia marzyła pewnego wieczora przed paleniskiem łaźni o lecie i przeczuwała drogę, którą latem przyjdzie jej przebyć od brzegów wiosny do wybrzeży jesieni. Zeszłej niedzieli sądziła, że nowe spotkania z Eliaszem w ciągu najbliższego tygodnia przyniosą odpowiedź na pytania, które niepokoją jej serce, wyjaśnią, jak ułożą się sprawy między nimi. I rzeczywiście, widziała się z nim w ciągu tygodnia dwa razy, po raz drugi -- wczoraj późnym wieczorem, ale w tych spotkaniach rozwiały się tylko pytania, a nic się nie wyjaśniło. A teraz znów niedziela z rozżarzoną tarczą słoneczną nad widnokregiem.

Jest coś, co zbliża się do Lyyli, coś, czego nie da się już odwrócić. Zdarzy się to później, w noc przesilenia lata, nad ranem, kiedy wróci z tańców. Czekając na to, nie zdając sobie sprawy, nie potrafiłaby zapewne nazwać tego nawet po imieniu. Pieszczoty ubiegłej nocy nie rozpalają już jej zmysłów. Spotkania i dzisiejszy nastrój mają do pewnego stopnia tę samą temperaturę. Wspomnienia spotkań nie przyspieszają już bicia serca. Podobnie, kiedy Lyyli wyobraża sobie następne spotkanie, na przykład w jutrzejszy wieczór, myśl o tym spotkaniu nie może już wzburzyć jej krwi. Przebiega jej przez głowę, że te spotkania będą się powtarzać i że zawsze, zawsze będą musiały mijać... Kiedy jest razem z Eliaszem, wydaje jej się, że te chwile nie są ani snem, ani jawą. Oddycha, nie zdając sobie sprawy, że to robi. Oddychanie jest dla niej czymś zupełnie tak samo obojętnym jak trawa, którą czuje gdzieś daleko pod głową. Nie ogarnia jej podniecenie nawet wówczas, gdy pieszczoty stają się namiętniejsze. Pograżają ją jedynie głębiej w ten stan przypominający sen i jeszcze bardziej osłabiają poczucie miejsca i czasu.



W niedzielę nie siądzie do krosien, choćby miała wielką ochotę. Nie mogłaby tkać, choćby nawet była zupełnie sama w domu. Wieczór jutrzejszego dnia leży gdzieś nieskończenie daleko. Lyyli nie potrafi ogarnąć myślą tej odległości. Ponadto wydaje się jej niemożliwe, żeby ten upragniony wieczór mógł się stać rzeczywistością. Ma wrażenie, że mu uwłacza, wyobrażając go sobie zawczasu. A tam, na dworze, snuje się nastrój niedzielny w całej swej pełni i nasileniu. Roztacza się przepych kwiatów i zboża. Tego nie brak.

Nie! Czy mnie oczy mylą? Co to ma znaczyć? To przecież nikt inny, tylko gospodyni z Malkamaki we własnej osobie! Zbliża się do Korkee, a obok niej idzie Elias! -- Co jest najgłębsze i najistotniejsze w radości? -- Nagłe uczucie ulgi i wyzwolenia...

Teraz wreszcie rozjaśnia się w głowach całej rodziny. Zrozumieli wszystko. Widzieli milczącą radość w oczach i ruchach Lyyli. Potem spokojnie i życzliwie dano Eliaszowi i Lyyli sposobność porozmawiania z sobą w cztery oczy. Gdy stali we dwoje na podwórzu, chłopiec rzekł:

-- Pokaż mi wreszcie swój spichlerz!

A powiedział to takim tonem, jakby ktoś ich podsłuchiwał.

W spichrzu udało im się właśnie raz pocałować, kiedy z podwórza doleciały do nich głosy obu matek. Eliasz podszedł powoli do drzwi, zaczął otwierać i zamykać zasuwę.

— Taka zasuwa -- rzekł -- dobrze cię chroni.

— I tak powinno być -- rzekła na podwórzu matka Elina, uśmiechając się przyjaźnie.

Później nastrój niedzielny w Korkee przygasł nieco, jakby wyczerpało go własne napięcie. Dało się to zauważyć, gdy odeszli goście z Malkamaki. Lyyli również była ogromnie podniecona, a potem niespodzianie spły-

nęła na nią pomocna siła i nagle poczuła się wyzwolona. Siła ta jednak była zimna i nie zdołała stłumić podniecenia. Kiedy Elias, słysząc głosy na podwórzu stracił nagle w spichlerzu pewność siebie i zbliżał się na pozór obojętnie do drzwi, Lyyli ogarnęło uczucie zmęczenia. Jej podniecenie wyładowało się wówczas częściowo, zupełnie bez potrzeby i bez skutku. Sama bowiem nie czuła wcale odprężenia. Zobaczyła postać Eliasza rysującą się pod światło w otwartych drzwiach i nagle pomyślała, że Elias chce ją nakłonić do czegoś, co tylko dla niego jest przyjemne, dla niej zaś nie ma najmniejszego powabu. Kiedy później Elias wyrzekł przy drzwiach te słowa, miała uczucie, że mimo ogromnego znużenia musi iść za nim w długą, niepotrzebną wędrówkę, którą on uważa za konieczną, jakkolwiek zdaje sobie sprawę, że ona jest tak bardzo zmęczona... Elias nie obejrząwszy się wyszedł ze spichlerza, a ona poszła za nim. Wkrótce potem goście pożegnali się. Wszystkie myśli i uczucia Lyyli opanowało pełne napięcia odrętwienie.

W Korkee zjawili się jednak jeszcze inni goście. Przyszła mianowicie dziewczyna, w towarzystwie której Lyyli była następnie na zabawie zorganizowanej z okazji przesilenia lata. Zjawiała się także jej matka.

-- Był tu dziś Elias z Malkamaki? -- spytała dziewczyna, gdy znalazła się z Lyyli na osobności.

— Tak, przyszedł ze swoją matką -- odparła Lyyli.

Dziewczyna schwyciła Lyyli za rękę i wyszeptwała:

— Ach! Wspaniały chłopak!

Lyyli roześmiała się.

-- Jest zakochany w tobie -- szeptała dziewczyna głogm, który można by porównać z zapachem nocnych kwinto w.

Lyyli zaprzeczyła, ale roześmiała się przy tym podobnie jak wówczas, gdy wybrała się do Malkamaki, aby

pożyczyć grzebienia tkackiego. A przecież sprawy przybierały nowy obrót. Słowa dziewczyny podziałały jak dobroczynne błogosławieństwo. Wiadomo było, durzyła się w Eliaszu. Widziało się to, słyszało i wyczuwało. A Eliaz -- cały świat zawarty w tym imieniu -- szedł do Lyyli, był coraz bliżej, wkrótce będzie zupełnie blisko. Dzisiejsze spotkanie ukazało się jej teraz o zmierzchu w zupełnie nowym świetle. Obecnie łatwo jej przyjdzie czekać na jutrzejszy wieczór.

Tego wieczora rozkwitły bzy i znów słuchało się z uwagą śpiewu drozda. Już niebawem nadejdzie naprawdę przesilenie lata... Tam za wzgórzem leży Malka-maki, w Malkamaki jest Eliaz, a jeszcze niedawno był tutaj. Słońce już nie oślepia. Takie są te wieczory.

Nadszedł poniedziałkowy wieczór. Lyyli i Eliaz znowu się spotkali. Dziewczyna zauważyła, że chłopiec pieści ją inaczej niż dotąd. Te nowe pieszczoty wywarły na niej silne wrażenie, ale nie potrafiłaby powiedzieć, czy sprawiały jej przyjemność, czy też budziły odrazę. Niemniej ta noc wiąże się ściśle z pewną późniejszą.

Eliaz, który w ten poniedziałkowy wieczór przesilenia lata, w tę najkrótszą noc roku wraca właśnie ze wzgórza, jest dorodnym dwudziestoletnim chłopakiem, o ładnych rysach i czułych oczach. Jego zainteresowanie Lyyli zaczęło się właściwie dużo wcześniej, lecz rozkwitło naprawdę dopiero tego roku w lecie, a ściślej mówiąc w momencie, gdy ustępowała wiosna, a zaczynało się lato. Najpiękniejszą chwilą w ich dotychczasowej znajomości był moment, gdy pewnego dnia o zmierzchu Eliaz, stojąc na wzgórzu, zobaczył uchylone drzwi spichlerza Lyyli i czuł z niezachwianą pewnością, że dziewczyna przyjdzie do niego na wzgórze już tego pierwszego wieczora. Wszystko, co stało się później, było właściwie czymś zupełnie odmiennym. W gruncie rzeczy

odzwierciedlało jedynie jak najbardziej przypadkowe, często osobliwe przeżycia jakiejś istoty ludzkiej. Lyyli podobnie; swój szczytowy moment przeżyła w tym samym czasie co Elias, gdy owego pierwszego wieczora stojąc na dole w spichlerzu miała wrażenie, że owionęło ją od stóp do głowy gorące tchnienie wiatru i gdy zązęła wspinać się na wzgórze. Naturalnym biegiem rzęzy ten szczytowy punkt ich uczuć obniżył się dla obojga aż do pierwszych pocałunków i na tym poziomie przęda się ich dalsze kontakty. Gdzie indziej, w Malka-maki, również zdarzyło się w tym czasie to i owo...

Elias, wracając w tę najkrótszą noc roku do domu, był spokojny i świadom celu. Myślał o zbliżającej się zabawie, organizowanej z okazji przesilenia lata, i o doniosłych zmianach, jakie ona może przynieść. Wyobraźnia zakochanego rozkołysała się tak silnie, że zaczął snuć projekty małżeństwa z Lyyli. Będzie moją żoną. Tak, tak właśnie będzie, gdy ją już poślubię. Teraz przed zabawą nie będę mógł się z nią spotkać, ale potem wyprawimy wesele.

Myślał o tym wszystkim tak żywo, że niemal słyszał, jak wymawia te i podobne słowa. Rozejrzał się dookoła, jakby chciał się przekonać, czy duch letniej nocy słyszy, co on mówi. Ten jednak zdawał się czekać na coś więcej...

Później małżeńskie plany wywietrzały Eliaszowi z głowy i myślał już tylko o tym, jak po tych wszystkich przeżyciach przyjemnie będzie wrócić znowu do grona swych towarzyszy. W związku z tym jego wyobraźnia zajęła się jeszcze żywiej *niż* przedtem bliską już zabawą w noc przesilenia lata i wszystkimi nocami, które na-ftąpin po niej. W tym nastroju dojrzał całkowicie do gody, która czekała go w Malkamaki.

## NAJKRÓTSZA NOC

Słońce zaszło.

Na ludzi spływają zewsząd wrażenia letniej nocy: śpiew jemioluszek, żywiczny dym, zieleń olch. Olga jest na zboczu. W zielonym gąszczu olszyny szuka oczami dogodnego okienka w płataninie liści. Tam w dole wraca do domu Eliasza, a gdzieś na drodze toczy się wóz, który ma przywieźć Bruniusa.

Olga czuje, że w tej chwili jej sytuacja jest pod każdym względem krytyczna. Uczuciem tym zdają się ją napawać liście olch, które wiszą, nieruchome, tuż obok jej twarzy. Ściela się u jej stóp niska trawa zda się spoglądać ku niej, uważnie nasłuchując. Jakie okoliczności mogły stworzyć podobną sytuację? Głośne bicie serca mówi o Bruniusie, przed oczami dziewczyny staje jego obraz, wpleciony w łańcuch różnorodnych spotkań, poczynając od owego dawnego balu, gdy go poznała, aż do tej chwili, kiedy jest już blisko, kiedy z każdą minutą zbliża się do Malkamaki. Jest w tym coś niezwykłego, coś co pobudza do śmiechu, bo wypadki rozwijały się zgodnie z życzeniami Olgi, mimo że nie zdobyła się na najmniejszy wysiłek w tym kierunku. Kto to jest Brunius? Jak wygląda? Chodzi tu i tam, a ma minę, jakby cierpiał z tego powodu, że na podobieństwo innych ludzi musi chodzić albo jeździć. Wygląda również, jakby mu było przykro, że sąsiedzi z jego ulicy wiedzą, jaki jest bogaty i wykształcony. W tym momencie Olga widzi go wyraźnie oczami wyobraźni i jednocześnie uświadamia sobie, że właśnie ten Brunius jest w drodze do Malkamaki. Ogarnia ją nastrój powagi a zarazem swawoli i oba te uczucia splatając się z sobą wprawiają ją w szczególne podniecenie. Letnia noc, która snuje się wokół niej, nie śmieje się ani nie płacze. Nie jest też bynajmniej przyjazna. Jeszcze ta i następna noc i wtedy

dopiero nadejdzie noc przesilenia lata. Ale mało kto poza Bruniusem mógłby wpaść na myśl, że jest to naj krótsza noc roku. Napisał do niej: „Będę u ciebie w najkrótszą noc roku”.

Póki był jasny dzień, Olga nie czuła potrzeby zastanawiania się nad swoim położeniem. Nie przejmując się, krążyła po domu i robiła przygotowania na przyjazd gościa. Kiedy jednak słońce chyliło się ku zachodowi, przystanąła przy szczytowym oknie pierwszego piętra i patrzyła, jak ukośnie padające promienie oświetlają czerwone wiechy łąkowego szczawiu i jak Eliaz idzie z dworu na południe. Wtedy to wstrząsnął ją dreszcz grozy, jakby raptem uświadomiła sobie jakieś karygodne zaniedbanie. To jej własne ja, lekceważone od wielu tygodni, od pierwszego dnia lata, odezwało się teraz nagle i przypominając o zlekceważeniu, zwracało uwagę, że jest to ostatnia okazja, aby wszystko naprawić. Tam jednak, w oddali, Eliaz idzie wolno na południe, a wkrótce może nadjechać Brunius. Wtedy nie będzie mogła wyjść... Nigdy więcej... Olgą owładnął pełen trwogi niepokój. Eliasza nie było już widać. Cienie wydłużały się niepostrzeżenie, ale bezustannie. Zbliżała się najkrótsza noc roku.

Szukając ratunku Olga zeszła niżej, na parter, aby być bliżej innych ludzi, lecz i to nic jej nie pomogło. Niebawem też wróciła na pierwsze piętro, gdzie wbrew jej woli ciągnęło ją ku sobie szczytowe okno. I znów popadła w ten sam nastrój co przed chwilą. Nie wiedziała, co z sobą począć. Tu było jej jedyne miejsce, tu musi stać i czekać, i patrzeć niejako na bieg czasu w tej doniosłej chwili, gdy Brunius zbliża się do Malkamaki.

Kiedy tak stała nieruchomo, z oczyma utkwionymi w daleki widnokrąg, jej twoga jakby skamieniała. Zanim jeszcze zdołała sobie uświadomić, co widzi, ujrzała wracającego do domu Eliasza. Bruniusa nadal nie było

słysząc. Może w ogóle nie przyjedzie? Teraz Eliasz się zbliżał, natomiast Brunius -- zdawał się oddalać. Znów ogarnęła ją trwoga. I to ma być najkrótsza noc roku?... Niemniej otworzyła bezwiednie jedno skrzydło okna i natychmiast odczuła całym swym jestestwem, że Eliasz ją widzi. Jakby pod naporem cudzej woli cofnęła się odchodząc od okna w sposób, który na pewno po zwolił Eliaszowi zrozumieć, jakie są jej zamiary. Olga wysliznęła się z domu tak ostrożnie, jakby się bała, że może ją śledzić drabina pożarowa albo klatka schodów kuchennych. Znalazłszy się u stóp zбочa obejrzała się; Eliasz stał na dole, na łące i patrzył ku niej. Przykucnęła, schowała się w olszynie, skąd wszędzie dokoła widać było małe, mroczne grotty, otoczone gęstwą liści i gałęzi, które wiodły tu swe odrębne, zastygłe w bezruchu życie. Z zewnątrz zbliżali się teraz do jej kryjówki Eliasz i Brunius... Gdyż Brunius z pewnością przybędzie również tej nocy. Ścieżka Eliasza prowadzi do niej. Ze swej kryjówki Olga widzi wyraźnie, co się z nim dzieje. Domyśla się, co spodziewa się niebawem przeżyć. Olga to widzi, lecz Eliasz wcale sobie tego nie uświadamia. I to także jest śmieszne. Teraz dziewczyna nie pragnie niczego więcej nad to, żeby ją znalazł. Chłopak wspina się już na zбочe. Olga łamie gałązkę i w mrocznych zrośłach daje się słyszeć lekki trzask. Kładzie się, choć jest jej bardzo niewygodnie na posłaniu z cienkich gałązek olszyny, ukrywa twarz w dłoniach, leży i czeka. Jej zmysły są zdumiewająco opanowane, wszystko rozgrywa się przed oczami jej wyobraźni, tak jakby przyglądała się temu oczami kogoś zupełnie niezainteresowanego. Ma niemal ochotę śmiać się z samej siebie. Uświadamia sobie, że znajduje się na pograniczu dwóch światów. Jeden jest zawarty między jej twarzą i ziemią i nie ma nic wspólnego z drugim światem, który tworzą jej plecy, reszta ciała, olszyna, przestworze,

i który ciągnie się aż po widnokrąg. Ze swego małego świata śledzi, co dzieje się w tym o wiele większym. Słyszy i widzi w wyobraźni, że Eliaz z blizną się do niej tak, jak ktoś zbliża się do znalezionej rzeczy, której wartość przekracza jego najśmielsze marzenia, i gdy chłopiec wdiera się do świata zawartego między jej zamkniętymi oczami a powierzchnią ziemi, odczuwa rozkoszny dreszcz.

Cisza! Niech z mroku olszynowych zarośli płynie ku aksamitnemu niebu letniej nocy pełna poezji pieśń! Stamtąd, z wyżyn niebieskich, widzi się jednocześnie dużo rzeczy i -- co najważniejsze -- widzi się wszystko z dobroczynnego dystansu. Jeśli stamtąd, z wysoka, spojrzy się na dół, to najpierw bezwiednie zaprzątnie uwagę ukształtowanie powierzchni ziemi. Obrzuci się spojrzeniem całe pasmo wzgórz, od samego początku aż po jego kres. Przypomina olbrzymią, ciemnozieloną larwę, która rozłożyła się od granic jednej wsi do drugiej. Na lewo od niej ciągnie się w tym samym kierunku jezioro z licznymi zatokami. Szkoda, że nigdy nie wędruje się wzdłuż nie zamieszkałego brzegu, gdzie zalesione wzgórza schodzą nad samą plażą. Na przestrzeni wielu metrów plażę pokrywa rumowisko kamieni; między nimi otwierają się wąziutkie zatoczki, szerokie na palec albo i na całą dłoń, których dno jest usiane maleńkimi kamykami, białymi i pstrymi. Tam, gdzie kończy się kamienista plaża o zboczu porośłym lasem, u stóp wsi, zaczyna się zatoka otoczona łąką. Na wyższym skraju wsi, u samego podnóża wzgórz, leży właśnie Korkee. Tak długą drogę ma zatem do przebycia Eliaz z Malka-maki, gdy spotyka się z Lyyli z Korkee... Obecnie, gdy oglądamy to wszystko, trwa najkrótsza noc roku... I stąd, z wysoka, widzimy jeszcze coś więcej, nie tylko ziemię z jej wytyczonymi miedzami granicznymi, lasami i wodami. Możemy również wyraźnie zobaczyć, jak



Brunius siedzi obok Taavego z Malkamaki na podskakującym na kamieniach wozie, który zbliża się od prawej strony pasma wzgórz... Lyyli z Korkee udała się właśnie na spoczynek w swoim spichlerzu. Wróciła ze spotkania z Eliaszem, w czasie którego odczuła, że chłopiec pieści ją w zupełnie inny niż dotychczas sposób. Teraz leży w szarym spichlerzu i marzy o zbliżającej się zabawie przełomu lata. I choć odległości nie są wcale takie duże, nie widzi i nie ma najmniejszego pojęcia o Bruniusie i Taavem jadących szosą, podobnie jak o Eliaszu i Oldze w zaroślach olszyny. Nie wie o tym i zasypia, całkowicie spokojna.

W zaroślach olszyny leżą z zamkniętymi oczami, przytuleni do siebie, Eliasza i Olga. Obejmują się nawzajem. Olga czuje, że wreszcie naprawiła wszystko, co zaniedbała. Jest jej nieopisanie dobrze, teraz bowiem mogłaby przeżyć wszystko, co by tylko chciała. Ale nie chce. Wystarczy jej świadomość, że mogłaby wedle swej woli nazwać tego młodzieńca swoim. Jest jej dobrze i dlatego broni się energicznie przed wszystkimi instynktownymi próbami młodego Eliasza. Jest jej tak dobrze, że w końcu obejmuje głowę młodzieńca i całuje go z zamkniętymi w dalszym ciągu oczami. Był to pierwszy pocałunek Olgi.

-- Muszę już iść -- szepce. -- A ty zostań tu jeszcze chwilę!

I od razu pomknęła w kierunku domu, znikając z oczu Eliasza.

Właśnie wtedy Taave puszczał konia na pastwisko na zboczach. Był więc mimowolnym świadkiem, jak Olga chyłkiem wracała pośpiesznie do domu. Wszedł do izby i stanął u okna. Po chwili zobaczył syna dawnej gospodyni schodzącego ze wzgórza. Potem położył się do łóżka i zaczął rozmyślać.

Sklepienie nieba zaczęło się już rozjaśniać. Nieba-

wem najkrótsza noc roku ustąpi porankowi. Możliwe, że ze wzgórza udałoby się już zobaczyć brzeg słonecznej tarczy. Zresztą -- większość ludzi śpi jeszcze o tej porze. Nie śpi jedynie Taave, dręczony niezwykle trudnymi do rozwikłania problemami, a w głównym budynku zagrody, w pokoju na górze czuwa także Brunius.

Brunius leży i nie może zasnąć. Olga przed chwilą opuściła jego pokój.

W czasie podróży Brunius musiał znowu znosić towarzystwo obcych ludzi, którzy podobnie jak on jechali w te strony, aby zażyć bujnej zieleni lata. Dostawszy się w ciżbę ludzką stwierdził, że przybył trochę za późno. Kiedy o północy dotarł wreszcie do tego tak bardzo obcego Malkamaki, przyszli teściowie powitali go po ciemku, a matka pośpieszyła na pierwsze piętro, aby zawołać córkę. Nie znalazła jej jednak. Było to w najwyższym stopniu zdumiewające, przybyły był bowiem gościem Olgi. Sama go zaprosiła, a jej rodzice dotąd go jeszcze nie znali. Nie pozostało więc nic innego, jak zaprowadzić przybysza do pokoju gościnnego, który Olga przygotowywała dla niego przez cały dzień.

Brunius wszedł do mrocznego pokoju, a gdy został sam, stanął pośrodku i zaczął się rozglądać po jasnych szybach okien, po wszystkich kątach i zakamarkach, jakby były milczącymi, dziwnymi zjawami, które wynurzyły się raptem na jego drodze. Wkraczał w pełne tajemnic stosunki z nieznaną sobie rodziną. W każdym przedmiocie, nawet w ciemnych ścianach kryło się coś z duszy Olgi, coś, czego nie znał i co ona dotąd osłaniała przed nim tajemnicą. Teraz jej nie było. Wyobrażały ją jedynie te nieznanne części jej duszy. Było cicho i mroczno. Jeszcze nigdy w swym życiu Brunius nie znajdował się w podobnie przykrych sytuacjach, a nie widział możliwości ratowania się ucieczką. -- Gdybym mógł przynajmniej odjechać! -- myślał patrząc uparcie

w okno. -- Jeśli jednak ludzie przewąchali już coś niecoś o tej podróży, byłoby jeszcze gorzej. -- Przypomniał sobie, że napisał do Olgi: „Będę u ciebie w najkrótszą noc roku”. -- Czy naprawdę napisał coś takiego? I w ten sposób znalazł się w tej przykrew sytuacji...

Otworzyły się jakieś drzwi. Słysząc było kroki. Brunius pośpieszył do sofy. Usiadł. Weszła Olga, podeszła do niego. Rzekła miękko, serdecznie:

— A to dopiero! Jesteś już?

— Tak, to chyba ja jestem.

Odpowiedziała na to krótkim milczeniem, a potem rzekła:

-- Siedziałam na zboczach, póki się nie zorientowałam, że już jesteś w pokoju u siebie.

Zachowanie Olgi było szczególnie ciepłe i serdeczne, ale, dziwna rzecz, to ciepło nie udzielało się wcale Bruniusowi, choć wyraźnie starała się go oczarować. Popatrzyła na niego tak, jakby płonąć tajemną radością chciała go uściskać. Wreszcie uczucie serdeczności zaczęło ogarniać także Bruniusa, wbrew jego woli. Siedząc na sofie, powtarzał swe pierwsze słowa:

■-- Tak, to chyba ja jestem.

Olga stanęła przed nim i oparłszy ręce na jego kolanach, powiedziała:

-- Tak, teraz to chyba ty jesteś.

W jej głosie drgała nieuchwytna, nieznaną radość. Brunius próbował przyciągnąć ją na kolana, ale wyrwała mu się mówiąc:

-- Jutro porozmawiam z ojcem!

Podniósł się. Stali w pewnej odległości od siebie. Olga zbliżyła się pierwsza, objęła go dziwnie delikatnie ramionami i powiedziała czule:

-- Teraz pójdę już spać. Ty także musisz się położyć.

Wyszła i gość znowu został sam.

Brunius nie miał właściwie dotąd żadnych bliższych stosunków z kobietami. Po wyjściu Olgi leżał bez ruchu na łóżku i spokojniej niż poprzednio zastanawiał się nad sytuacją, w jakiej się nagle znalazł. Gdy wyjeżdżał z domu, czuł tylko lekkie podniecenie; zdawało mu się przy tym, że panuje całkowicie nad biegiem wypadków. Sądził, że rozumie istotne znaczenie małżeństwa i gdy zostawał sam i zastanawiał się nad tym, rozpatrywał całe życie ludzkie pod tym właśnie kątem. W małżeństwie widział pełne usprawiedliwienie wszystkich za i przeciw, które przekazała tradycja. Za ledwie jednak wyruszył w tym nastroju w drogę, znajdował się co krok w sytuacji, która nie miała nic wspólnego z jego arcymądrymi rozważaniami: przykrości samej podróży, młody parobczak, obcy dwór pograżony w ciemnościach nocy, rodzice Olgi, nieobecność dziewczyny... -- Potem Olga zjawiła się w pokoju, mówiła to i owo i teraz znowu odeszła. Czuję się z nią związany w jakiś osobliwy sposób. Widzę bezustannie jej postać przed sobą... -- A kiedy pomyślał, że jutro ma się zaręczyć z tą właśnie dziewczyną, uczuł zadowolenie, choć wbrew swojej woli. Zdawał sobie bowiem sprawę, że ten rodzaj zadowolenia jest dla niego czymś obcym, niezbadanym, a czegoś takiego wcale sobie nie życzył. Dla podobnego uczucia nie było po prostu miejsca w jego starannie pielęgnowanym systemie myślenia, a w szczególności nie było dlań miejsca w gmachu opinii, który wznosił wokół stosunków między obu płciami.

Brunius, który w najkrótszą noc roku wtargnął w krąg tutejszych zdarzeń, stał się na jakiś czas głównym bohaterem tej letniej bajki. Słońce już wzeszło, a jego myśli krążyły w dalszym ciągu po tych samych torach. Wtedy to Taave zasnął wreszcie w swej izbie.

Zbliżał się dzień przesilenia lata.

## NA SPOTKANIE PRZEŁOMU LATA

Poezja wieczoru na przełomie lata wypełnia wszystkie kąty i zakamarki, zawisa nad zagrodami i snuje się wokół węglów domostw, gdyż jest przede wszystkim ich poezją i zjawia się o zmierzchu, a więc wtedy, gdy słońce już nie oślepia. Lato posunęło się tak daleko, że\* liście brzozy rozwinęły się już w pełni, powietrze w iz bie nie dusi się w czterech ścianach, lecz wpływa i wypływa przez otwarte na oścież drzwi i okna. Maluchy z zagród wspinają się ścieżką, która wzdłuż parkanu prowadzi po zboczu do źródła. Młody zagajnik wydaje się tam nagle cudownie żywy. Dom, gdy patrzy się nań stamtąd, wygląda jak mała, przyjazna starowinka, a plac podwórza zda się spoglądać ku horyzontowi, gdzie ma się ukazać w całej pełni lato. Gdy z komina wznosi się dym ognia rozpalonego przed wieczerzą, mała dziewczynka zrywa barwny bukiet bodziszków i jaskrów. Na polanie buduje się najpierw szałas, a potem w środku udeptuje starannie trawę. Okolona wbitymi w ziemię brzozowymi pniakami darń tworzy podłogę szałas. Ustawia się na niej niski dziecinny stolik, stołek i ławę. Wystarczy pogłaskać trawę ręką, aby się przekonać, że jest w dotyku zupełnie inna niż poza szałasem. W środku zjawia się wkrótce lalka, która ze swej kołyski wygląda przez szparę między gałązkami. Świat na zewnątrz szałas wydaje się dużo większy i jakby obcy, ale widać tam również rozległe łąny kwiatów na polnych miedzach i niebo, które sklepia się nad polem żyta. Wejście do szałas znajduje się naprzeciw drzwi domu, które przystrojono z obu stron gałązkami brzeziny. Drzwi przedsionka są na oścież otwarte, podobnie drzwi do alkierza, tak że w jego oknie widać z podwórza nie tkniętą trawę za domem i roje komarów, tańczące w ukośnych promieniach wieczornego słońca. Na parape-

cie okna stoi pstra wiązanka kwiatów. Za nią niby złote iskry rozbłyskują wirujące komary.

Gdy wieczór przechodzi w noc, przenosimy się trochę wyżej.

Ze wzgórza porośniętego starym iglastym lasem możemy w ten jasny wieczór dostrzec bez trudu daleki widnokrąg. Z tej odległości nie rozróżnia się wyraźnie zarysów długiego jeziora, ale jego barwa harmonizuje z kolorytem podwórze, brzozy i reszty krajobrazu. Widać jeszcze niemal połowę czerwonej tarczy słońca, na równinnych polach czerwone światło ściele się jeszcze wokół kwiatów wyższych roślin, ale pod ich liśćmi i po zacienionej stronie kępy czeka już nadchodząca noc przełomu lata. Przybyli z daleka na uroczystość przełomu lata goście wracają z krótkich przechadzek po wzgórzach do zagrod swych gospodarzy, wchodzą do domów, aby zjeść wieczerzę. Konie i wozy gości zostają na całą noc na podwórzach. Brzozy, z których zbudowano szalasy, stoją w swych dziewiczych, odświętnych strojach. Noc przełomu lata! Słońce zaszło. Wracajmy ze wzgórza znów w świat żytnich pól i ludzkich domostw!

Jeśli noc przełomu lata jest cicha i piękna, jak tym razem, gaśnie wszystko, co występowało najsilniej w świetle dnia. I wszystkie drobne przeżycia nocy przeło mu lata, które tu i ówdzie są udziałem najrozmaitszych ludzi, zostają niejako przeniesione pod północną przejrzystą połowę sklepienia nieba, gdzie zaczynają drgać w takt dźwięków dalekiej muzyki. Te dźwięki mówią ci, samotny widzu, o tych wszystkich doznaniach i przepełniają twe serce rzewną tęsknotą. Zazdrościsz ludziom, którzy w tę uroczystą noc coś przeżywają. Niejeden z nich w poprzednie noce przełomu lata odczuwał może dokładnie to samo, co ty, ale teraz nie pamięta już o tym, lecz ogarnięty blaskiem nowego szczęścia śpieszy do nowych, ciemnych drzwi i na swej drodze wśród

**KK**

bujającego odświętnie przepychu królestwa roślin dostrzega jeszcze nieruchome zarysy nowych kwiatów. Teraz muzyka ucichła. Wschód, zachód, południe i północ są granicznymi słupami krainy, w której panuje skrzydlaty duch lata. Wzdłuż suchych, lśniących ścieżek, nagranych przez słońce, od jednego pola żyta do drugiego, od podwórza do podwórza snuje wspaniałe sznury dzikiej trybuli. Otchłań nocy obejmuje wielkie, odwieczne, nieprzerwane życie, którego najsubtelniejszy urok kryje się w tych wieczornych godzinach w duszach i oczach ludzi. Nie kładą się na spoczynek, lecz krążą wokół, jakkolwiek na pozór mogłoby się zdawać, że wszyscy już pogrążyli się w śnie.

Lyyli z Korkee wybiera się dziś w nocy na tańce. Przygotowuje się w całkowitej ciszy, ale choć z nikim o tym nie mówi, wszyscy to przecież widzą. Pewnie i Vainó wybiera się na tańce, a może nawet już poszedł. W poprzednich latach Lyyli nie uczestniczyła jeszcze nigdy w takich zabawach, ale teraz nikt jej nie broni iść. Zresztą nikt z nią nie rozmawia na ten temat.

Ubiera się w spichlerzu, gdyż sprawą w tej chwili dla niej najważniejszą jest całkowita swoboda. Każdy szczegół ubrania otrzymuje niejako jej błogosławieństwo, a każde dotknięcie grzebienia zdaje się pieścić włosy i życzyć jej powodzenia. Umie już tańczyć, a dziś wieczorem będzie tańczyła z Eliaszem w izbie zagrody Linna.

Jest zresztą znów w zupełnie innym nastroju niż kiedykolwiek przedtem. Jej serce przepelnia szczególne uczucie swawoli, w swej wyobraźni snuje najdziksze plany. Czuje, że wpadła na trop czegoś zupełnie nowego, podobnie jak owej niedzieli, gdy myślała o małżeństwie. -- To wszystko jest nocną bomblerką i jeśli kto chce, niech się tym gorszy. Ja idę na bomblerkę, bo chcę

trochę potaćczyć... Jestem jeszcze młodą dziewczyną, ale idę. Mam swój skarb...

Wszystko: nocna bomblerka, tańce, skarb -- zdawało się oczekiwać Lyyli na jej rodzinnym podwórzu, aby natychmiast gdy tylko wyjdzie ze spichlerza przyłączyć się do niej. To wszystko zdawało się poniekąd mrugać dwuznacznie, nie troszcząc się wcale o swą opinię. Stała przed spichlerzem i widziała przed sobą ścieżkę, którą w poprzednie wieczory wspinała się na wzgórze. Teraz jednak ją minęła, skierowała się w dół ku stajni, a po tem weszła na drogę wiodącą do wsi. Wieczne wędrówki na wzgórze i różnorodne myśli z tym związane

— to wszystko jakby zostawiła w domu. -- Wtedy w niedzielę Elias obawiał się, że inni mogliby coś zauważyć. Teraz, teraz rozumiem. Spotkamy się, a nad ranem przyjdziemy tu razem... Przyjdziemy... -- Nie śmiała omal snuć tej myśli do końca... Przyjdziemy do mnie do spichlerza. ■-- Cała rodzina wydała *sia* jej obca, przeszkadzała. Natomiast obraz Eliasza stawał się bliższy, a na jego twarzy malowało się coś tak urzekającego, jak w ów sobotni wieczór, kiedy pociągnął ją swoim urokiem. Dziś jest wreszcie noc przełomu lata. Wszystko, co działo się przed tą nocą, traciło swą moc, zostało zapomniane, zniknęło. W tej chwili dla młodych ważne są tylko ładne ubrania i świeża kąpiel. Dziewczyna wędrując dalej zaczęła przypuszczać, że leśna łąka nie pragnie chyba także niczego więcej, podobnie jak ona

— Lyyli. W tę noc przełomu lata roztacza błyszczący przepych żółtych jaskrów i różowych bodiszków. Pod ścianą szopy stoją ogromne krzaki trybuli. Nisko w kotlinie sterczą jednak dziwaczne, prawie czarne osty, z pękami kwiatów na czubkach. Przypominają wysokich i smukłych panów, którzy są w złym humorze.

W tę noc młodej dziewczynie wolno nawet napić się wina, choćby nigdy go dotąd nie piła i nie znała siły jego



działania. Teraz pije w towarzystwie innych, a nikt nie bierze jej tego za złe. Nikt też nie zwraca uwagi, że dziewczyna rozgląda się, że tajemniczy urok jasnej nocy przepelnia jej serce i daje jej odczuć, iż dojrzewa i z dziewczynki przeobraża się w dziewczynę.

Lyyli ma znajomą rówieśnicę, z którą nie dzieliło jej nigdy uczucie niechęci. Dom rodziców tej dziewczyny stał mniej więcej w połowie drogi prowadzącej z Korkee do miejsca zabawy. Los zrządził tak sprytnie, iż Lyyli spotkała rówieśnicę w ubiegłym tygodniu i ni stąd, ni zowąd umówiła się z nią, że pójdą razem na zabawę. Wstąpiła teraz po nią. Matka jej jeszcze nie spała, a choć była już starszą niewiastą, powitała serdecznym uśmiechem śpieszącą na tańce dziewczynę. I tak córki zagrodników ruszyły na swoją nocną przygodę, włączając się tym samym w niewidzialny, przemożny czar, który roztacza bodajby tylko przez parę godzin coraz ciemniejsza noc. Na miejsce tańców podążają również młodzi z okolic Malkamaki, choć to daleko. Idzie stamąd Eliasz. Stawił się również młody parobczak, Taave. Nie brak dobrze już podochoconych.

Lyyli z Korkee i jej przyjaciółka wchodzi na podwórze, a potem do izby. Snute po cichu w czasie drogi myśli toną natychmiast w rozgwarze tańców i muzyki. Wieczorny zmierzch szepce, że Eliasz także nadejdzie za chwilę.

Gospodarz z Malkamaki był w doskonałym humorze. Raz po raz błyskał w śmiechu białymi zębami, a gdy się odezwał, sypały się jak z rękawa dowcipy. Poprosił Bruniusa, żeby zechciał poczekać, zbliżył się prędko do okna Eliasza i zawołał, niby rozkazującym tonem:

-- Marsz do łaźni!

Potem nie czekając na Eliasza wrócił do swego gościa i razem z nim szedł powoli w kierunku łaźni. U stóp

zbocza dogonił ich Eliasz. Malkamaki, przedstawiając obu mężczyzn, dodał przy nazwisku Eliasza:

— Wielki światowiec! Złamał już niejedno serce niewieście!

— To nie sztuka złamać serce, które już przedtem miało kraksę -- odparł Eliasz czując, że powiedział coś bardzo niestosownego. Jednocześnie jednak uznał, że tym powiedzeniem określił swój stosunek do Bruniusa, który patrzył na niego z góry, uśmiechając się zza okularów. Zauważył, że swymi słowami uraził z jakiejś przyczyny także Malkamakiego, który przez dłuższą chwilę nie błyskał zębami.

Po zrzuconiu w łaźni ubrania i okularów Brunius wyglądał dziwnie nieporadnie. Zdawało się, że z całej jego napuszonej postaci nie pozostało nic poza dwoma szerokimi, płaskimi siekaczami, które raz po raz ukazywały się pod zwisającymi wąsami, jakby przeszkadzały swemu właścicielowi. Oczy bez okularów były pełne wilgotnej łagodności. Typowy mól książkowy!

-- Pan ma na łopatkach takie śmieszne pryszczyki -- paplał znów życzliwie Malkamaki. -- Najlepiej panu zrobi, jeśli weźmie pan teraz porządną gorącą kąpiel, a resztę już załatwi jutro słońce. Ma je pan od dawna?

Temat nie był zbyt przyjemny dla gościa. Mruknąwszy więc coś pod nosem, wchodził ostrożnie na ławę, ale Malkamaki snuł dalej rozmowę:

-- Ciekaw jestem doprawdy -- rzekł -- skąd się coś takiego bierze u człowieka?!

Eliasz pokropił piec wodą i rzekł:

-- To wiąże się z pewnością z żołądkiem. A jak u pana z zębami?

Niestosowność pytania nie speszzyła już Eliasza. Bawiła go. Przez roztargnienie jednak wylał na płytę, jedną po drugiej, aż trzy warząchwie wody.

Brunius nie udzieliwszy informacji na temat swych

zębów, zaczął schodzić niezdarnie z ławy, na której niemożliwie się pocił.

-- Czyżby miał pan już dosyć? -- pytał sapiąc Malkamaki.

-- Nie jestem przyzwyczajony do sauny -- wycedził w odpowiedzi wolno i niechętnie Brunius. Mówiąc to wyrażał jednocześnie swe uczucia dla towarzyszy.

Malkamaki i Eliasz rozkoszowali się kąpielą i myli się zapamiętali.

-- Niech pan posłucha, panie gospodarzu -- odezwał się Eliasz, gdy stygli. -- Czy nie wypuściłby mi pan w dzierzawę działki pod budowę domu, gdyby mi przyszła ochota ożenić się?

— Pogodzimy się z pewnością. -- Ma się więc już takie zamiary? Upatrzył pan już może sobie dziewczynę?

— To nie powinno nastęczać zbyt wielkich trudności -- odparł śmiejąc się Eliasz i przesunął lewą dłoń po bicepsie prawego ramienia.

I teraz jednak rozmowa utknęła. Eliasz obserwował, jak Brunius bezustannie czyni próby przystosowania się do sytuacji, która była dlań niemiła właśnie z powodu jego obecności. Kiedy się rozchodzili, Malkamaki odezwał się znów żartobliwym tonem.

-- Serdecznie prosimy, niech pan zechce przyjść za chwilę do nas! Dziś bowiem, w wieczór przesilenia lata, święcimy skromną uroczystość rodzinną!

Po tych słowach Malkamaki odszedł ze swym gościem, a w miarę jak zbliżali się do dworu, postać Bruniusa odzyskiwała z powrotem charakterystyczne rysy, które zatracił chwilowo w duchocie łaźni.

Teść i zięć -- pomyślał Eliasz, patrząc na kontury odchodzących, rysujące się na niebie odświętnego wieczoru. Cała dziwaczna przygoda, jaką wyczuwało się w powietrzu snującym się nad obejściem, wydała mu

się wspólnym przedsięwzięciem tych dwu -- tak bardzo różniących się między sobą -- mężczyzn. Obraz Olgi nie pasował do tego wszystkiego. Eliaz odwrócił się i spojrział ponad dolinę, na którą spływała noc przełomu lata. Czuł się tak, jakby wysunął głowę przez okno i odetchnął świeżym powietrzem. Świadomość przewagi nad Bruniusem budziła w nim niemal obrzydzenie do samego siebie. Wydawało mu się, że nie walcząc z tym uczuciem, postępuje dziecinnie i wstrętne, ale nie umiał strząsnąć go z siebie w tej chwili.

-- A ja przecież wybieram się na tańce. Będzie tam Lyyli. Dziś jest noc przełomu lata!

Istotnie, wydawało się, że Olga nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się tego wieczoru. Szła przez mroczną salę, gdzie wśród innych gości siedział Eliaz. Na jej twarzy malowała się niecierpliwa prośba: „Nie pytaj, co to wszystko znaczy! Pogmatwałbyś tylko grę, o której w ogóle nie masz pojęcia. -- Jasne, że wyjdę za mąż... Naturalnie, byłam z tobą dziś w nocy w gąszczu olszyny, ale jaki to ma związek z tym, co się tu dzieje? -- Siedz cicho! Nie pytaj!”

Zupełnie jakby Olga sama to wszystko zorganizowała -- jak ktoś, kto rzadko coś przedsięwzię -- zdecydowana i świadoma celu, kierowała biegiem spraw. Eliaz wyczuwał to i obserwował dziewczynę jak ktoś całkiem niezainteresowany, nie biorący zupełnie udziału w toczącej się akcji. Wolałby jednak wynieść się stąd i iść na zabawę, zanim to wszystko zostanie odegrane do końca.

W czasie kolacji ogłoszono zaręczyny, osobliwy wyraz twarzy Olgi sprawiał jednak, że zarówno Eliaz, jak i reszta towarzystwa mimo woli traktowała całą sprawę jako niesmaczny żart. Brunius natomiast czuł się wyraźnie źle w tym obcym towarzystwie. Zdawał sobie prawdopodobnie sprawę, że nie stanowi z narzeczoną

dobrej pary. Olga potrafiła jednak panować nad sytuacją.

Po kolacji udano się na wzgórze, aby zapalić ognisko świętojańskie. Czemu nie? Można iść. Pasowało to doskonale do całego przedstawienia. Nastrój nie ożywił się jednak i wtedy, gdy znaleźli się na wzgórzu. Stało się to dopiero wówczas gdy do ich uszu dobiegła z daleka piosenka:

Piękna jest gospodarza Malkamaki córka, Pięknym synem szczyci się dawna gospodyni. Hop! Hop! Hola! Hop! Hop! Hola! Hola! Hola! Pięknym synem szczyci się dawna gospodyni.

Chłopak jest śmigły jak sosna, ma szczupłe biodra, Dziewczyna pulchna, szeroka i ogromnie szczodra. Hop! Hop! Hola! Hop! Hop! Hola! Hola! Hola! Dziewczyna pulchna, szeroka i ogromnie szczodra.

Wybrała się na spacer, gdzie strome urwisko, Wkrótce i piękny chłopak znalazł się tam blisko. Hop! Hop! Hola! Hop! Hop! Hola! Hola! Hola! Wkrótce i piękny chłopak znalazł się tam blisko.

Zaraz się ukryli, gdzie rośnie sosna stara, Objęli się, ściskali -- bardzo czuła para! Hop! Hop! Hola! Hop! Hop! Hola! Hola! Hola! Objęli się, ściskali -- bardzo czuła para!

Każde słowo piosenki docierało z krępującą wyrazistością i całemu towarzystwu wysoko na wzgórzu nie pozostało nic innego, jak słuchać z uroczystą powagą, aż wreszcie śpiew utonął w salwie śmiechu. Jedna tylko Olga zachowała całkowity spokój i dzięki temu zdawała się przewycięzać przerażenie reszty towarzystwa. Zmarszczyła czoło, unosząc wysoko brwi, ale jej oczy i usta śmiały się, jakby wyczuwała w tym wszystkim coś śmiesznego, tylko nie zdążyła jeszcze odkryć istotnego sensu słów. Spojrzała na Eliasza. Sytuacja była tak

naprężona, że Eliasz nie mógł już dłużej nad sobą panować. Wybuchnął głośnym śmiechem i zataczając się zbiegał wielkimi susami ze zbocza...

Przygoda Taavego zaczęła się z wybiciem godziny piątej po południu. Był na polu, gdzie kazano rozrzucać obornik. Robota była monotonna, ale jego umysł zdawał się pracować gorączkowo nad czymś, co znajdowało się gdzieś bardzo daleko. Myślał tak intensywnie, że uwidoczniło się to przez cały czas w jego ruchach. Jednocześnie nucił coś bez przerwy, ale poszczególnych słów *nie można* było zrozumieć. Praca, myśli i piosenka -- wszystko posuwało się naprzód w tym samym porywającym tempie. Pracował na akord. Przed godziną piątą skończył robotę.

W tym czasie był zadowolony z siebie i pełen niecierpliwego oczekiwania, że nie żywił już wrogich uczuć wobec dworu. Z każdą minutą zbliżał się do urzeczywistnienia swoich radosnych planów, które obmyślił tego popołudnia. Wcisnął czapkę głęboko na czoło, aby osłonić oczy przed blaskiem nisko stojącego słońca i schodził wolno ku zagrodzie. Gdy przy wciąż słabnącym świetle dnia wkraczał na podwórze, nucenie przeszło powoli w półgłośnie pogwizdywanie. Nieco później, gdy wypuszczał konia na pastwisko, kwitnąca na zboczu jarzębina rozsiewała już nastrój wieczoru przełomu lata.

Taave rozkoszował się swymi gorzko-słodkimi planami. W izbie opanowało go rozrzewnienie na myśl, że niebawem będzie musiał pożegnać te kąty, które stały mu się tak bliskie, że to jego ostatni wieczór tutaj, że nie położy się już nigdy na tym łóżku. Rozrzewnienie jest przyjemnym stanem i Taave poddawał mu się zupełnie tak samo, jak niejednokrotnie przedtem ulegał w tej izbie rozmaitym innym uczuciom. Zjadł kolację, przebrał się w niedzielny garnitur, nie od razu jednak poszedł do gospodarza. Najpierw chodził po wielkim

pokoju tam i z powrotem. Raz po raz stawał przy jednym z okien, wkładał kapelusz to więcej na bakier, to mniej, a przez cały czas nucił swawolną melodię, w której pobrzmiwała żalosna nuta.

-- I pomyśleć, że pewnego razu przekroczyła ten próg dla mnie. Nie śpieszyła się tego wieczora!... niech ją diabli porwą! -- Była to, co prawda, stara historia, lecz w tej chwili Taave niezachwianie wierzył, że piosenka, którą dziś właśnie ułożył, nie zawiera właściwie nic obraźliwego w stosunku do Olgi. Gdy wyobrażał sobie, że śpiewa z przejęciem i głośno, tak, żeby Olga mogła słyszeć jej słowa i z daleka, wydawało mu się, że w oczach dziewczyny widzi ten sam wyraz, co wtedy na wiosnę, gdy tańczyli z sobą. A syn dawnej gospodyni niech sobie tego posłucha!... Wspomnienie Eliasza dźgnęło go jak nóż. Poczł się nagle tak, jak gdyby w obecności licznej tłumu podjął się chępliwie podnieść kamień, którego nie ma siły dźwignąć. W ciągu ostatnich dni Taave widział bezustannie w swej wyobraźni to, co zaszło między Olgą a synem dawnej gospodyni. Pojękując z bólu usiłował uwolnić się od tych obrazów. Z chwilą jednak, gdy postanowił, że tej nocy zniknie po cichu z zagrody, wszystko wydało mu się poniekąd jaśniejsze i łatwiejsze do zniesienia, a on sam --- bardziej męski. W porównaniu z szerokim światem, który otwierał się teraz przed nim, wszystko to przecież nie miało znaczenia. Prawdziwy kawaler musi mieć właśnie podobne wspomnienia. Taki chwyt jak chociażby syn dawnej gospodyni miał za sobą z pewnością dużo przeżyć tego rodzaju. Widać to było po jego obrzydłym zachowaniu się, po jego powściągliwych ruchach i spojrzeniu oczu. I znów przed oczami Taavego stanął obraz tego, co zaszło między Olgą a synem dawnej gospodyni, i znów poczuł nóż w sercu. Raptem oładnęło nim przygnębiające uczucie beznadziejności, że żadna

dziewczyna nie będzie mu nigdy sprzyjała, że nigdy w życiu nie będzie prawdziwym lowelasek i donzu-anem. Zaczął już powątpiewać, czy poradzi sobie z butelką, która czeka na niego w Vahamaki...

Myśli Taavego błąkały się tu i tam. Przypomniało mu się, jak będąc jeszcze małym chłopcem podziwiał dorosłych mężczyzn, którzy o tej samej letniej porze wychylali w sobotnie wieczory, butelkę gorzałki... Ach! Żeby poderwać dzisiejszej nocy jakąś dziewczynę! W rozchobotanej wyobraźni Taavego ukazał się ponownie oszalamiający obraz Olgi --■ cel wszystkich jego pożądań.

W tym nastroju spakował pośpiesznie swoje robocze odzienie oraz buty i schował zawiniątko w głowach łóżka, potem wcisnął na bakier kapelusz, ukrył swoją bezradność pod zuchwałą miną i ruszył, aby porozmawiać z gospodarzem. O ty, pradawna czarodziejska potęgo nocy na przełomie lata, postaraj się, żeby Taave miał dzisiaj dziewczynę! Spójrz tylko, jak z tą myślą jedynie wszystko teraz rozkwita w całym swym przepychu! W powietrzu panuje cisza, nie czuje się najlżejszego tchnienia wiatru. Kwitnie jarzębina. Zewsząd płynie zapach odświętnych sukienek i ciał dziewczęcych. Cała noc jest stworzona tylko po to, aby ją przehulać lekkomyślnie i beztrąsko. A kim jest właściwie Taave z Malkamaki? Godnym pożałowania nieborakiem, który nigdy jeszcze nie dokonał jakiegoś męskiego czynu, choć wkrótce skończy dwudziesty rok życia. Jeden jedyny raz rozkwasił komuś pięścią mordę, ale i wtedy czuł się wyrostkiem, który ucieka się pod opiekę dorosłych chłopów i jeżeli nawet wbrew swej naturze próbował później niekiedy zaczepiać, to jednak potem przez długi czas nie mógł się uwolnić od żalnego przerażenia, jakie ogarnęło go w czasie bitki. Czyż los nie uczyni go nigdy dość twardym? Czy nigdy nie będzie

**M**



jednym z tych zuchwałych, obrotnych w gębie zabijaków, których podziwia całą duszą, bo sam nigdy w życiu nie będzie chwatem, który za jednym zamachem potrafi wymieść z sali całe towarzystwo? W swych najlepszych godzinach śni wprawdzie o podobnych wyczynach, lecz wtedy, prawdę powiedziawszy, zapomina, kim jest w istocie.

Dziś wieczorem jednak dokona dwóch męskich czynów: po pierwsze -- weźmie od gospodarza zaliczkę na należną mu zapłatę, a potem ucieknie ze służby, po drugie -- w Vahamaki czeka na niego gorzałka.

Gospodarz otworzył książkę rachunkową i powiedział: -- Taave wybrał już dość dużo, a do końca roku jeszcze daleko. Czy Taave zamierza dokądś wyjechać? -- Myślałem, że warto by pojechać do domu. Wystrojona, bujna w kształtach, weszła do pokoju Olga. Taave nie patrzył na nią, wlepił uparcie oczy w gospodarza. Przyszła mu na myśl jego piosenka i od razu uświadomił sobie, że za nic nie mógłby jej wyreytować w czyjejs obecności, nie mówiąc o zaśpiewaniu. Olga powiedziała coś o łaźni i opuściła pokój. Gospodarz wypłacił pieniądze, Taave odwrócił się na piętach i wyszedł. Ponieważ wszystko poszło jak z płatka, nie czuł już dawnego podniecenia na myśl o wizycie w Vahama-ki, choć Iivari będzie z pewnością w domu. Wręcz przeciwnie, cieszyło go to, gdyż uświadomił sobie, że taki zuch jak on nie potrzebuje się bać Iivariego. -- W kapeluszu wciśniętym na bakier oddalał się powoli od zagrody.

...Wyśpiewywanie piosenek to dziecinna zabawa. Co mam sobie z niej robić, do diabła! A mimo wszystko dobrze byłoby przeżyć z nią to i owo!

Zdawało mu się, że ta cała historia z Olgą została hen za nim, gdzieś na drugim brzegu jeziora. Tam przed

nim pozdrawiały go teraz gościnnie ganek i drzwi wejściowe Vahamaki, jak gdyby złośliwie uśmiechnięty kumpel...

Gorzalka burzyła Taavemu krew w żyłach, a była to noc przełomu lata. W izdebce Vahamaki stała na stole filiżanka kawy, z namalowanym kwiatem nagietka. Po nagrzanej ciepłym lata szybie wędrowała mucha. Kiedy wyszedł na podwórze za węgiel domu, usłyszał raptem głos jemiołuszki. Słyszał także, jak krew pulsuje mu w żyłach. A tam daleko leżało Małkamaki... Taa-ve stał na dworze za węglem domu i szeroko otwartymi *oczami* wpatrywał się w dalekie obejście swego do tymczasowego pracodawcy.

-- Piękna jest gospodarza Małkamaki córka -- mru czał pod nosem -- pięknym synem szczyli się dawna gospodyni...

Bawiło go, że wraca znów do izby, ale w tym wszystkim najbardziej cieszyło go to, że na zegarze było już po dziewiątej. Teraz na zabawę! Na tańce!... Prześliczne słowo! Prawie równie piękne jak gorzalka. -- Taave zapomniał w tej chwili o swej tęsknocie za dziewczyną, a jeżeli nawet nie zapomniał, to w każdym razie niewiele się nią przejmował. A tam huczała muzyka, z którą mieszał się zgiełk ludzki... Na kłosa żyta kładło się nadal czerwone światło. Ich blask był jakby echem tanecznej muzyki, której dźwięki docierały aż tutaj wyraźnie.

-- Czyby państwo nie chcieli, żebym zaśpiewał? -- spytał Taave.

Nie zrozumieli, o co mu chodzi, ale Taave zaczął wykrzykiwać na całe gardło swoją piosenkę, a oczy mu się przy tym śmiały i pały. Inni przysłuchiwali się, zdumieni, a w duszy Taavego ktoś również słuchał z zapartym tchem jeszcze bardziej zdumiony. Wreszcie któryś z mężczyzn zaśmiał się głośno nagle i równie nie-

oczekiwanie, jak Taave zaczął przedtem śpiewać. Wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem, siadając na ziemi. Trudno było rozsądzić, czy Taave jest zuchem czy też głupcem. Śmiał się najgłośniejszym, co przemawiałoby raczej za tym, że jest zuchem. Szala przechyliła się całkowicie na jego stronę, gdy zawołał:

-- No, młodzi! Teraz do Linna!

Obecni nie mieli nic przeciwko temu. Ruszyli więc za Taavem. I tak to po raz pierwszy Taave przewodził gromadzie.

Kiedy mieli jeszcze szmat drogi do zagrody Linna, zobaczyli, że Lyyli z Korkee i Anna Harjunpaa wchodzi na podwórze.

-- Popatrzcie na dziewczyny! Cha! cha! cha!

--- Myślisz, że one...

-- To się wie, że jedna i druga...

Pogaduszka nie przypadła do smaku wewnętrznemu słuchaczowi parobczaka, ale rzeczywisty Taave roześmiał się szyderczo i to pomogło.

Gdy podeszli bliżej, muzyka rozbrzmiała na całego, jakby z radości, że słońce wreszcie zaszło.

Sala tańców jest miejscem, gdzie nocą krzyżują się drogi wielu ludzi, gdzie łączą się oni z sobą w najrozmaitszych kombinacjach, splatają, a nad ranem znowu się rozchodzą, aby następnie rozproszyć się często w różnych kierunkach i porzucając stosunki, które ich poprzednio łączyły, nawiązywać nowe. Całe towarzystwo tworzy zgodną, jednorodną masę, w której ten i ów jest trochę silniejszy. Muzyka dostosowuje się do nastroju tej masy, jej melodia działa jak zespalająca i zarazem podniecająca siła. Jeśli nie uda jej się porwać wszystkich, pozostała na uboczu reszta wyżywa się w gwałtownej bijatyce.

Ze słoczzonej w drzwiach ciżby ludzkiej wynurzył się Elias. Na jego twarzy maluje się jeszcze coś z we-

sołego nastroju, jakiemu się niedawno poddał, i przyjemne podochoconie winem. Wyróżnia się trochę za bardzo wśród innych, ale fala ogólnego nastroju podniosła się już tak wysoko, że nikt nie zwraca na to uwagi. Nigdzie nie widać Lyyli i Eliasz godzi się natychmiast z myślą, że dziewczyna w ogóle nie przyjdzie. Nie będzie mu jej brakować.

W tejże samej chwili w drzwiach od komory ukazuje się najpierw gospodyni zagrody, a za nią Lyyli. Eliasz czuje, jak robi mu się na sercu ciepło. W porównaniu ze zdarzeniami, które się dopiero co rozegrały, jego sto sunki z Lyyli wydają mu się niezwykle proste.

Spójrzcie! Taave zręcznie się zbliżył i zaprosił dziewczynę do tańca! Mijają go i Lyyli patrzy na Eliasza oczyma, które pałają dziwnym blaskiem. Jest już wolna, Eliasz zbliża się do niej i teraz on z kolei zaprasza ją do tańca. Tańczą więc z sobą syn dawnej gospodyni z Malkamaki i dziewczyna z Korkee. Póki tańczą, nie przyznają się nawet przed sobą, co czują. Ale dziś jeszcze, trochę później w nocy, spotkają się sam na sam. Widać to już teraz po obojgu. Daleko, daleko stąd będą przechadzać się po ziemi, nad którą unosi się pozostawiony sam sobie duch nocy na przełomie lata. Wybiła już bowiem północ. Lyyli z Korkee rozgląda się. Jest sama. Eliasz z Malkamaki właśnie wyszedł.

Za węglem domu Eliasz podchodzi do Taavego. Patrzy na niego lodowatym wzrokiem. Mówi spokojnie:

-- Co to wszystko ma znaczyć, do diabła? Skąd ci się wzięło układać piosenkę na mnie i na dziewczynę, która jest narzeczoną innego?

Taave nie odpowiada. Mruczy tylko coś pod nosem i schodzi Eliaszowi z drogi. Przygaś, jak zwiędły hałdach jarzębiny, który wsunął w dziurkę od guzika. Nie wraca do izby, lecz znika za innym węglem domu. Nastrój na sali osiągnął swój szczytowy punkt. Ten

i ów już wie, w którym towarzystwie opuści zabawę. Taave ociąga się jeszcze trochę. Stoi na dworze, za węgłem domu, wsłuchuje się w zgiełk tańczących i spogląda ku Malkamaki. Usta krzywią mu się do płaczu. Nie odejdzie stamtąd, nie rzuci Malkamaki. Nie ma po prostu siły, aby to zrobić. Oszłomienie minęło. Znowu przypomina mu się, że wczoraj wieczorem śpiewał obelżywą piosenkę. Wstyd mu, czuje swą podłość. Niezdecydowany waha się dookoła i, niby z innego świata, dociera do jego uszu krzyk kogoś, kto wypada z izby:

— O rety! Na miłość boską!

— Wynoś się! Wynoś się stąd! -- krzyczy inny głos. --  
Już cię nie ma! Nic tu po tobie!

To Kalle zabrał się do dzieła i znowu wyrzuca Iivariego. Iivari wzywa na pomoc Taavego, ale ten nie troszczy się wcale o niego. Instynktownie stoi w dalszym ciągu bez ruchu, jak zając, który przycupnął w za roślach. Dopiero, gdy krzyk się oddalił, a w końcu zupełnie ucichł, Taave, zataczając się lekko, wraca do izby, gdzie wszyscy w dalszym ciągu tańczą najspokojniej w świecie, tylko, że w czasie nieobecności Taavego towarzystwo przerzedziło się już trochę. Chłopiec nie zdobywa się nawet na uczucie wstydu, choć ma wrażenie, że wszyscy dookoła patrzą na niego. Szczytem szczęścia jest teraz dla niego zaszyć się w kącie izby, za grajkiem. Stamtąd widzi, jak syn dawnej gospodyni wychodzi z komory razem z Lyyli z Korkee i obejmuje ramieniem dziewczynę. Tańczy z nią, a w jego oczach, wokół jego ust widnieje ten sam uśmiech, który już dawniej drażnił Taavego. Ten uśmiech zdaje się promieniować nawet z jego ubrania, ale Taavemu jest to już teraz obojętne... Znowu wychodzi parę osób. Taave jest bliski zaśnięcia, lecz nawet teraz, zmorzony snem, dostrzega, że Elias zamierza opuścić izbę z Lyyli z Korkee. Wtedy przypomina sobie słowa Iivariego: „To się wie, jedna i druga”.

Wydaje mu się, że wszyscy tańczący mają straszliwie poważne miny, jakby ciężko pracowali na akord. Zaba wa ciągnie się już tak długo. Taave jest coraz bardziej znużony.

Senność ciąży już na wielu otępiałych oczach. Trudno teraz tańczyć w takt skocznej polki. Siedzą i wypoczywają. Słońce już weszło. Spójrzcie tylko, jak widno! Widać kurz na ubraniach i obuwiu. Drzwi izby stoją otworem, do środka napływa nasycony wilgocią chłód. Wiele twarzy, które widziało się w nocy, dawno już gdzieś znikło, a w rysach pozostałych dostrzega się osobliwie zgnuśniałą apatię. Zniknęli także Elias z Malkamaki i Lyyli z Korkee. Muzyka milknie i siedzący za grajkami parobczak budzi się, a na zalane światłem słonecznym podwórzu wychodzą właśnie ostatni maruderzy, niczym wesola straż tylna.

Tak wyglądała zabawa taneczna w zagrodzie Linna na przełomie lata.

Lyyli i Elias schodzą ścieżką ze wzgórza w kierunku Korkee. Nie odzywają się do siebie, a jednak ich serca prowadzą ożywioną rozmowę. Może właśnie dlatego milczą? Wszystko, co zamyka w sobie to milczenie, staje się pełne napięcia w chwili, gdy wysoko na wzgórzu mijają znajome miejsca -- swoich dawnych spotkań i rozstań. Tym razem jednak nie zatrzymują się tutaj. Oboje starają się udawać, że ani im w głowie przystanąć na chwilę. Ranek jest jeszcze bardzo chłodny. Toteż idą szybkim krokiem, jakby najważniejszą w tej chwili rzeczą było znaleźć się w ciepłym pokoju...

I tak o pierwszym brzasku poranka Lyyli i Elias znaleźli się w Korkee. Dziewczyna przeżywa w dalszym ciągu radosną noc zabawy. Przez cały czas czuła, że Elias mile na nią spogląda, a ponadto -- że jest królową zabawy. W pewnej chwili, tańcząc z Eliaszem, szepnęła mu do ucha:

— A może poszlibyśmy już do domu?

Eliasz przycisnął ją do siebie i odparł:

— Tak... Chętnie.

Po tych słowach zaległa cisza, której nie ośmielają się przerywać i teraz, gdy docierają do Korkee i przez bramę wchodzi na podwórze, by przekroczyć próg spichlerza. Drzwi zamykają się za nimi na klucz i pozostają zamknięte przez dwie godziny, jakby pogrążone w pełnym napięciu oczekiwaniu.

Przez całe dwie godziny ranka! Słońce świeci już jasno. Drzwi mogą być spokojnie zamknięte. To przecież świąteczny ranek!

Niech to będzie dramat muzyczny! Instrumenty powtarzają motywy z poprzednich spotkań i dawnych uczuć tych dwojga ludzi, a widzowie patrzą z napięciem na zamknięte drzwi spichlerza w głębi sceny. Instrumenty powtarzają tak dawne motywy, jak pierwsze czarowne spotkanie, kiedy młodzieniec zapytał: „Jak ci się wiodło?“, a dziewczyna odparła: „Dziękuję, dobrze“. A potem następują letnie noce na wzgórzu z motywem śpiewu drozda... Na falach dźwięków ta cała bajka spływa w świat widzów, a zamknięte w dalszym ciągu drzwi spichlerza mówią oczom to samo, co dźwięki uszom...

Potem melodia przycicha, jakby spodziewając się, że coś się stanie.

W bocznych kulisach otwierają się drzwi domu i wychodzi z nich ojciec dziewczyny. W tejże samej chwili uchylają się leciutko -- tworząc wąską szparę, drzwi spichlerza -- młody człowiek nie wie, co zaszło na podwórzu -- potem jednak zamykają się szybko z powrotem. Ojciec to widzi i przez moment patrzy uważnie na drzwi. Nie zbliża się tam jednak... Wraca do domu, a w parę chwil później drzwi spichlerza otwierają się ponownie. Ukazuje się w nich młodzieniec i przechodzi przez podwórze, nadrabiając miną jakby chciał rzec:

-- Widzicie, nie kryję się z tym, co robię!

I widzowie obserwują, jak młodzieniec oddala się na tle porannego krajobrazu, który rozjaśnia się coraz bardziej. Wśród rozlicznych kwitnących ziół widzą tu i ówdzie białe kulki puchu mniszka. Patrzą jak młodzieniec odchodzi tam, gdzie rozgrywały się poprzednie akty letniej bajki. Razem z nim przeżywali scenę w olszynie, a później -- scenę w alkierzu, uczestniczyli także w tym, co działo się przy ognisku świętojańskim.

Drzwi spichlerza są nadal zamknięte.

Na dworze zaczyna się długi dzień przełomu lata. Matka Eliasza krząta się już wesoło w swoim domu, ale w głównym budynku na górze śpią jeszcze i Olga tylko co zaręczona, i Brunius, i ojciec Olgi, i Taave.

W Korkee śpi Lyyli, a nieco dalej, w skąpanej przez słońce sali tańców śpi na wszystkim gruba warstwa ku rzu. To ostatni ślad nocy przełomu lata -- nocy, która nigdy nie wraca taka sama, jak była. Nigdy nie powtórzy się ta noc przełomu lata, podobnie jak nie powtórzy się czas, który przyjdzie po niej.

#### W SŁONECZNYM BLASKU

Wieczór poprzedzający dzień świąteczny jest najurozystszy ze wszystkich wieczorów.

Dla ogromnej większości ludzi wieczór ten zdaje się mijać niepostrzeżenie. Nigdy nie można powiedzieć kiedy się właściwie zaczął. Czy w chwili, gdy Lyyli opuściła rodzinny dom, aby iść na tańce, czy wtedy, gdy już nie było jej widać z okna, a może wówczas, kiedy w Korkee rodzice wraz z młodszymi siostrami zasnęli i żadne oko ludzkie nie spoglądało już na zagrodę? To nastrój tego wieczoru rzucał swój cień na Taavego z



Malkamaki, gdy stał za węglem domu w Vahamaki i słuchał śpiewu jemiołuszki i własnego tętna, w którym wyczuwało się w dalszym ciągu oszołomienie, a jednocześnie wystraszonymi oczami wpatrywał się w widnokrąg i bezwiednie próbował nucić swoją piosenkę. Spośród tych wszystkich ludzi mało kto jednak zwrócił we właściwym momencie uwagę na początek święta. Jedni spali, drudzy święcili zaręczyny, jeszcze inni przetańczyli całą noc, paru grzmociło się, a bardzo wielu spędzało poranne godziny z dziewczętami.

W dzień przełomu lata było już po święcie, wszelkie nastroje wieczorne ulotniły się gdzieś daleko. Wszystko zdawało się całkiem naturalne; kwitnąca jarzębina i trybula, łąki na zboczach strojne w jastry i firletki, samotna przechadzka bez celu w świątecznym ubraniu, promienie słońca, które pod wieczór połyskują tak wesoło w listowiu brzoź na wzgórzu, śpiewane chórem pieśni. Najpierw śpiewało się całą pieśń wyraźnie, ze wszystkimi słowami, potem nuciło się ją tylko. Śpiewanie stawało się celem samym w sobie. Był przecież wieczór dnia świątecznego -- na dworze panoszył się nie zaproszony przez nikogo cały przepych lata, który osiągnął teraz swoją pełnię. Jutrzejszy dzień będzie dał szym ciągiem dzisiejszego, podobnie jak później poja-trze jutra i najbliższa niedziela, i niedziela, która po niej przyjdzie... I tak dalej i dalej na morze lata.

Jest już tyle zieleni i kwiatów, iż nikomu nie przyjdzie do głowy czekać na nowe -- dopóki nie zauważy, że znów jakieś rozkwitły i nie przypomni ich sobie z ubiegłych lat. Rozkwitają więc nowe, ciągle nowe kwiaty i rozwój lata jest w pełni zabezpieczony. Tymczasem niepostrzeżenie przekwitła jarzębina i pewnego wieczora uświadomiasz sobie, że to już tydzień minął od dnia przełomu lata. Wędrujesz twardą, spaloną drogą, po obu stronach kołysze się żyto wysokie jak ty sam. Na tej

falującej równinie w łagodnym blasku zachodzącego słońca czerwienią się kłosa. Nad drogą płasają roje drobniutkich muszek, wydaje się, że skupia się na nich światło znad drogi i pola. Ale pod wysokimi źdźbłami żyta panuje już coś, co przypomina mrok. Jest tam już chyba chłodniej. Kłosa strzelają z nizin, o których nic nie chcą wiedzieć. Chcą jednego: zatrzymać czerwień uciekającego słońca. Ale słońce ściąga w dół jakaś niewyciężona, potężniejsza od niego samego siła, której w końcu musi się poddać. Zachodząc jednak, pozostawia swą część, która włącza się we wszystko, czerwieni się i pozwala niezliczonym twarzom ludzkim, kiściom kwiatów i szczytom domów patrzeć sobie w oczy. Potem jednak, parę minut wcześniej niż na przełomie lata zachodzi całe. Tak, przełom lata już za nami...

Ostatnimi poetycznymi wysepkami wiosny, które przesunęły się obok, zanim wypłynęliśmy na otwarte morze lata, były: najkrótsza noc roku, uroczystość zaręczynowa i -- trochę w głębi -- nocne godziny po tańcach. Widać je było jeszcze wyraźniej w dzień przełomu lata, ale kiedy otulił je później słoneczny blask szeregu następnych dni, stopiły się coraz odleglejszym rąbkiem wiosennego brzegu. Nie spoglądano już ku nim, w zamian za to zaczęto patrzeć uważnie na bezkresny przestwór lata, a potem na swoich sąsiadów. Zmiana nastąpiła w pewien piękny i skwarny dzień lipca.

Brunius wyjechał z Malkamaki zaraz po przełomie lata. Pozostali tam jednak Olga i Elias, i to w najbujniejszej porze. Dopiero czwartego dnia po przełomie lata Elias ujrzął znowu Olgę. Ujrzał ją z daleka, ona jednak go nie zauważyła. -- Oto idzie kobieta -- myślał. Uświadomił sobie, że patrzy teraz na nią innymi oczami niż dawniej. Była kobietą, a on mężczyzną. Dziwne, jak bez znaczenia wydały mu się obecnie jej zaręczyny. Tam w oddali szła Olga. On natomiast, Elias, wracał od

Lyyli. Było mu więc raczej obojętne, czy idąca kobieta, chciałaby się czegoś o nim dowiedzieć, czy nie. W wieczór przełomu lata Olga zaręczyła się z niejakim Bruniussem i z tej okazji parobczak Taave ułożył piosenkę o niej i Eliaszu.

-- Piękna jest gospodarza Malkamaki córka...

-- Gospodarz Malkamaki ma córę...

Eliasz odczuł coś w rodzaju satysfakcji i cichej błogości. Mimo wszystko dobrze było wiedzieć, że Olga mieszka w tej samej zagrodzie, co on i śpi każdej nocy oddalona od niego zaledwie o sto kroków. Przyjemnie było także wiedzieć, że minął już przełom lata, że jest sucho i ciepło, że za dalekim konturem jego domu rozciąga się jeszcze inny świat, że w tym świecie wszyscy młodzieńcy koło dwudziestki tworzą odrębny ludek, że ich życie ma swoją własną treść i że w tym szerokim świecie obok nich żyją dziewczęta.

Zgrabna, dorodna Olga była jedną z tych dziewcząt. Kiedy po zaręczynach została znowu sama we dworze, było jej przyjemnie, lecz do pewnego stopnia z poczucia obowiązku. Przechadzając się teraz po wzgórzach, miała wrażenie, że ludzie patrzą na nią i myślą o jej zaręczynach. Te urojone spojrzenia pomagały jej zachować równowagę umysłu. Nietrudno już jej było omijać okno Elia sza; wołała raczej krążyć wysoko, po wzgórzach. Stamtąd odkryła nowe, śliczne miejsce na północ od Malkamaki: cypel otoczony brzezinowym gajem. Drzewa po środku cypla były wycięte, a na polanie stała szopa. Ku plaży spadało strome urwisko, porośnięte sosnami, a u jego stóp zielenił się bujny las liściasty. Minęła łąkę, znalazła poniżej skały niewielką polankę, usiadła, a w końcu rozebrała się do naga. Był skwarny, lipcowy dzień.

Co to jednak stale jej przeszkadzało -- jak niewygodny szczególnie ubrania? Choć nie widziana przez nikogo zażywała z dala od domu w pełni wymarzonej swobody,

nie czuła się bynajmniej dobrze. Odczuwała jeszcze dotkliwiej, że upał wzmagą się, a z każdym dniem przecież będzie się wzmagał. Wydawało się, że całe niebo gdzieś wędruje, oddala się, coraz bardziej oddala, a ona tymczasem siedzi sama tu, wśród zarośli, zapomniana, oderwana od życia, które płynie i w którym zawarte są i rozedrgane powietrze, i skwarne niebo, i wszelkie bytowanie na ziemi. Zaręczyła się i ani się spostrzegła, jak weszła na obcą sobie, irytująco jednostajną drogę. Doprawdy -- teraz dopiero przyszło jej to do głowy -- myślała dotąd jedynie i wyłącznie o swych zaręczynach, a tymczasem powietrze, pogoda i niebo -- właśnie życie... odpłynęły daleko. Nagle jakby czymś wystraszona, zerwała się na równe nogi. Ujrzała przed sobą życie, wśród którego mijały jej tygodnie przed przelomem lata. Ujrzała siebie z tego okresu. Wchłaniała niejako ogólne wrażenie jakiegoś udanego dzieła sztuki. Jednocześnie przypomniała sobie jeszcze raz uczucie całkowitej bezsilności, które na przedwiośniu ogarnęło jej osamotnienie, nie rozbudzone jestestwo. -- Tak, to uczucie obezwładniało ją zawsze. Ujrzała znów mężczyzn, których ojciec zapraszał do domu, aby próbowali zalecać się do niej... Co się tyczy Bruniusa, sprawa była jasna. To było zupełnie coś innego... Ale obecny stan jest także czymś zupełnie nowym. Zostałam w tyle... czuję się całkowicie wyobcowana...

Zaczęła się pośpiesznie ubierać, jakby nadarzyła się ostatnia, szybko przemijająca okazja naprawienia wszystkiego, co dotąd zaniedbała. A przecież sama nie wiedziała, co począć, choć tak jasno uświadomiła sobie teraz swoje położenie. Wiedziała tylko jedno: że nie może tu dłużej leżeć i zażywać kąpieli słonecznej. Czuła, że musi gdzieś iść, obojętnie gdzie -- aby się tylko rozruszać.

Olga, dorodna, piękna Olga śpieszyła w ten upalny

dzień ku nieznanemu przeznaczeniu, a cały świat jej myśli wstrząsał jakby lekki dreszcz. -- Eliaz stał się dla mnie kimś zupełnie obcym... Jak ja się mogłam w ogóle zachować w ten sposób wówczas, w wieczór przedmu lata? I ta piosenka... -- Olga uprzytomniła sobie nagle obłudę, której hołdowała w ciągu tych ostatnich dni cała jej istota. Przypomniała sobie, jak udawała, że w ogóle nie pamięta już ani trochę Eliasza; jak odgrywała narzeczoną przed pustymi pokojami, a nawet przed drzwiami i krzakami lasu, a nawet przed swoją własną, wałęsającą się dokoła personą. -- Naturalnie, była narzeczoną. To jasne, tego nie trzeba sobie dopiero przypominać, to fakt, który do pewnego stopnia przechowuje gdzieś skrycie w swojej sypialni. Ogień, który w niej płonie, bierze się skądinąd. To zupełnie coś innego... To coś było przez nią całkowicie zaniedbane, gdy dzień po dniu trzymała się kurczowo swych zaręczyn.

Opuszczając polanę na skalistym zboczu, nie miała jeszcze określonego celu, ale bardzo znamienne było to, co zrobiła, nic sobie nie uświadamiając. Od dłuższego czasu była rozłączona ze swym Eliazem. Czekala i wątpiła. Teraz ogarnęła ją wspaniała, podniecająca niepewność, czy Eliaz, kiedy się z nim na powrót spotka, będzie taki sam jak dawniej, czy zauważy ją, gdy będzie przechodziła koło jego okna, jak niegdyś, kiedy się w sobie kochali. Czy w ogóle będzie teraz stał w oknie -- a jeżeli tak, czy uśmiechnie się do niej?

Z nieba lał się żar upalnego lata.

Olga wspina się wolno na wzgórze. Mija właśnie dobrze sobie znane okno. Stojący w nim Eliaz zaczerwienił się, czuł, że oczy zachodzą mu mgłą. Uśmiechnął się i uklonił -- nie mógł inaczej postąpić. -- Był przy tym wyraźnie zmieszany. Żadne nie odezwało się słowem. W chwilę potem, gdy Olga już się oddaliła, niebo i ziemia, cały świat przybrały w ich oczach z powrotem no-

wą, jakby ponadczasową barwę, którą spostrzegli po raz pierwszy wtedy, gdy razem spoglądali na znikające zarysy ostatnich wysepek wiosny. Teraz, znalazłszy się na pełnym morzu lata, przestali nagle oglądać się wstecz. Patrzyli na bezkresny przestwór i -- na siebie.

Nic dziwnego, że zmiana, która dokonała się owego wieczora, zakręciła im w głowie. Ale już nazajutrz nie pamiętali o tym. Owładnął nimi żar, nie widzieli już ani brzegów, ani granic dla lata czy dla żaru. Uroczystość na przelomie lata i zamknięty przez nią okres był dla obojga czymś, co należało do tak dawnej przeszłości, że nie byli pewni, czy rzeczywiście to wszystko przeżywali. Olga pisywała listy do Bruniusa, ale nie płynęło to z potrzeby serca, a po prostu z chęci zapewnienia so bie dobrego samopoczucia, podobnie, jak w czasie uroczystej biesiady ktoś odchodzi na chwilę, aby umyć na ustroniu ręce i przez to spotęgować swój i tak już dobry nastrój. Gdy skończyła list, siadała do pianina i grała, grała tak długo, póki coś jeszcze widziała. Gdy się zupełnie ściemniło, wychodziła, krążyła tu i tam i mogła również widywać Eliasza. Z drogi prowadzącej z doliny w górę, ku kłonom i zagrodzie, można było jeszcze zobaczyć skrawek czerwonej tarczy słońca, która w osobliwy sposób przypominała o dawno minionym lecie... Nie rozmawiali z sobą. Coś ich od tego powstrzymywało.

Przygotowania do ślubu Olgi posuwały się naprzód. Ustalono już związane z tym terminy. To było przyjemne zajęcie. Dzięki temu, że znała datę ślubu -- chciała jak najlepiej wykorzystać czas, który jej do tego dnia pozostał.

Czas ten stanowił niejako całość, niepodzielny, słoneczny widok, w którym każdy szczegół był żywy i pełen treści. I dlatego też przygotowania były równie wspaniałe co bolesne.

Olga odczuwała jednak lęk przed Eliaszem i wciąż uciekającym czasem i to właśnie nie pozwalało jej rozmawiać z młodzieńcem, który przechodzi właśnie przez podwórze tak, aby Olga mogła go zobaczyć. Wspina się na zbocze i siada na kamieniu. Jest z gołą głową, bosi, koszulę ma szeroko rozchyłoną na piersiach. Olga widzi go z okna na strychu. Wkłada na głowę kaptur, wychodzi z domu i idąc na północ, dociera aż do niewielkiego urwiska skalnego, jakby tak postanowiła w domu, że tam pójdzie. Rozpina sukienkę, ale nie rozbiera się. Nie ma zamiaru wejść do wody... Zajęła się tym, co różnorodne, pełne treści i co trzyma jakby w rękach -- czasem, który został jej jeszcze do ślubu. Teraz przeżywa drobny fragment tej całości, przysłała tu, jest u podnóża urwiska... Ale to wszystko jest niczym, niczym... Czuje, że to wszystko nie wiąże się wcale z tym miejscem. To tylko naiwna pomyłka. Ona przecież nie czeka na nikogo. Wręcz nieprzyjemnie byłoby sobie wyobrazić, że ktoś mógłby przyjść tu za nią.

Wstaje i nie myśląc o niczym wraca do domu. I w tym właśnie kryje się tajemnica: można o niczym nie myśleć. Idzie wolnym, zdecydowanym krokiem i jakkolwiek nie przypuszcza, że ktoś ją obserwuje, prostuje się, wypina pierś do przodu i rozkoszuje się tą postawą, sama dla siebie. W tym uczuciu kryje się właśnie cały urok tych skwarnych tygodni lata przed ślubem. Nie przedsięwzięła już jednak więcej podobnie bezsensownych spacerów na urwisko.

Przez parę dni Eliaz nie widzi Olgi, ale przeczuwa, że użyczy to nowej woni najbardziej oszłamiającemu z kwiatów upalnego lata. Dziewczyna bowiem należy do niego, a jest to zupełnie inna Olga niż ta, którą chciał objąć w najkrótszą noc roku, a potem zadziwić zaręczynami. Tamta Olga zniknęła na zawsze... Obecna dopiero potem wynurzyła się z nieznanego, niby zupełnie

niepostrzeżenie. I wędruje innymi drogami... O tej poprzedniej Oldze Eliasz myślał jeszcze niedawno temu: „Jest mi najzupełniej obojętne, czy ta kobieta będzie ze mną nadal taka, jak w najkrótszą noc roku. Jeśli zapagnie, to i ja będę chciał”. -- Teraz sprawa przedstawia się inaczej. Nie chodzi już o „chce” czy „nie chce”. Teraz w tym wszystkim jest już coś z przeznaczenia.

Eliasz przyznawał w duchu, że zachował się nietaktownie, przechodząc w drodze na wzgórze tak jawnie koło dworu i siadając na kamieniu z gołą głową. Rozumie się samo przez się, że Olga poszła w przeciwnym kierunku. Teraz może jeszcze naprawić błąd w ten sposób, że wróci ukradkiem na podwórze, a potem nie pokaże się na oczy. Czuł w tej chwili, że dotrzymuje znów kroku przeznaczeniu, które go oszałamia.

Przeciągający się upał zasnuł widnokrąg żarem i mgłą. Ten słoneczny żar zakłócał w osobliwy sposób poczucie miejsca. Chwilami świadomość zdolna była ogarniać tylko życie i słońce, na które w ciągu dnia nie można było patrzeć. Chodząc po ziemi, zdawało się, że tam wysoko, czuwa ono nieustannie nad tym, by życie na ziemi wypełniało starannie swoje powinności. Aby prędzej urzeczywistnić swe zamiary, rozlewało wkoło żar i rozsnuwało mgłę. Na ziemi nie myślało się już o tym, że z tamtej strony widnokregu rozciąga się jeszcze inny świat, że wszyscy dorastający młodzieńcy tworzą odrębny klan, który opanowuje ziemię. Eliasz ledwie uświadamiał sobie, że w tym zamkniętym przez opary słoneczne świecie istnieje coś więcej poza nim i jego samotnym, oszałamiającym życiem.

Dzień w dzień wałęsał się po okolicy i czerpał zadowolenie z przekonania, że nikt by go nie potrafił odszukać tam, gdzie się ukrywa. Pewnego razu doszło do tego, że wspiął się na urwisko nad cyplem otoczonym brzezina. Widać było stamtąd podwórze Malkamaki, a



jednocześnie drgające skwarem powietrze. By sobie zapewnić rozleglejszy widok, Eliasz wdrapał się na pokręcone konary starej sosny. Odtąd chodził codziennie na urwisko, lecz nie przez łąkę, którą było widać z podwórza, ale okrężną drogą.

Pewnego dnia Olga pomyślała: „Jeszcze cały miesiąc do ślubu. Dziś mogę zażyć naprawdę słonecznej kąpieli na mojej ślicznej polance”. -- I tym samym radosnym, sprężystym krokiem, którym niedawno wracała, poszła na polanę. Odczuwała wewnętrzne zadowolenie, że wybierając się na ten spacer ma tylko jeden zamiar: wygrzać się na słońcu.

Weszła na polankę pod urwiskiem i gotowała się do plażowania. Było jej szczególnie wesoło na duszy. Czula, że znowu włączyła się w to, co przy ostatniej bytności na polance zdawało się od niej odsuwać: w bezkresny świat powietrza, słońca i ziemi. Wszystko, cokolwiek dostrzegała leżąc na ziemi, zdawało się być częścią jej szczęśliwego istnienia. Ponad zaroślami wystrzelała brzoza, której drobne listki rysowały się wysoko na niebie. Korzenie drzew żyły innym życiem niż wierzchołki, ale wszystko łączyła wzajemna współzależność. Długo rozmyślała nad tym odkryciem, jakby dostrzegała w nim coś, co można by porównać z jej własnym stanem...

W pewnej chwili chcąc sobie lepiej opalić szyję przechyliła do tyłu głowę, tak że nad sobą miała urwisko z rozłożystą starą sosną... Serce w piersiach zatłukło się dziko, gwałtownie, ale zataiła to nawet przed sklepieniem nieba, w które wpatrzyła się z napiętą uwagą. Tam wysoko... Miała wrażenie, że każdej chwili mogłoby się tam ukazać coś, czego ona nie zdołała z całą pewnością rozpoznać.

Nie spojrzała już więcej w górę, na sosnę. Patrzyła na wierzchołki brzoź, którymi zdawał się targać jakiś

pełen napięcia niepokój, choć ona sama pełna była ciszy. Olga leżała nieruchomo. Zmieniła położenie dopiero wówczas, gdy żar zaczął palić dotkliwie skórę. Wtedy wyciągnęła się znowu i spojrzała ku sośnie na urwisku, ale dostrzegła tam tylko rozedrgane przez skwar powietrze.

A więc jutro będzie upał.

Nadeszła już pora, gdy wśród kwiecia w wysokiej trawie prym wiodą stokrocie, olbrzymie dzwonki i ta-wuła. Tu i ówdzie rosną wszystkie pospołu, budząc odwieczne zdumienie: jak to z drobnutkich nasion na tym samym skrawku ziemi może wykiełkować tak dużo kwiatów. Stokrocie przypominały wystylizowane, niewinnie promienne oczy, które nie przestawały patrzeć z podziwem na słońce, gdy tymczasem zwisające je den nad drugim dzwonki żyły tylko własną niebieskością. Wysoka tawuła rozsiewała wokół siebie miódny zapach. Na przełomie lata nikt nie myślał o tych kwiatkach...

Teraz kwitną i z wysokości lekko kołyszących się płatków można by oglądać ograniczony wprawdzie w zasięgu, niemniej doskonały i pełny obraz lata na ziemi w tej fazie. Widok rozciągałby się na wszystkie cztery strony świata ponad falującym lasem ździebeł trawy na odległość trzydziestu, może czterdziestu uderzeń skrzydeł motyla. Nastąpiła bowiem również pora traw. Ich kłosa i wiechy osiągnęły szczytowy punkt swego rozwoju; wiele z nich jeszcze kwitnie. Ścielące się nisko kępy wypełniają wąskimi liśćmi przestrzeń między pozostałymi roślinami, tworząc zawiły labirynt, który -- oglądany z wysokości kielicha kwiatu -- przyprawia o zawrót głowy. Jednocześnie jest tak nęcący, że chętnie zagłębiałoby się wzrok w ten świat w miniaturze, w którym raz po raz wynurzają się z niewidzialnej dali motyl albo ważka, aby zaraz zniknąć za kępami traw.

Tak wygląda również życie wśród stokroci, dzwonków i tawuł pod ścianą szopy.

W środku zwartej, żółtej tarczy kwiatu stokrotki mieszkają maleńkie, czarne chrząszcze, nie większe od łebka szpilki. Nie opuszczają nigdy swego miejsca, a o życiu i świecie dowiadują się tylko tyle, na ile im pozwala bardzo, bardzo- słaba świadomość bytu.

Pewnego jednak dnia w stokrotce, która rosła pod szopą tuż obok dzwonka i tawuły, doszło do niebywałej rewolucji. Stokrotka wraz z wszystkimi czarnymi owadami została zerwana, zawirowała w powietrzu i zatrzymała się. Nie zaznała jednak spokoju. Jakaś nieznaną siłą usunęła jeden biały płatek korony, potem drugi, trzeci... W promiennym kręgu płatków robiła się coraz większa luka. Jednocześnie słychać było, mo notonny cichy pomruk. Jeden z maleńkich, czarnych chrząszczyków wypełził w tym zamieszaniu na światło dnia i ujrzał straszliwą rękę, która obrywała płatki, i usta, które mamrotały słowa. Hen w oddali można było dostrzec parę oczu, które śledziły ruchy ręki. Czarne zwierzątko było przerażone tym zniszczeniem i rożegłym widokiem, który kołysał się teraz przed jego oczami w górę i w dół. Gdy zniknęły już wszystkie płatki kwiatu, spojrzenie wielkich oczu padło na chrząszcza i znieruchomiało na długą chwilę. Potem w kierunku owada wyciągnął się długi pręt -- wyrwane źdźbło trawy -- i zaczęło go potrącać uporczywie, to tu, to tam. Wreszcie owad schwycił się mocno źdźbła, a niebawem pomknął ze świstem w powietrze, by wylądować w wielkim, chłodnym, błękitnym kielichu. Gdy wreszcie zdołał stanąć w nim z powrotem na nogi, nie było już widać ani oczu, ani źdźbła trawy. Oszołomione zwierzątko długo nie ruszało się z miejsca. Później zaczęło ostrożnie badać ten nowy, cudowny, błękitny świat. Kiedy dotarło po raz pierwszy na brzeg kielicha,

dostrzegło ponad płataniną traw olbrzymią kiść kwiatu tawuły, która zdawała się zapowiadać nowe, jeszcze bardziej niezwykle przygody, ale nie potrafiła wytłumaczyć, co to będą za przygody. Jak zawrotnie wielki był świat, gdy patrzyło się w tamtym kierunku! Maleńki, czarny chrząszcz znajdował się na jego krańcu, za nim zamykało świat dno-błękitnego kielicha.

Tak mieszają się pojęcia o wielkim i małym. Aie to nie jest groźne; spadając bowiem zawsze się gdzieś pada. Wszędzie krzewi się życie. Ten cały, nagrany ogrom świata składa się z punktów, a oszołomiona myśl, wybiegając z któregoś z nich może się zagłębiać jak tylko chce głęboko, może lecieć w dal, jak tylko chce daleko... Tam w dali idzie Elias z Malka-maki. Leżał przedtem przez dłuższy czas pod szopą na cyplu, a nie chcąc dopuścić, by nadmiar różnorodnych przeżyć zbytnio się zagmatwał, zrywał stokrotnie i dzwonki. Wreszcie pod wieczór zaczęła się ustalać równowaga tego dnia między życiem i słońcem... A kiedy w tej letniej bajce przeniesiemy się teraz sto tysięcy kwietnych spojrzeń dalej na południe możemy w najbliższą noc dostrzec przypadkiem ludzką istotę, która leży bezsenna, a która wyda się nam kimś bardzo dobrze znanym.

#### TRZYDZIEŚCI DNI I NOCY

Gdy o wczesnym poranku przełomu lata Elias opuścił spichlerz i drzwi zamknęły się za nim na klucz, Lyyli leżała w dalszym ciągu w ciemnościach. Przez szparę, którą mogło odkryć jedynie oko słońca, wdierał się tu i ówdzie delikatny, czerwonawy promień światła. Lyyli leżała na swym posłaniu, ale nie spała. Czekwała na chwilę, która wymaże z jej świadomości śla-

dy wypadków ubiegłej nocy. Czują te ślady, podobnie jak czuje się wymierzony policzek. Przez dłuższy czas nie mogła się skupić, czymś określonym było jedynie odczucie tego właśnie niby uderzenia. Wiedziała, że musi leżeć zupełnie spokojnie. Starła się w ogóle nie poruszać. Nie wiedziała, dlaczego to jest wskazane, ale instynktownie leżała w dalszym ciągu zupełnie tak samo jak w chwili, gdy odchodził Elias. Bała się jakby, że przy najmniejszym ruchu może runąć to, co obec nie zachowało jeszcze swą poprzednią postać.

Stało się wielkie nieszczęście, którego nie da się naprawić. Jego następstw nie można było od razu w pełni ogarnąć, ale Lyyli zdawała się je sobie uświadamiać. To wszechpotężne przeznaczenie spadło w tych ostatnich dniach na wszystkich ludzi, ogarnęło niebo i ziemię. Wszyscy nieświadomie ale gorączkowo współdziałali w ściąganiu na siebie tego przeznaczenia i wszyscy byli ustawicznie ofiarami złudzenia, że treść ich życia jest teraz o wiele bogatsza niż kiedykolwiek dawniej. Spotkanie Eliasza z Lyyli w ostatnią niedzielę leżało już na pograniczu nieszczęścia i dopiero teraz, po wszystkim, dziewczyna uświadamiała sobie, co oznaczał jej lęk owego ranka, gdy ujrzała wyjątkowo silnie rozżarzoną tarczę słoneczną i wyobraziła sobie, że to pło nie ziemia. Już wówczas wisiało nad nią nieszczęście. A potem wieczór poniedziałkowy wysoko na wzgórzu... Elias zachowywał się zupełnie tak, jakby z całą swią domością chciał ściągnąć nieszczęście. A potem zabawa, wejście na salę tańców... Nadciągający wraz z wieczornym mrokiem nieubłagany los zaprowadził ich wszystkich do Linna... Ją także coś skusiło do pójścia, choć nigdy przedtem nie chodziła na zabawy. Wszyscy wklęli się w sieci nieszczęścia, które zacieśniały się z każdą chwilą. Czują się tak szczęśliwa, gdy mogli już opuścić salę tańców. Nie zawahała się ani chwili i od razu

przystąpiła, żeby Eliazs położył się z nią na jej posłaniu. Była to podświadoma próba ucieczki przed nieszczęściem. To, co stało się później, było właściwie błahostką, której zasięg, jak teraz sądzi, nie przekracza jej łóżka, jakkolwiek było to niezwykle. W owej chwili nie warto było przecież stawiać bodaj najmniejszego oporu. Spadło przecież już na nią nieopisanie większe cierpienie. To, co stało się tutaj, było drobiazgiem, którego związku z całokształtem spraw w żaden sposób nie zdołałyby uchwycić ofiary większych nieszczęść, które nie wiedziały nawet, dokąd gna je przeznaczenie. Lyyli zdawało się, że widzi twarz Eliazsa. Ze straszliwą wyrazistością malowało się na niej to tajemne fatum. Eliazs przyszedł tu do spichlerza i zrobił to z nią jakby zupełnie przypadkowo, jakby popychany przez jakąś nieznaną siłę, a potem znów uciekł, gnany przez zły los, z czego sam nie zdawał sobie sprawy...

-- Czy miała wyskoczyć z łóżka i próbować przywołać go z powrotem? Nie! To było niemożliwe. Nie mogła się w tej chwili ruszyć z miejsca. Cały świat zobaczyłby malujące się na jej twarzy nieszczęście, wszyscy dookoła domyśliliby się od razu wszystkiego. Wiedzieliby, co zaszło w te ostatnie dni. Wiedzieliby, co się z nią stało, że ona... Ach! Wszystko to przecież na jedno wychodzi. Ja jestem...

Jęczała przez sen. Zasnęła bowiem w końcu pośród tych dociekań, ukołysana przez mroczną, niezmaconą ciszę, której osobliwe pulsowanie nie zdołało przerwać łańcucha jej rozmyślań. Pod osłoną snu ktoś zdawał się jej wyjaśniać, co Eliazs z nią zrobił i co nowego -- jaki nowy bezgraniczny świat -- wiąże się z tym nierozzerwalnie i ustawicznie. Sen zdobył dla siebie rozleglejszą przestrzeń, więc obrazy zaczęły się snuć szybciej. Wielkie, powszechne nieszczęście zostało gdzieś w starym świecie, ponad który ona sama wzbija się

w górę -- tu w nowy świat, i szła przed siebie trzymając w ramionach dziecko. Nie było już ani szczęścia, ani nieszczęścia. Była tylko niepojęta podróż w nieznaną...

Gospodarz z Korkee nie zdradził ani jednym słowem, co zobaczył o świecie na podwórzu. Lyyli pozwolono spać długo w dzień. Obudziła się dopiero wtedy, gdy nadeszła już pora śniadania. Po tym wszystkim, co jej się przyśniło, dzień przełomu lata wydawał się jej zmęczonym oczom dziwny i daleki. Ludzie święcili go w szczególny sposób, jakby chcieli przez to wyznać coś sobie nawzajem.

Czy dzisiejsza noc minęła w okolicy bez nieszczęśliwych wypadków? Wydaje się, że wszystko jest chyba w porządku. Czy żyją jeszcze ojciec i Saima, matka i Vainó? Oczywiście! Jedzą właśnie śniadanie... Jedzą nawet dzisiaj! Ale jak to w ogóle możliwe, że ten dzień jest taki, jaki jest, choć noc była taka, jaka była? Czy w ogóle można połączyć dwa tak obce sobie pojęcia, jak noc przełomu lata i dzień przełomu lata? Eliasze... Eliasze był tu w nocy i stało się... stało się to... Raptem Lyyli przypomniała sobie dane jej we śnie wyjaśnienie: będę miała dziecko...

Zupełnie jakby Anna Harjunpaa... wiedziała już o tym, jakby właśnie w tej chwili myślała o tym samym, co Lyyli... Ale gdzie jest teraz Eliasze? Czy w ogóle gdzieś istnieje? Czy może istnieć w ten jasny dzień? W całym nastroju było coś z gorączkowego snu. Co się teraz stanie? Czy życie może się dalej toczyć jak dotychczas? Dzisiaj jest przełom lata.

Przez cały dzień Lyyli nie mogła sobie znaleźć miejsca. Szła tu, szła tam, siadała, znów wstawała i patrzyła, niekiedy odzywała się nawet -- a przecież wszystko wydawało się jej nierealne. Wieczór po takim dniu jest straszny. Jest taki sam jak inne wieczory-

ry, ale dusza nie może go wchłonąć w siebie, bo nie przeżyła prawdziwego dnia; nic z tego, co stało się w dzień, nie przeniknęło do niej -- zupełnie jakby czoło wiek obudził się rano świeży i wypoczęty, ubrał się, potem stał chwilę bez ruchu, znów się rozebrał, uczesał i położył spać. Coś takiego jest sprzeczne z naturą...

Nastał wieczór, jest cicho, wszyscy udają się na spoczynek. Lyyli nie może pojąć, że rzekomo minął cały dzień, a ściślej mówiąc, że od rana do tej pory upłynął tylko jeden dzień... Wieczór także wydaje się czymś niereczywistym. Niewyraźnie, jak przez sen czuje, że jest bardzo zmęczona, ale nie może iść teraz do spichlerza, by położyć się i wyciągnąć na łóżku... podobnie jak nie jest zdolna czuwać. Dlaczego miałaby czuwać? Gdzie mogłaby usiąść? Gdziekolwiek na dworze? Nie! Tam zobaczyliby ją nawet śpiący. Niegdyś, bardzo, bardzo dawno temu, zwykła chodzić o tej porze na wzgórze, aby spotkać się z Eliaszem... Teraz jednak Eliasz odszedł, nie ma go nigdzie, w taki wieczór jak dzisiaj nie może w ogóle istnieć.

Wreszcie wyciągnęła się na łóżku, ale w ubraniu i z zamiarem, że nie zaśnie. Od razu poczuła się mniej znużona, myśli nadpływały i odpływały łatwiej, stopniowo zaczęły się skupiać wokół Eliasza -- już spokojniej niż poprzednio. Tu w mrocznym spichlerzu mogło się nawet zdarzyć, że jego obraz zbliży się do niej znowu, jeśli tylko potrafi odsuwać od siebie wszelkie wrażenia, jakie narzuca jej otoczenie. Eliasz zjawił się w jej wyobraźni, ale nie patrzył na nią, jakby się cze gość wstydził: może tego, że nieświadomie odegrał doniosłą rolę w nieszczęściu, które w oczach Lyyli, gdy leżała ubiegłej nocy osamotniona po jego odejściu, splatało się wyraźnie ze wszystkimi zdarzeniami ostatniego czasu. Eliasz wstydził się i nic w tym dziwnego.



Postąpił bowiem nikczemnie, zostawiając Lyyli samą. Kiedy właściwie znikł?... Na krótko, zanim zrobił to, czego Lyyli nie umiała określić żadnym przymiotnikiem, jak nie umiała nawet powiedzieć, kto to zrobił. Eliasza bowiem... Eliasza wtedy już nie było... Raptem dziewczynę ogarnęło przerażenie, gdyż uświadomiła sobie, że leży dokładnie na tym samym miejscu, na którym to się zdarzyło, ale nie mogła wstać i odejść. Szukając ratunku, ukryła twarz w dłoniach. Kiedy tak leżała, skulona, narzuciło się jej pytanie, czy jednak nie zrobił tego przypadkiem prawdziwy Eliasz? Jej myśl błąkała się od jednych spotkań do innych, poczynawszy od ubiegłej jesieni aż do tegorocznej wiosny i ostatnich dni. Nigdzie jednak nie mogła teraz odszukać prawdziwego Eliasza. -- Była młoda i niedoświadczona, a nikt jej nie wytłumaczył, że prawdziwego Eliasza mogła jedynie znaleźć w skarbcu własnego serca.

Noc widzi, że dziewczyna zbliża się do drzwi i siada na progu. Jej postawa i ruchy zdradzają, że przez cały beznadziejnie długi czas wpatrywała się uparcie w jed no i to samo: w zniknięcie Eliasza. I ciągle, ciągle pyta się w duchu, z kim właściwie jej się to zdarzyło? A ponieważ nie otrzymuje odpowiedzi, zdarzenie urasta w jej wyobraźni do rozmiarów z każdą chwilą straszniejszych. A jeżeli urodzi się dziecko?... Jak w ogóle może się urodzić, jeżeli nie ma ojca?... Ojciec... to ten, co zrobił to ze mną... a ja jestem matką...

Teraz dopiero rozsłochała się na dobre, wstaje z łóżka, idzie do drzwi gnana przez płynącą z trwogi i rozpacz nadzieję, że Eliasz może jest gdzieś na dworze, może jest już blisko, choć sądziła, że zniknął. Ten prawdziwy Eliasz musi przyjść, musi. Na dworze jednak czerni się noc, zmęczona po zabawie, noc, która teraz, gdy minął przełom lata, nie wie, co począć ze swą

pełną powabu pięknnością. Eliasza nie ma. To jest oczywiste.

Nie skończyły się jeszcze jeden dzień i jedna noc, a musi minąć trzydzieści dni i nocy, zanim coś się zdarzy. A choćby dni nie wiem jak się dłużyły, na tydzień nie przypada ich więcej niż siedem, a jeśli nawet są krótkie, tydzień przez to nie kończy się szybciej. Przenieśmy się na tydzień w inne strony, potem wróćmy tu na jedną noc, a z pewnością nie zastaniemy już dziewczyny na progu. Wydaje nam się również, że noc jest odrobinę ciemniejsza, w każdym razie dziewczyna zniknęła z progu. Czy nie zrobiła sobie co złego, skoro młodzieniec ją porzucił? Nie! Nie zrobiła. Wyczuwa się to w powietrzu, które tchnie już niemal wyłącznie spokojem. Czy jednak młodzieniec naprawdę ją opuścił? Na to pytanie przyjazne powietrze daje potakującą odpowiedź i prawdę powiedziawszy, wyczuwa się to samemu, a w tym właśnie tkwi coś, co budzi sprzeciw. Czyżby więc może miał tu pozostać od razu, następnego ranka? -- W żadnym wypadku. -- Czy powinien był coś powiedzieć, zanim odszedł? -- Nie, nie! -- Sprawa bowiem wygląda inaczej: Eliasz bowiem opuścił Lyyli dużo wcześniej. Opuścił dziewczynę, zanim jeszcze w ogóle ją zobaczył. -- Czy to możliwe? Tak, to jest możliwe. Zresztą dziewczyny nie opuścił prawdziwy Eliasz. Ten w swej najtajniejszej głębi stoi w dalszym ciągu u jej boku. Przykre jest tylko to, że kiedy ona wygląda przez drzwi albo też, mówiąc w przenośni, wygląda ze swego odosobnienia, nie dostrzega ani prawdziwego Eliasza, ani też rzekomego obrazu. I na tym właśnie polega jej opuszczenie. -- A gdzie jest dziewczyna? -- Należałoby przypuszczać, że śpi w spichlerzu.

Znów wstaje w szeregu siedem dni, jeden za dru gim, znów mija jeden pełny tydzień. -- Co teraz sły-

chać? -- Drzwi spichlerza są w dalszym ciągu zamknięte, a noc -- wyraźnie ciemniejsza niż na przełomie lata. Na dworze badaliśmy harmonię między słońcem a życiem. A co z dziewczyną? -- To samo, co przed tem. Sypia w nocy tak dobrze, jak to tylko jest możliwe, a w ciągu dnia siedzi przy tkaniu, które już wkrótce będzie skończone. Schudła trochę, ale jeśli się ma takie oczy jak ona, to do twarzy nawet, gdy się jest szczuplejszą. -- Tak, ale nie brak jej przecież zgryzot. Czy jej sprawa nie wyjaśniła się? -- W pewnym względzie tak: upewniła się, iż po nocy przełomu lata, nic jej nie zagraża. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią na podobne tematy. Niemniej rankiem na przełomie lata miała wrażenie, że ktoś jej wytłumaczył w śnie znaczenie tego, co się właśnie zdarzyło w nocy. Ale w jej myślach nie stanowiło to trwałego punktu zaczepienia. Było nim natomiast przekonanie, że Elias, ten z którym obcowała -- nie był prawdziwym Eliaszem... A teraz sama, wiedzona własną intuicją, zrozumiała, że nie grożą jej żadne następstwa.

Czy to stwierdzenie nie nasunęło jej jednak wielu nowych myśli?

Owszem. Owego ranka przytłoczyło ją odkrycie, że cały świat zmierza ku wielkiemu nie do opisania nieszczęściu, a ona nie odważyła się nikogo ostrzec przed nim. Obraz tego nieszczęścia, choć z czasem znacznie osłabł, tkwił wciąż w jej podświadomości i decydował w tych ciężkich dla dziewczyny dniach o jej postawie wobec życia. W swym załamaniu czekała na jakiegokolwiek zdarzenie, a przyroda zdawała się tak samo czekać, żeby w życiu dziewczyny-coś zaszło. Kiedy jednak tak czekała i w końcu zrozumiała, że nie prowadzi to do niczego, jej usposobienie uległo zasadniczej zmianie. Nagle całe życie ukazało się oczom Lyyli mdłe i bezbarwne. Nie przytrafiło się jej nawet najzwyczajsze nieszczęście.

Obraz „prawdziwego Eliasza” zatarł się niepostrzeżenie, a w zamian za to myślała o nowym Eliaszu, którego istnienie mogła z łatwością uchwycić o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie. Ten nowy mieszkał w Malkamaki, był synem dawnej gospodyni zagrody, wyglądał tak a tak, był tak a tak ubrany i... wcale jej nie obchodził. Obecnie nie dręczyły jej już przykre myśli. W ciągu dnia rzadko kiedy myślała o czym innym, jak o swych codziennych zajęciach. Widzi, jak osnowa na krosnach opada, to znów wznosi się, słyszy buczenie trzmiela i tykanie zegara na ścianie...

Czy nigdy nie przyszło jej w tym czasie do głowy odebrać sobie życie?

Raczej nie! W każdym razie teraz już nie. Możliwe, że pomyślała o tym kiedyś, w jedną z najcięższych godzin. Pewnej nocy błąkała się trochę podejrzanie na brzegu jeziora. Popęlenie jednak samobójstwa wydawało się jej z pewnością dziecinne i niestosowne, a w danym wypadku byłoby również nieładne. -- Ale po patrz! Widać już gwiazdę na niebie!

Tak, widać gwiazdę! Choć w ciągu dnia trwa jeszcze w całej pełni ciepło i jasne lato.

Nastają zwykłe upalne dni, ale raz po raz powiewa świeży wiatr. Po niebie żeglują białe obrzeżone chmury, które bezustannie zmieniają swe kształty, choć oko nie może tego śledzić. W czwartym tygodniu po przełomie lata kończy się jednak wędrówka chmur. Zalega cisza. Wierzchołki chmur przeświecają lekką czerwienią, jak szczyty górskie sterczące pośród mgły. Powietrze stoi w przygniatającym bezruchu.

Rodzina zagrodników z Korkee pracuje przy sprzące liści. Na krótko przed południem Lyyli wraca sama do domu. Idzie wolno, spokojnie. Dzień jest skwarny. Jest coś niezwykle powabnego w postaci dziewczyny o niezmiennych rysach. Każda sukienka, którą włoży na sie-

bie, układa się zawsze w te same kształty, które zawsze wyglądają tak samo, jakby dziewczyna miała to we krwi, odziedziczone po licznych pokoleniach. Wiąże się to również ściśle z wykonywanymi przez nią pracami. Niegdyś, w pewien kwietniowy wieczór, stała tu pod osikami przez dłuższy czas rozglądając się wkoło. Teraz wraca do domu po sprzęcie liści. Wszystko, co jest zawarte między tymi dwoma punktami, nosi na sobie nieświadome piętno zajęć kobiecych, a kojąca rzewność łączy je niby łańcuch w nierozzerwalną całość...

Drzwi do przedsionka i alkierza stoją otworem. Nie zauważona przez nikogo Lyyli idzie do alkierza. W izbie siedzi jakaś znajoma kobieta i rozmawia z matką. Rozmowa toczy się wartko, bez dłuższych przerw i przenika przez ścianę do alkierza, do Lyyli, utrzymuje się jednak w swym odrębnym świecie, nie wybiega poza jego granice. Lyyli stoi i nasłuchuje, zapomniała niemal, kto w izbie rozmawia z matką. Zda się, że wymawiane tam słowa nie docierają do jej uszu, lecz trafiają bezpośrednio w serce.

— ...W noc przelomu lata chłopak odprowadził Annę do domu i spędził u niej resztę nocy. Dziewczyny nie chowała silna ręka. Matka rozpieszczała ją, stroiła, ledwie zdążyła odłączyć od piersi. A potem to latanie do kościoła... Zawsze mówiłam, że taka próżność nie może się dobrze skończyć. Jeśli jest się zwykłą akuszerką... a kiedy się wstąpi i cokolwiek powie, to siedzi tylko i płacze... jak mogła...

— ...Zwykła to rzecz: spada się coraz niżej, jeśli się raz zacznie...

— Gadali także, że tej samej nocy Elias z Malkamaki był tutaj, aie ja zaraz mówiłam...

Można by rzec, że właśnie w tej chwili zrodziła się w Lyyli nienawiść. Była to cicha, spokojna nienawiść, której się nie spieszy, która, świadoma i opanowana,

nienawidzi do końca. Robota paliła się jej w rękach, sny nie miały treści. Matka traktowała ją jak traktuje się kogoś, kto nie zna swej szczególnej wartości. W tym czasie zresztą Lyyli zaczęła znów zwracać uwagę na mieszkańców swego rodzinnego domu. Zdawało się jej, że jego istnienie jest trwałą rękojmią bezpieczeństwa, że nie ma on nic wspólnego z zewnętrznymi wpływami, na które była narażona w lecie. Przez długi czas na jego istnienie nie zwracała zupełnie uwagi. Teraz jednak dom zbliżył się do niej z powrotem, niewzruszony w swym trwaniu. Lyyli uświadamiała sobie to zbliżenie, nie stawiała oporu, ale nie robiła także nic, aby je zacieśnić... Owego dnia, gdy wróciła do domu ze sprzętu liści, zauważyła, że jej matka nie wdaje się w rozmowę z gościem, lecz przeciwnie, zachowuje się powściągliwie co skłoniło starą kobietę do szybkiego opuszczenia Korkee. Kiedy jednak później matka i córka spotkały się przypadkiem, pierwsza nie dała poznać, co powiedziała jej stara, obca kobieta, druga -- co usłyszała. -- Z takimi ludźmi nie mamy nic do czynienia. Należymy do grona mieszkańców tej okolicy. Nie chciałaś w to wierzyć, póki się sama nie przekonałaś -- myślała matka -- na własnej skórze. -- Głośno jednak powiedziała:

-- Przynieś wody, zanim zabierzesz się do jedzenia, cielę nie ma nic do picia!

Raz po raz Lyyli wracała myślą do Anny Harjun-paa, wspominała jej miłe usposobienie. Te myśli jednak drażniły ją w jakiś sposób. W uszach rozbrzmiewał zaraz głos staruchy, budzący wspomnienie Eliasza. Co by to było, gdyby przypadkiem spotkała Annę albo Eliasza? Czy ma wtedy uciekać przed nimi? -- Chyba nie. -- Ach, oby nadeszła wreszcie jesień! Wkrótce wybuch nie chyba burza, a gdy przejdzie, zacznie się jesień...

Burza nie nadeszła jednak ani tego, ani następnego dnia, choć w oddali, za czerwonymi chmurami słychać

było groźny, głuchy pomruk grzmotów. Noce były parne. Nad Korkee burza nadciągnęła dopiero trzydziestego dnia po przełomie lata. Lyyli przesiedziała ją sama w alkierzu. Wyszła na podwórze dopiero wtedy, gdy burza już dawno odpłynęła w kierunku Malkamaki. Powietrze było świeże i chłodne. Przy bramie stał Taave i gawędził z Vainó. Taave rzucił ostatecznie Malkamaki i mieszkał chwilowo w Vahamaki. Miał właśnie coś do załatwienia w tych stronach i teraz, gdy burza ucichła, wracał do domu. Wyglądał zuchowato. Możliwe, że rozmawiali zupełnie o czymś innym; kiedy jednak Lyyli ich mijala, Taave, kierując słowa do dziewczyny, rzekł:

-- Dziś Eliasz zażywał kąpieli słonecznych ze swą narzeczoną.

Choć słowa były skierowane do Lyyli, Taave był nadal zwrócony do Vainó, kiedy jednak zdawało mu się, że dziewczyna nie słucha wcale tego, co mówi, dorzucił jej imię:

— Lyyli!

— Zostaw to! -- krzyknęła Lyyli i pognąła pędem do spichlerza. Tam chciała się wypłakać, ale łzy nie przychodziły. -- Na miłość boską, czemu mnie nie zostawia w spokoju... Co ja takiego zrobiłam... Na miłość boską... ja zrobiłam... Tak, tak, jak się to wszystko teraz skończy?...

Na podwórzu zjawił się jeszcze jakiś inny gość. Słyszała, jak ojciec przekonywał przybysza, że ta burza jeszcze się nie skończyła, że zbierało się na nią już od przełomu lata. Potem zaległa cisza. Do spichlerza zajęła matka i spytała córkę, czy nie przyjdzie na kolację.

-- Nie! -- odparła Lyyli, a matka nie nalegała więcej.

Dziewczyna została w spichlerzu, gdzie spędziła całą noc. Był to trzydziesty wieczór po przełomie lata.

Dzień ten był doniosły również dla mieszkańców Malkamaki. Dawny Eliasz Lyyli dotarł w swych wędrówkach do najdalszego punktu.

## BURZA

Wszystko zamilkło i nawet w mrocznym wnętrzu spichlerza dostrzeżać się, że na dworze zrobiło się ciemno -- tą nieco apatyczną ciemnością, która w późny wieczór przywodzi już pod koniec lipca myśl o jesieni. Wokół panowała teraz cisza. Była tak wielka, że nie można było wróżyć nic dobrego. Burza przyciąła się za wzgórzami. Chmury przypominały ludzi, którzy o tej późnej godzinie z ponurymi minami wykonują narzuconą im pracę i nie zwracają uwagi na skierowane ku nim pytające spojrzenia. Nikt nie mógł przewidzieć, kiedy burza się rozpęta, ale na pewno wybuchnie wśród ciemności, które właśnie zapadły... Miało się wrażenie, że w nieruchomym powietrzu ktoś z pełną powagą uległością czeka na zasłużoną karę, a wszystko dokoła -- ciemne zagrody i podobne do widm drzewa i krzewy -- dotrzymują czekającemu towarzystwa...

U kogoś, kto czuwa samotnie, świadomość, że wokoło śpią ludzie, może budzić bardzo różnorakie uczucia, zależnie od nastroju, w jakim się w tej chwili znajduje. Jakże uroczy był na przykład nastrój w izbie na Korkee owej kwietniowej nocy, gdy Lyyli leżała nie śpiąc i przysłuchiwała się oddechom innych; gdy w myśli odważyła się wymówić imię i wyczarowała tym imieniem obraz, który zdawał się wprost stworzony dla tej chłodnej, jasnej nocy, kiedy na dworze stały w kwieciu osiki, a ona leżała w izbie z otwartymi oczami obok swej śpiącej siostry. Wtenczas nie miała w ogóle och-



ty spać, a przecież przy wtórze uroczyście równomiernych oddechów rodziny zasnęła z uśmiechem na wargach, sama nie wiedząc kiedy. Wszystko wygląda jednak zupełnie inaczej w tę mroczną noc, w trzydzieści dni po przełomie lata. Lyyli, ta sama Lyyli żyje w dalszym ciągu i dziś także leży w swym spichlerzu czuwając. Teraz jednak nie słyszy oddechów innych. Ma wrażenie, że w ogóle nie oddychają, że z powodu niej i tej nocnej godziny wstrzymali oddech po wieczne czasy, tak jakby było jasne i postanowione, że nie ma już wyjścia, że nigdy już nie zaświta ranek. Wszyscy pomarli. Została tylko Lyyli, całkowicie sama, zapomniana. Ona nie ma prawa umrzeć, nie zasłużyła na śmierć, ona i śmierć to dwie różne rzeczy, nie mające z sobą nic wspólnego. Móc umrzeć... to wzrusza i budzi roztkliwie-nie... to spotkało w tej chwili ojca, Saimę, matkę i Vainó. Wszyscy ludzie, żyjąc mają przed sobą pełen spokoju wieczór śmierci. Wszyscy dokoła niej śpią nie oddychając. Tylko ona jedna leży cicho czuwając i widzi, jak zbliża się do niej bezkształtna, bezimienna zjawa z zaświatów, dla których wizyta śmierci jest tym samym, co pierwsze drgnienie wiosny wstrząsające dreszczem. To już jedna z przyszłych nocy wiosennych. Na dworze panuje głęboka, skupiona, zasnuta chmurami ciemność. Rozwinięte w pełni liście osiki przypominają hufiec ulatujących ku niebu duchów, czuwających nad nabożnym skupieniem tej osobliwej nocy wiosennej. Lyyli i teraz nie może zasnąć i choć boi się burzy, nie uświadamia sobie swego strachu. Właściwie, skoro wszyscy śpią nie oddychając, nie potrzebuje się bać niczego. To jest noc nowej wiosny, wiosny, która powiedzie ją w długi, szczęśliwy dzień nieuchwytnego lata, pełnego czarownych przygód, których jednak nie potrafi sobie wyobrazić nawet w drobnej części. Uroczysty sen, w którym pogrążeni są wszyscy dokoła, towarzyszy

temu spojrzeniu w przyszłe lato. Czas również umarł, śpi także nie oddychając, podobnie jak wszystkie żywe istoty z jej otoczenia. Tam na dworze nie ma już od dawna nocy osłoniętej chmurami. Tam rozpostarła się noc wiosenna, bez granic w czasie, zdematerializowana, w którą Lyyli może zaglądać, leżąc z zamkniętymi oczami na łóżku -- nie uświadamiając sobie, że to łóżko. W jakimś przedziwnym jasnovidzeniu dostrzega przed sobą zdarzenia swego niespokojnego życia w najodleglejszej przeszłości. Najpierw widzi Taavego ■--■ stoi przy parkanie i rozmawia z Vainó. Taave spogląda ku niej roześmiany, mówi jakieś podstępne słowa, których ona nie rozumie i dlatego śmieje się tylko do Taavego... Po tym obrazie wynurzają się noce ubiegłej jesieni. Czuje przy tym, że płacze łzami ukojenia, z tęsknoty za kimś, kto jest gdzieś blisko, ale nie daje się wyczarować. Ptem jednak ten ktoś ulega, przychodzi do niej i kocha ją gorąco i serdecznie. Jest to zawsze ta sama, dobrze znana postać, przychodzi do niej i wtedy dzieje się z nią to, czego ona w ogóle nie pojmuje, ale na co pozwala chętnie, gdyż robi to on. Czuje, że od tego momentu zacznie się dla niej czas szczęścia... Zda się, że w chwili, gdy to się z nią dzieje, wszystko się nagle w niej zatrzymuje, wczepia się niejako w to przeżycie, chce trwać w tym pełnym napięcia uczuciu szczęścia. Lyyli wydaje się, że ciało jej odpłynęło, odpłynęło gdzieś bardzo daleko, a jednocześnie czuje, że ono również trwa w strasliwym napięciu. To napięcie nigdy nie powinno się skończyć i Lyyli, podniecona do najwyższych granic, spogląda ku coraz szerszej, coraz rozleglejszej perspektywie szczęścia. Łącuch obrazów i zdarzeń nie urywa się, nie znika, a ona trzyma się kurczowo kochanej, zawsze tak bliskiej postaci... Grzmoty dudnią coraz potężniej. Dawno już było je słycać gdzieś w oddali. To szczęśliwość przemawia głosem dudniących grzmotów.

Kryje się w nich moc wspinająca się bezustannie w górę, moc, która zmusza ją niejako do wyznania, że i ta szczęśliwość jest w gruncie rzeczy czymś niezmiernie poważnym, niemal surowym. Jej twarz pełna coraz większego zachwytu mówi, że Lyyli wyznaje to, uszczęśliwiona i uległa w swym szczęściu. Grzmoty milkną na chwilę, oddalają się, ale zaraz wracają, tak jakby w szaleńczym rozpętaniu i coraz natręcyjniej domagały się, aby powtórzyła swoje wyznanie. Dziewczyna je powtarza z wyrazem coraz większego szczęścia na twarzy... A potem wybucha niepoohamowanym płaczem. Grzmoty jednak stają się jeszcze gwałtowniejsze. Zdają się niemal jej dotykać, huczą w głowie. Lyyli płacze, płacze bez opamiętania. Jej świadomość tkwi jeszcze na wpół we śnie, na wpół budzi się do rzeczywistości. Ma wrażenie, że wokół jest pełno dymu. Słyszy wzmagający się z każdą chwilą trzask grzmotu, płacze, każdy mięsień jej ciała jest napięty do ostateczności, choć uświadamia już sobie, że to trwanie w napięciu jest zbyt ciężkie i że ten pełen napięcia stan pozostanie, choćby nawet wszystko w niej przycichło. Zjawia stoi jednak w dalszym ciągu przy niej, trwa w bezruchu. Lyyli płacze i czuje, że wraz z łzami spływa na nią osobliwa rzewność...

I wtedy słyszy szept matki.

-- Lyyli, co ci się stało? Czy piorun w ciebie uderzył? Dlaczego właściwie w taką noc zostałam tu w śpiątku, poza domem? -- przemawia do niej serdecznie, trochę zaspiana.

Płacz przynosi Lyyli coraz większą ulgę. Matka pomaga jej podnieść się z łóżka, a dziewczynie wydaje się, jakby stała na cudzych nogach. Jest właśnie północ. Matka stoi obok niej w ciemności. Przytulone do siebie, idą po omacku do drzwi. Lyyli ma niejasne wrażenie, że wszystkie cierpienia trzydziestu ubiegłych dni i nocy

połączyły się w to jedno jedyne ogłuszające uderzenie, które w nią właśnie trafiło, i że teraz, po uderzeniu, matka zabiera ją z sobą. Idzie chwiejnym krokiem po wilgotnej trawie podwórza; w swym oszołomieniu dostrzega jednak na niebie ciemne chmury przedzielone dziwnie jasną szczeliną. Ma wrażenie, że jakaś nadnaturalna katastrofa spustoszyła, zburzyła doszczętnie ziemię i niebo, a jej własne życie uchodzi z niej wraz z nieustannie padającym deszczem. Drzwi przedsionka otwierają się przed idącymi, jakby i one chciały wziąć dziewczynę pod swoją opiekę. Wchodzą do środka i mają już wejść do izby, lecz Lyyli cofa się przerażona i słyszy własny głos:

-- Nie do izby!

Matka nie sprzeciwia się.

-- Nie! Zaprowadzę cię do alkierza! -- szepce jak do małego dziecka, przerażonego upiornym snem.

Lyyli daje się zaprowadzić do alkierza.

— Wstań i idź spać do izby -- odzywa się matka zupełnie innym głosem do Vainó, który śpi w alkierzu. Vainó znika jak cień. Lyyli jest teraz sama z matką, która w dalszym ciągu pociesza ją jak małe dziecko. To robi jej tak dobrze, i tak ją uspokaja. Matka nie przytulała jej w ten sposób już chyba z dziesięć lat.

— Czy wyrządził ci jaką krzywdę? -- pyta matka nie zmieniając głosu i w dalszym ciągu uspokajając ser deczną pieśczętą.

Córka, choć jest tak bardzo wzburzona, rozumie pytanie i szloch przechodzi z powrotem w płacz. A matka powtarza:

-- Powiedz przecie, czy on...

Lyyli, płacząc szepce coś, co mogłoby znaczyć:

-- Nie wiem...

Matka nie dopytuje się więcej i nie próbuje także

uciszać jej płaczu. Siedzi spokojnie na łóżku i spogląda na rysującą się w mroku postać córki.

-- Biedne dziecko! Takie to jeszcze młodziutkie... -- mówi w końcu jakby na pół do siebie. Matka nie potrafiłaby bliżej wytłumaczyć, co obudziło w niej tak tkliwe współczucie, a córka wyczuła tylko serdeczne brzmienie głosu.

Była to najgwałtowniejsza burza, jaką ci wszyscy ludzie kiedykolwiek przeżyli. Wypędziła Lyyli ze spichlerza, do którego wprowadziła się na wiosnę, pełna jak najlepszych nadziei. Burza nie zabiła dziewczyny, ale wyгнаła ją pośród nocy z kryjówki. Lyyli nie będzie mogła już tam nocować. Ta przeprowadzka ze spichlerza, w większym stopniu niż cokolwiek innego stanowi początek nowego rozdziału w życiu dziewczyny.

Szlochanie i płacz słysząc jeszcze jakiś czas niczym wolno milknącą w oddali burzę. Teraz, gdy okoliczności sprawiły, iż wróciła pod opiekę matki, Lyyli ogarnia trudne do opisanie uczucie, że jest znów dzieckiem. Matka jest stara, lecz nie zapomniała jeszcze, co matki zwykły robić i mówić. Całuje nawet córkę, popatrzcie, ta stara niewiasta całuje swoją dorosłą córkę, a ten pocałunek wyzwała coś, co kryło się w bezdennych głębinach serca, coś, co przypomina uczucie, jakie opano wuje śmiertelnie ранego człowieka, gdy mu się zdaje, że w tej ostatniej godzinie ktoś najbliższy spieszy mu z pomocą.

Jakby hamowane dotąd przez pełne wahania niezdecydowanie, w myślach Lyyli zaczynają się teraz wy nurzać szczegóły, które zwróciły ostatnio jej uwagę. Kiedy Vainó przeniósł się z alkierza do izby, słyszała, jak ojciec mówił coś po cichu, czego nie mogła usłyszeć. I raptem Lyyli uświadomiła sobie, że ten głos, który dotarł do niej przez ścianę, nie był gniewny. Przypomniało jej się, jak dawno temu, kiedy była jeszcze małym

dzieckiem, zwykła sypiać za plecami ojca i jak czuła dziwnie uspokajające ciepło, które z niego promieniowało. Jednocześnie w podświadomości dziewczyny kształtuje się powoli przebieg burzy, która tylko co odeszła. Przypomina sobie, jak raz za razem grzmoty dudniły coraz mocniej, jak jeden w nią uderzył, a ona nie mogła uciec ze spichlerza i schronić się w domu, lecz musiała leżeć w dalszym ciągu w kurczowym napięciu. Dużo, bardzo dużo dni upłynęło od chwili, gdy wprowadziła się do spichlerza. Okres ten pozostał jakby za wyniosłym, ciemnym wzgórzem, przez które musiała przejść, zanim tu wróciła. Teraz jednak jest całkowicie pewna, że burza nigdy już się nie rozpęta. Ma ją za sobą. Przetrzywała ją. Jakiś czas jeszcze dreszcz wstrząsa dziewczyną na łóżku. Matka odeszła. Nie miała się już czego bać. Jest coś wspaniałego w przysłuchiwaniu się zamierającym grzmotom burzy, która na pewno już nie wróci. Odchodzi coraz dalej i dalej. Z dachu kapią ostatnie krople deszczu. Słyszy się, widzi, wyczuwa pierwszy brzask ranka. Słońce szykuje się do wzejścia. Jest nieporównanie większe od wszystkich zdarzeń w życiu człowieka. Każdego ranka wstaje z tą samą powolnością i wznosi się ponad wszystko, co żyje, a choć powtarza się to z jednego pokolenia w drugie, nikogo to nie męczy i nikt nie pragnie, żeby było inaczej... Z dachu kapią w dalszym ciągu krople wody, a wczesny ranek, podniósłszy się jakby ze swego poniżenia, wkracza w całej swej okazałości i śmieje się -- może z dopiero co przeżywanego strachu, a może również na powitanie rozbudzonych na nowo nadziei. Zdarzenia, podobne do tych, które zaszły ubiegłej nocy, są częścią życia, bytu... Teraz burza odchodzi w dal, przypominając jeszcze grzmotami o swych odwiedzinach, które, prawdę rzekłszy, były odświętnym zdarzeniem. Dzięki temu bowiem niezliczone, niedostrzegalne i nieuchwytnie drobiazgi,

których nagromadziło się mnóstwo w okresie długotrwałych upałów, zostały przeniesione w oka mgnieniu na właściwe sobie miejsce, tak że teraz mogą być zapomniane na wiek wieków.

Osiedla ludzkie jednak, zagrody i chaty stoją na swych dawnych miejscach. Tylko krople deszczu spadające z rynien zdają się być echem wydarzeń, które rozegrały się w czterech ścianach domu. Teraz z łatwością zasypia ten, kogo przeraziły wypadki nocy, gdyż czuje dokoła oddechy tych, którzy śpią obok spokojnie. Stwarzają one nastrój cudownie nienaruszonej pewności o ciągłym trwaniu wszystkiego, co żyje.

## NOWI LUDZIE

Burza była wyjątkowo gwałtowna i szalała na niezwykle rozległym terenie. Przeciągnęła ponad całą okolicą na wschód od pasma wzgórz, od Korkee aż po Mal-kamaki, i gdy nastał ranek, stwierdzono, że w wielu miejscach położyła zboże, a nawet powyrywała drzewa z korzeniami. Skutki uderzenia pioruna w Korkee okazały się poważniejsze niż przypuszczano w nocy. Kalenica na spichlerzu została zgnieciona, a ze ściany szczytowej piorun oderwał wielkie drzazgi desek. Zdumiewano się, że wyrwy po drzazgach na belkowaniu ściany były całkowicie białe, jakby drewno nie zostało zwęglone przez piorun, a tylko rozszczępione przez zimne promienie. Wszyscy też okazywali przez cały dzień niezwykłą serdeczność Lyyli, która spała w spichlerzu, kiedy uderzył piorun. Ta serdeczność nie wyrażała się naturalnie w słowach ani w czynach, lecz wyczuwało się ją w ogólnym nastroju. Odnoszono się do Lyyli jak do czegoś bardzo cennego a zarazem kru-

czego, jakby uderzył do mej w konkury jakiś bardzo dostojny pan. Tego wszystkiego dokonała burza. Niejednemu mogło to nasunąć przypuszczenie, że zbliża się coś niezwykłego.

Dziwne, że tym razem serdeczność wszystkich w najmniejszym stopniu nie drażniła dziewczyny. Dopiero pod wieczór ogarnęło ją osobliwe znużenie, czuła, że musi odejść na chwilę i zostać zupełnie sama. Było więc zrozumiałe samo przez się, że wspięła się na wzgórze, by zobaczyć jak też tam wygląda po burzy. Wabiła ją ku sobie odświeżona przez deszcz przyroda.

Eliasz również był bardzo wrażliwy na burzę, ale jako dzielny młodzieniec nie dawał tego poznać po sobie. Wiele jednak drobiazgów pozwalało odgadnąć to matce, zwłaszcza że był to jedyne jej syn. Matki jednaków bowiem lepiej znają charakter syna niż swój własny. Gdy grzmiało, Eliasz przebywał chętnie z matką, a jeśli grzmot huknął szczególnie silnie, milkł. Swym milczeniem zdawał się aprobeować zachowanie matki, która zęgnęła się na widok błyskawicy. Gdy burza minęła, odzyskiwał na powrót pewność siebie i ruszał znowu na swe wędrówki po okolicy, z lżejszym jak było widać, sercem.

Tym razem Eliasz nie zdążył jeszcze wrócić do domu, gdy rozległ się wyraźnie pierwszy grzmot i zaczął padać deszcz. Siedział w lesie z pustym sercem, ze wzrokiem bezmyślnie utkwionym w wypaloną przez suszę łąkę. Trawa zdawała się powtarzać w dalszym ciągu dziwne słowa, które usłyszał przed chwilą z czyichś ust tam w trawie pod nisko pochylonymi kłściami tawuły. Potem zaczęło się gwałtownie ściemniać. Istotnie, kiedy siedział na pieńku drzewa i czuł obezwładniające oszołomienie, nadsięgnęły chmury, stłoczyły się i poczermiały. Cała jego zdolność myślenia i odczuwania bowiem



skupiła się zdrewniała na Oldze, którą owe cztery słowa zbliżyły do niego w sposób prawie nienaturalny, aby ją zaraz odrzucić na zawrotną przestrzeń. Przed chwilą Eliasz spoznał na Olgę ze zbyt małej odległości i to stało się bolesnym zakończeniem letniej bajki. Chmury, nie przejmując się wcale tym zerwaniem, zwały się i groźnie pociemniały. Burza zbliżała się szybko. Zaczęły padać pierwsze krople deszczu. Bajka Eliasza nie skończyła się zatem jeszcze, choć myślał tak przed chwilą.

Po powrocie do domu Eliasz zastał u matki starą, otyłą, pomarszczoną żebraczkę. Siedziała na stołku otoczona swymi tłumokami, podobna do starego, oswojonego ptaka w gnieździe. Paplała, śmiała się, mrugała zezowatymi oczami i rozwodziła się nad sprawami innych ludzi tonem świadczącym, że jest gotowa pomóc dawnej gospodyni i jej synowi w zrozumieniu rzeczy, przed którymi oboje wzdrygali się instynktownie. Burza nadciągnęła bliżej, pioruny biły coraz gwałtowniej. W pewnej chwili starucha wspomniała przelotnie o burzy, jak ktoś, kto starając się z zapalem przedstawić i wytłumaczyć jakąś bardzo zawiłą sprawę, porusza również związany z nią drobny szczegół. -- Skąd właściwie wzięła się teraz ta starucha? Grzmoty huczały coraz głośniejsze, a ona siedziała i krzywiła twarz w skomplikowaną siatkę zmarszczek. Cała jej postać potęgowała w osobliwy sposób nastrój wzmagającej się z każdą chwilą burzy. Eliasz, zastawszy staruchę w domu, gotów był przypuszczać, że jest ona jedynym jak dotąd uchwytnym wyrazem rozlicznych przeżyć doznanych tego dnia -- wyrazem, który jakaś niewidzialna siła przysłała jemu i jego matce do domu na kpiny. Starucha musiała zostać u nich, dopóki nie przejdzie burza; nie mogli się od niej uwolnić, prześladowała ich jak zmora nocna. Eliaszowi zdawało się, że żebraczka wie dokładnie, ja-

kie nieprawdopodobne chwile dziś przeżywał, i teraz, w czasie gromów, pyszni się poniekąd swą wiedzą przed matką. Złośliwie się uśmiechając, wypowiedziała jakąś uwagę pod adresem Eliasza i ten uśmiezek, i niezwykle zachowanie się staruchy przypominały mu się jeszcze w wiele tygodni później.

Teraz zostawił ją sam na sam z matką, wyszedł z izby do mrocznego alkierza, w którym już nieraz szukał schronienia; po raz pierwszy -- gdy przyszła w odwiedziny Lyyli, a później, gdy zjawiała się Olga.

Tu nie dochodziły tak wyraźnie odgłosy burzy; nie oślepiały tak bardzo błyskawice, grzmoty nie były tak głośne. Eliasz czuł się tu bezpieczniejszy. Zdawało mu się, że we wszystkim, co się zdarzyło ostatnio, nawet w niespodzianym zjawieniu się staruchy, widać jasno i wyraźnie przeznaczenie tego dziwnego lata. Posuwało się ono w ściśle określonym kierunku, a to, co było w nim tajemnicze, nie napawało go już lękiem. Minione dni, pełne drżącego, rozgorączkowanego wzburzenia, zdarzenia znajdujące swój końcowy wyraz w słowach, które usłyszał tam, w trawie, ciąg stłoczonych chmur, starucha -- śmieszne byłoby chcieć jeszcze przeczyć, że wszystko to stanowi jeden długi łańcuch, w którym wyraźnie odbijały się charakterystyczne rysy tego lata. Sama przez się zrozumiała, przekonująca prawda tego stwierdzenia przynosiła mu dziwną ulgę i przecucie bliskiego, jeszcze piękniejszego wyzwolenia, przecucie, że ten dzień wprowadza go na właściwą drogę, choć niewiele już brakowało, żeby zboczył z niej na manowce. Początkowo przecucie to było zupełnie mgliste, wkrótce jednak przybrało konkretne kształty. Gdy to się dokonało, Eliasz, ledwie tego świadom, przesiedział cały wieczór na sofie pełen cudownie cichej pewności. Od dłuższego już czasu nie zwracał uwagi na burzę -- grzmoty umilkły, starucha również ruszyła w dalszą

drogę. Łącuch wydarzeń, które jeszcze niedawno wydawały mu się tak niebezpiecznie bliskie, odsunął się teraz od niego daleko i tracąc nad nim wszelką moc przestał zagrażać. Czuł się wyzwolony. Nie musiał podążać w kierunku, w którym ostatnio toczyło się jego życie. Burza już nie zagrażała, szalała teraz w oddali, i właśnie tam Eliasz dostrzegł niemal wyraźnie brzemienne w skutki bezdroża, przed którymi uratował się jedynie dzięki temu, że przejrzał ich niebezpieczeństwo. Gdzieś tam, hen daleko, odpływało teraz to wszystko -- straszliwie banalne słowa: „Czy jesteś teraz zadowo lony?“, ciemne chmury, starucha... On sam natomiast siedział tu w bezpiecznym schronieniu, a jego nowe perspektywy na przyszłość przyjmowały wyraźnie coraz rozleglejsze a jednocześnie trwalsze kształty. Spojrzenie w przyszłość, którą ukazywały te perspektywy, odznaczało się taką jasnością, że bez najmniejszego trudu mógł zachować pełne świadomej przewagi opanowanie. Ogarnęła go raptem senność i rzeczywistość, spał całą noc tak twardo, że nie przebudziła go nawet znacznie gwałtowniejsza burza, która rozpętała się w nocy i wywarła na Lyyli z Korkee tak głębokie wrażenie. Obudziwszy się nad ranem, stwierdził natychmiast, że trwa nadal w radosnym, podniosłym nastroju, jaki opanował go w czasie rozmyślań wczorajszego wieczora. Gdy dowiedział się o burzy, która szalała w nocy, uznał to za pomyślny znak, pełen jak najlepszych obietnic. Przesiedział cały dzień w domu i dopiero pod wieczór koło godziny piątej wyszedł i powędrował na południe.. W tych okolicznościach dwoje przyjaciół z czasów dzieciństwa spotkało się znowu -- w trzydzieści dni i nocy po tanecznej zabawie...

Eliasz idzie ścieżką wzdłuż grzbietu wzgórz i nagle, zupełnie niespodziewanie spostrzega Lyyli. Dziewczyna jest jeszcze daleko i spogląda w inną stronę. Czemu na

jego pogodny nastrój pada teraz cień? Czemu nie śpieszy ku niej z jeszcze większą radością? Po obu stronach ścieżki rosną dobrze znane drzewa. Lyyli jeszcze nie zauważyła, że się do niej zbliża. Ale teraz... już go widzi...

Eliasz staje się coraz posępniejszy. Coś ściska mu serce, coś każe mu się zatrzymać. Idzie jednak dalej, idzie ku niej i, choć wewnętrznie czuje się coraz silniej skrępowany niedostrzegalnymi hamulcami, w jego gło się, w ruchach rąk uzewnętrznia się coś jeszcze bardziej niewymuszonego i zdecydowanego niż kiedykolwiek przedtem. Wszystko się rozstrzyga, zanim zdążyli zamienić z sobą słowa czy spojrzenia, a przecież Eliasz mówi jeszcze swobodniejszym tonem:

-- Kogo widzę? To ty jesteś?! -- Dobry wieczór!

Lyyli nie cofnęła ręki, zamieniła z nim nawet spojrzenie, ale było to spojrzenie zupełnie nowego, obcego człowieka. A może znajomej z dawnych lat?...

Eliasz, naturalnie, uświadomił sobie od razu wszystko: tajemniczy łańcuch zdarzeń wczorajszego dnia był dziecinną igraszką w porównaniu z tym, co się zaczyna dzieć w tej chwili. Jednocześnie jednak, posłuszny wewnętrznemu głosowi, zachował się tak, jakby w ogóle nic nie zauważył, jakby było czymś wręcz absurdalnym, że między nim a Lyyli mogła stać obcość. Przedsta wił sobie poniekąd, że Lyyli jest jego żoną, która w tej chwili ma przypadkiem muchy w nosie. On jednak nie chce zwracać uwagi na jej humory, w takich chwilach najlepiej po prostu udawać, że się ich nie dostrzega. Jej nadąsanie nie ma żadnego decydującego znaczenia, nie może nic zmienić...

-- Czy przysiadzimy tu, czy też pójdziemy wyżej?

vtał Eliasz, siadając zresztą od razu.

Lyyli nie usiadła, lecz zaczęła powoli schodzić po <sup>1</sup>1 w kierunku domu.

— No! Co się z tobą stało? -- spytał chłopiec, jakby rozstali się z sobą w najlepszej przyjaźni zaledwie wczoraj, jakby mąż przemawiał do żony. Jego drugie ja obserwowało jednak bezustannie, boleśnie wstrząśnięte, co przeżywa pierwsze, które mówi i działa. Lyyli odpowiedziała spojrzeniem, którego wyraz był tak jednoznaczny jak pokazanie palcem. Eliaz poczuł nagle, że jakoś mu niewygodnie siedzieć, a ponieważ Lyyli schodziła w dalszym ciągu ku domowi, podniósł się i szedł u jej boku. Słyszał swój własny głos, który pytał serdecznie:

— Gniewasz się o co na mnie?

W tejże samej chwili wydało mu się, że szpilką rozjątrzył na nowo krwawiącą ranę. Dziewczyna wyzwoliła się od czegoś, co ją dotąd przygniatało. Gwałtownym krokiem, na wpół biegnąc, podążyła ku domowi, zostawiając go za sobą.

Ach, tak!

Ślady burzy dostrzegało się wszędzie dokoła. Tu leżało przewrócone, rozplątane drzewo, tam widać było wbite w ziemię łodygi kwiatów. Patrzyły poważnie, nic sobie nie robiąc z zamyślonych spojrzeń Eliasza. Wyglądały zupełnie tak, jakby sądziły, że chłopak zabrał się zbyt wcześnie do rzeczy, których nie rozumiał.

Zdarzenia wczorajszego dnia, groźne chmury, burza -- również nocna, nie przeżywana -- wszystko to wynurzyło się ponownie z czeluści, w której pozornie już utonęło. Zdawało się również, że zjawiała się także starucha, by zapytać, czy Eliaz nie przyzna się teraz do tego, o czym ona mówiła już wczoraj...

Eliaz wędrował wolno z powrotem na północ.

## LIŚCIE CIEMNIEJĄ

Elias z Malkamaki był teraz zakochany w swej przyjaciółce z dzieciennych lat, w Lyyli z Korkee, ciemnonookiej dziewczynie, która mieszkała za wzgórzami, na końcu wijącej się wśród lasu ścieżki, Tą ścieżką chodził również często w ciągu tego lata, ściślej -- w parne wieczory późnego lata, gdy ciemniały już liście. Ale dziewczyna zamieszkała na końcu ścieżki, tam za wzgórzem, o której obudziwszy się w pierwszą niedzielę lata myślał, że pozwoli się prowadzić za mały paluszek -- ta dziewczyna wydawała mu się obecnie silna, dojrzała, ważniejsza niż on sam. Do tego obrazu dołączyło się teraz codzienne środowisko Lyyli jako coś, z czym łączą dziewczynę wspólne zapatrywania i co za razem zabiera ją pod swe opiekuńcze skrzydła. Widział ją przed sobą, jak krząta się po izbach domu i na podwórzu. Spojrzenie jej szeroko otwartych, poważnych oczu biegło zawsze gdzieś daleko, ale nigdy tam, skąd patrzył na nią Elias.

Ten nastrój ogarnął go owego wieczora, gdy wysoko na wzgórzu spotkał Lyyli po raz pierwszy od nocy przełomu lata. Zmiana dokonała się w nim w jednym mgnieniu oka, podobnie jak pod koniec lipca dostrzega się nagle jesień, choć w południe słońce przygrzewa jeszcze mocniej niż poprzednio.

Wracając w ten niezwykły wieczór po burzy ze wzgórza, Elias był spokojny, niemal w dobrym humorze. Idąc nucił pod nosem, a jego wzrok był pochłonięty obserwacją różnych szczegółów otaczającej go przyrody, podobnie jak nie omieszka tego uczynić stnteczny, doświadczony człowiek. Ani myślał martwić

tym, co się stało. Sprawa zajęła niejako należne jej miejsce i teraz stała na nim pewnie. Nie była już czymś tym i łatwym, ale nie budziła także obaw, że może

źle się skończyć albo rozplynać. ■--■ Idzie to sobie, ani na mnie spojrzysz. Dobrze jest jak jest...

Istotnie, świat dookoła wygląda pięknie, gdy wie czorne słońce złoci tak jak w tej chwili pnie drzew, rzucając na nie przez gałęzie swe promienie. Trudno wprost dostrzec, któredy promienie przedostają się, ale w każdym razie są... A więc wkrótce będzie już dziesiąta! Godzina zachodu słońca jest podana w kalendarzu i słońce zachodzi rzeczywiście o tej porze... Hm, teraz będę musiał zająć się Lyyli energicznie...

W tej chwili właśnie Eliasza otwierał furtkę. Zauważył przy tym, jak bardzo opaliły mu się ręce. Oparł się o sztachety i stał, pogrążony w myślach. Po tamtej stronie płotu rosły pod drzewami paprocie, ale stratowały je krowy. Wśród paproci sterczał pojedynczy dzwonek, taki sam jak ten, do którego niegdyś, dawno temu, przedwczoraj, przeniósł żartem małego chrząszcza ze stokrotki. Obok smukłej łądygi kwiatu widać było krowie ślady. Wszystko, łącznie z tym, co się stało przed chwilą, zdawało się przemawiać do Eliasza za pośrednictwem ostatnich promieni tego wieczora, podobnie jak wiemy przyjaciel przemawia do swego towarzysza, a później milknie.

Tęm rozważań młodego Eliasza przy płocie było silne, potężniejsze od wszystkich innych uczucie, że przeżył właśnie coś naprawdę doniosłego. Z każdą chwilą uświadamiał sobie coraz wyraźniej doniosłość tego przeżycia. Odczuwał je jako coś wielkiego i nieodwracalnego, na co od dawna już czekał. Albo też -- jakby znalazł prostą odpowiedź, która mu przedtem wcale nie przychodziła do głowy, a która obecnie w spo sób rozstrzygający odpowiadała na doniosłe pytanie. Zdawało mu się, że widzi jednocześnie niezliczone szczegóły swego dotychczasowego życia, że te szczegóły wraz z wszystkimi ludźmi i zagadnieniami, z którymi się

ostatnio zetknął, są niezrozumiałymi rojeniami sennymi, które trzepoczą się w powietrzu, pociągając za sobą jego dawne ja. Ile on przeżył! Przeżył noce pełni lata z niejaką Lyyli, a później z niejaką Olgą... Teraz jednak tylko jedno trzymało go w swej władzy: poważne spojrzenie ciemnych oczu, które nigdy nie patrzyły na niego, a które mimo to miały nad nim niepodzielną moc. Kiedy teraz uprzytomnił sobie to spojrzenie, odkrył w myślach źródło, z którego brało swoją powagę: duszę ludzką. Jej istnienie uświadomił sobie dopiero dzisiaj, czując jednocześnie, że po raz pierwszy znalazł się tak blisko niej. Dziś wieczorem, tylko co... ale... Zarazem jednak coś w sercu mówiło mu, że znał tę duszę od pradawna i że teraz wróciła tylko do niego, po długotrwałym rozstaniu. Ta niejasna świadomość czegoś dobrze znanego obudziła w nim nieokreślone bliżej uczucie zadowolenia, że sprawy między nimi tak się właśnie ułożyły. To, co zaszło przed chwilą między nimi uznał -- mimo wszystko -- za dobrą zapowiedź. Był szczęśliwy, że otworzyły mu się oczy, że -- jak teraz mniemał -- znalazł jeszcze we właściwym czasie duszę, bez której jego własna błąkałaby się samotnie między niebem a ziemią.

To doniosłe zdarzenie zdawał się rozważać w głębokim skupieniu przez cały wieczór. Stał przy płocie, póki wszystko dookoła nie ułożyło się w mroku nocy na spoczynek. O tej porze roku przyroda zasypia natychmiast, ledwie zajdzie słońce; nie wykorzystuje już ciemności, aby dać upust nocnym namiętnościom. W czasie tych nocy cała przyroda śpi, pewna, że znów nadejdą księżycowe noce, kiedy nowe życie rozpocznie z powrotem swą grę wśród niespokojnych światła i cieni.

Eliasz również wrócił do domu, aby położyć się spać. Kochał Lyyli z Korkee, nigdy nie kochał innej. O po-



wadze tej miłości świadczyło najlepiej to, że była ona wynikiem tak doniosłych zdarzeń jak te, które tu opisano.

No tak, miłość jest zawsze poważna, jak w gruncie rzeczy wszystko, co istnieje. Wprawdzie miłość przeżywa swoją wiosnę, kiedy się śmieje, ale nawet pod osłoną śmiechu błyska raz po raz nieubłagana niena wiść. Wiosna miłości mija w oszołomieniu, które zapomina o istnieniu czasu. Później czeka się bezwiednie na dni, które mają nadejść, na burzę miłości, która w deszczu łez ustawia z powrotem na właściwych miejscach wszystkie elementy miłości pomieszane przez namiętności wiosny. Gdy burza się wyszaleje, zaczyna się długi okres poważnej, pełnej rozważa miłości, w której zdarzają się wprawdzie również deszcze i grzmoty, słońce i chmury, ale w której nic już nie może zachwiać odzyskanej raz równowagi. Coś takiego zdarza się niekiedy i ku temu zmierza na początku każda miłość.

Miłość jednak jest wielką próbą, którą nie zawsze wieńczy powodzenie. Może się zdarzyć, że ktoś śpi i nie budzi się, gdy szaleje burza -- i wtedy powtarza się pradawna historia o głupich pannach. Ale czy można winić za to śpiącego? Czy to raczej nieczyste sumienie pozwala mu spać tak twardo, że nie budzi go nawet burza?

Listowie ciemnieje, w mroku późnego wieczora wydaje się czarne.

Eliasz wraca znów ze wzgórza, w trzy dni i noce po poprzednich odwiedzinach. Jest teraz poważny, nie zwraca uwagi na otoczenie. Jego oczy widzą tylko jedno -- tę, od której właśnie wraca.

Przyszedł na wzgórze już o wczesnej godzinie popołudnia, dotarł na miejsce, które tego lata stało mu się tak bliskie. Stał nieruchomy i patrzył na podwórze Korkee, na którym raz po raz widać było kogoś z miesz-

kańców zagrody. Po przejściu kilku burz wieczór był jasny, powietrze lekkie. Już dwa razy dojrzał na podwórzu Lyyli i za każdym razem mimo woli zakasłał. Gdy zobaczył ją po raz trzeci, zagwizdał cicho, choć zdawało mu się przy tym, że ktoś stał za nim i usiłował stłumić gwizd. Lyyli zatrzymała się, spojrzała ku niemu i -- weszła do domu. Eliasza pozostał na wzgórzu aż do zmierzchu. Nie liczył, że Lyyli może przyjść, ale miał niejako uczucie, że była i odeszła zagniewana... Był to jakby dalszy ciąg ich ostatniego spotkania. Siedział, dopóki nie zapadł zmierzch. Potem wstał, patrzył przez dłuższy czas na zagrodę, którą otulał mrok, i wreszcie ruszył w powrotną drogę do domu. W najtajniejszej głębi serca zdawał sobie sprawę, że ten stan rzeczy będzie teraz trwał -- zawsze, że długie zbocze wzgórz dzieli go od Korkee, gdzie niejaka Lyyli wiedzie żywot hen z dala od niego, kierując swe spojrzenie w inną stronę. Świadomość ta nastroiła go poważnie, jak kogoś, kto widzi, że człowiek, którego obraził, nie chce uznać jego skruchy.

Gdy po powrocie do domu położył się do łóżka, nie myślał wcale o zaśnięciu, ale tak mu było najlepiej. Miał wrażenie, że przeżywa w dalszym ciągu chwilę, gdy w głębi oczu Lyyli dostrzegł nowego człowieka. Teraz, w nocy, chwila ta wydała mu się odświętna, tak jakby nie wyczuwał w niej najłżejszego zgrzytu przykrości, jakby była niezmiernie doniosłym momentem spełniania się w ciszy pewnych praw przyrody. A skoro wolno mu było przeżyć taką chwilę, w takim razie był również godzien podobnego przeżycia. Kiedy tak leżał czuwając w ciemności, zaczął coraz wyraźniej uprzytamniać sobie swojskie, dobrze znane rysy w tym no wym człowieku, którego w owej chwili ujrzał w oczach wczyny. Te swojskie i znane rysy pochodziły

iwHyCh, odległych czasów, kiedy mała Lyyli z Kor-

MH

kee przyglądała się obojętnie swymi ciemnymi oczami zabawom Eliasza i Vainó. Potem spotkali się przy kościele i już wtedy pokochali się wzajemnie... Potem nadeszły noce wczesnego lata na wzgórzu, kiedy śpiewał drozd, a życie miało urzekający, poetyczny blask, którego urok pojął dopiero teraz, po wszystkim... W długim, nieprzerwanym, ale tak bardzo odległym łańcuchu zdarzeń Eliasza zobaczył wszystkie przemile spotkania z Lyyli, poczynając od dzieciństwa, a kończąc na radosnych godzinach tego lata. -- A teraz wszystko było tak zupełnie inne. Dlaczego?

Pytanie narzuciło się Eliaszowi po raz pierwszy z całą swą powagą. To rzeczywiście prawda: aż do tej chwili, myśląc o swych stosunkach z Lyyli, nie brał w ogóle pod uwagę tego, co się zdarzyło w noc przełomu lata. Zdarzenie z tamtej nocy nie miało najmniejszego związku z tym wszystkim, co pochłaniało go teraz całkowicie, było czymś, co ulotniło się niejako samo przez się z jego myśli, odeszło gdzieś daleko i ani Lyyli, ani jemu nie wolno o tym wspominać, gdy się spotkają. Ale skąd wzięła się ta przepaść, która dzieliła ich w czasie ostatniego spotkania? Jeśli przyczyną było właśnie to, przepaść jest nie do przewyciężenia. Jego stosunki z Lyyli miały dla niego dotychczas tylko dwa rozdziały: pierwszy to początek, który dawno już minął, drugi -- niezrozumiały stan rzeczy, jaki przeżywali obecnie. A teraz raptem ukazał mu się krótki, ciemny, odrażający rozdział, który dzielił tamte dwa. W ciągu tych pełnych niepokoju godzin czuwania w nocy to, co było niezrozumiałe, stało się nagle w straszliwy sposób jasne.

A jeśli doszła do jej uszu cała historia z Olgą? Wraz z dopuszczeniem tej możliwości zaświtała pewna, słabiotka iskierka nadziei, że możliwe jest ocalenie. Jego myśli przerzuciły się z całą gwałtownością na rozwa-

żania, jakimi drogami Lyyli mogła się dowiedzieć o jego stosunkach z Olgą. Istniało wiele możliwości i jego wyobrażenia rozwijała je wszystkie, przedstawiając mu je z coraz większym prawdopodobieństwem. Jeśli tak jest... to... Po przeżyciach, jakie miał za sobą, myśl, że tak mogło być istotnie, przyniosła mu na chwilę ułgę. Tej bowiem sprawie... dawno przebrzmiałej sprawie z Olgą... mógł się teraz, w ciszy nocnej, przeciw stawić nie czerwieniąc się ze wstydu.- Miał wrażenie, że mógłby się do tego przyznać, że mógłby powiedzieć: Tak, zrobiłem to! Nie będę się tego wypierał. -- W tej chwili Olga nie grała w jego życiu większej roli. Zdawała się trzymać na uboczu i czekać, czy nie będzie musiała wmieszać się w tę sprawę. W łańcuchu zdarzeń była zupełnie nieważną, drugorzędną postacią, która nie miała istotnego znaczenia, a to, co się zdarzyło między nimi, wydało mu się teraz również błahe, jak drobna, miła przywara, którą kochanek dostrzega w swej ukochanej.

Eliasz zatrzymał się długo przy przypuszczeniu, że przepaść między nim a Lyyli stworzyły właśnie jego stosunki z Olgą. Nagle jednak nadpłynęło wspomnienie ponurego rozdziału nocy na przełomie lata. Tym razem narzuciło się ono z druzgocącą siłą. Jeśli nawet

Lyyli dowiedziała się o historii z Olgą, nie można było wymazać tego, co zdarzyło się w noc przełomu la ta. Było to ponure i odrażające -- ale co było przyczyną, że wydawało się takim? Eliasz w myślach jeszcze raz przetrawiał zdarzenie, które mimo całej swej ponurości było tak cudownie podniecające. Z każdą chwilą ogarniała go coraz głębsza pogarda dla samego siebie, a jednocześnie wydawało mu się, że w tamtych okolicznościach nie mógł w żadnym razie postąpić inaczej. Z każdą chwilą przyczyna zasępienia wdą-

zała się głębiej w jego serce, a jednocześnie ukazywała mu się coraz wyraźniej jako nieuchronne fatum.

Tak minął Eliazowi drugi wieczór, podobnie piąty, i tak samo siódmy. Dni i noce przychodziły i odchodziły, a on nie uświadamiał już sobie ani ich liczby, ani kolejności. Niekiedy zdawało mu się, że budzi się ze swych myśli. Wtedy dostrzegał, że słońce świeci ciepło, że jest późne lato, że trawa przybrała ciemną barwę, jaką nadają jej zwykle dojrzałe kłosa i przekwitłe kwiaty. Na miedzach polnych kwitła czerwona koniczyzna, a na zboczu połyskiwały nawłóć i przytulią. Na pniu osiki wypoczywał z rozłożonymi skrzydłami motyl zwany żałobnikiem, przypominając skrawek aksamitu ze srebrną obwódką...

Olga! Oto mija dom! Eliaz stoi przypadkiem w oknie. Widać, że jest zaskoczona wyrazem jego twarzy i jego zachowaniem się i że nie może się z tym pogodzić. Nie wie, o co chodzi, ale wywiera to na niej pewne wrażenie. Idzie do siebie na górę, nie mogąc się uwolnić od uczucia, że istnieje między nimi nierozzerwalna więź, która ich łączy, jakkolwiek oni nie chcą mieć z sobą nic wspólnego. Jakaś część jej istoty tęskni za ponownym przeżyciem tego, co zdarzyło się w ostatni ze skwarnych dni, ale inna, ta do pewnego stopnia starsza, zachowuje się obojętnie. Niedaleki jest już dzień ślubu Olgi, ślubu, który musi jej przynieść wyjaśnienie także tych zdarzeń. Dziewczyna czeka na to nieświadomie. Lubi myśleć o Eliazu, który mieszka w domu swej matki...

Dni mijają. Listowie drzew ciemnieje coraz bardziej. W południe bywa jeszcze gorąco. Świerszcze ćwierkają. Kot, którego Olga przyhołubiła wiosną, niemal już wydorósł. Kotka odpędza go, gdy chce ssać, i unika jego bliskości. Jaskółki przekomarzają się z ko-

tami, które leżą w trawie na podwórzu i wygrzewają się na słońcu.

Jest sierpień. Kończy się nów.

Początkowo księżyc wygląda jak cienki sierp i wędruje po krótkim, niskim torze. Z każdym wieczorem jednak nabiera więcej wyrazu, jego poświata staje się coraz jaśniejsza. Dni stają się krótsze, mrok jest gęściej-szy, a księżyc zaczyna obejmować władzę w swym państwie. -- Rozesłano zaproszenia na ślub. Wesele ma się odbyć za tydzień -- za pięć dni -- za trzy dni. Eliasza od czasu, jak otrzymał zaproszenie, przestał chodzić na południe.

Na trzy dni przed ślubem nastąpiła pełnia. Wieczory są teraz przesycone ociężałym nastrojem późnego lata. Gdy słońce zachodzi, czerwone krawędzie chmur sprawiają wrażenie, że namalowano je na zachodniej części nieba jako akompaniament do muzyki organowej i jest w nich istotnie coś, co przywodzi na myśl piszczałki organów. Świetliste pasy wkrótce znikają, ale w głębi, wśród pól, zieleni się rzadka kępa osik. Między ich pniami połyskują ostatnie odblaski wieczornej czerwieni: jedyne skupienie lśniącej, złotej jasności, która zdaje się ogniskiem dalekiego obozu albo zastygłą resztą błyszczących promieni letniego słońca. W końcu niebo zasnuwa się gęstym mrokiem nocy, który wchłania także jasność, a kiedy przyglądaliśmy się tej scenie, za naszymi plecami wszedł księżyc.

Jest teraz w pełni i włada swym królestwem. Bierze w swą moc młodzieńca, który siedzi na bujającym fotelu. Przez długie dni i tygodnie młodzieniec wędrował stale tą samą drogą. Szedł nią później drugiego i czwartego wieczora po burzy. Od tego czasu minęło już wiele wieczorów, a za trzy dni ma się odbyć ślub w Malkamaki. Ta wędrówka staje się teraz jakby celem życia młodzieńca. Z każdą chwilą umacnia się w nim

przekonanie, że koniec końców osiągnie swój cel. Niekiedy ma wrażenie, że tym celem jest bliski ślub, ale później ten ślub wydaje mu się znów czymś zupełnie drugorzędnym. Teraz jest pełnia księżyca. Wieczorem Eliasz rusza w drogę później niż zwykle i ta okoliczność przydaje jego wędrówce odrobiny napięcia, jakby czekało go coś nowego.

Dopóki księżyc stoi nisko na niebie, jego światło jest słabe, czerwone. Ale wznosi się wyżej, a im dłuższy jest tor, po którym płynie, tym jaśniejsze jest światło. Wznosi się i opada, podobnie jak wznosi się i opada wijąca dróżka. Gdy Eliasz dociera do znanego sobie miejsca na wzgórzu, zagroda w głębi jest tak jasno oświetlona, że dostrzega się wyraźnie dziurkę od klucza i że lazne okucia drzwi spichlerza.

Wszystko, cokolwiek w tej chwili przesuwają się w jego myślach, otula jakby światło księżyca, miękkie i łagodne. Jeśli zrobił coś złego, jego postępek przesłania także blask dobroci, a wszystkie wynikię stąd cierpienia wydają się teraz, gdy patrzy na nie z tego miejsca, cenniejsze niż złoto.

...W każdym razie mogę podejść do drzwi; mogę iść do niej, kiedy śpi... Tam ona teraz śpi... Czuję, że nasze serca zbliżają się do siebie i rozumieją nawzajem... Po raz pierwszy obraca wzrok w moją stronę. Teraz musi się coś stać!

Księżyc płynie w górę i staje się coraz bielszy.

Młodzieniec wchodzi cicho na podwórze. Wewnątrz domu śpią ludzie, ale sam budynek zdaje się czuć. Wygląda jak żywa istota, która nic nie mówi i niczego nie zdradza, patrzy w milczeniu na nieśmiałego gościa. Ten idzie w kierunku drzwi spichlerza. Nieruchomy wzrok domu mieszkalnego podąża za nim. Księżyc również spogląda ku niemu, ale podobnie jak dom nie objawia zainteresowania. Młodzieniec stoi długo bez ru-

chu, milczący, przy drzwiach. W końcu przesuwa delikatnie palcem po okuciu wokół dziurki od klucza. Nie domaga się przez to bynajmniej, żeby go wpuszczono do środka. Chce jedynie pogłaskać drzwi. -- Otacza go powaga nocy. Zagroda -- dzieło wielu pokoleń -- rozciąga się wokół nieporuszona, jakby opowiadała księżycowi jakąś długą historię z bardzo dawnych czasów. Młodzieniec u drzwi spichlerza nie przyciąga ich uwagi. A teraz zwrócił na siebie uwagę. Za jednym zama chem został zburzony cały nastrój księżycowej nocy, pełen pogodnego spokoju. Drzwi spichlerza otwierają się i na progu staje na wpół ubrany Vaino. Obaj młodzieńcy wymieniają nieopisanie niezręczne, zuchwale sztuczne pozdrowienie.

— Lyyli już tu nie sypia?

— Nie! Śpi w alkierzu.

— Ach! Miałbym jej coś do powiedzenia. Ale spotkam ją chyba jeszcze kiedy za dnia.

Minął dzień. Minęła noc.

Ten wieczór jest pochmurny. Elias, położywszy się do łóżka, zaczyna rozmyślać nad swoimi sprawami. Najpierw myśli o ślubie, który ma się odbyć pojutrze. Potem -- o innych rzeczach. Te również wydają mu się teraz zupełnie jasne. Postanawia iść nazajutrz w odwiedziny do Korkee.

#### DŹDŻYSTY DZIEŃ SIERPNI

Nazajutrz jednak padał deszcz. Elias obudziwszy się patrzył to na jedno okno, to na drugie, od jednej szyby do sąsiedniej, ale wszędzie widział równomiernie padający deszcz. Z początku nie pamiętał o poprzednim bezsennym wieczorze i o postanowieniu, jakie wówczas



powziął, później wynurzyło się ono z niepamięci, ale zaraz zniknęło. Pozostał tylko deszczowy nastrój, który nie chciał ustąpić. W tym nastroju było coś stałego, rzeczowego. Dzisiejszy deszcz był wodą, a nie srebrem jak w czerwcu, kiedy słońce często świeci nawet w czasie deszczu. Spływające strugi wody osłabiały wolę. Nie miały w sobie nic orzeźwiającego.

Dzień. To także jest dzień. Jakże różne bywają dni! A przecież zawsze są dniami.

Młody człowiek podszedł znowu do okna i patrzył na dobrze sobie znany widok, a ten zdawał się odpowiadać na jego spojrzenie poprzez deszczową zasłonę, dawał mu do zrozumienia, że czuje to samo, co on, że bańka tego lata dobiega do swego niechybnego końca, a właściwie już się skończyła, skończyła się na przełomie lata...

Eliasz stał przy oknie, patrzył na deszcz i usiłował zdać sobie jasno sprawę, co powinien robić w najbliższej przyszłości, jak ma sobie ułożyć dalsze życie. Czuł, że niebawem będzie musiał powziąć jakąś decyzję; czuł, że pcha go do tego wewnętrzny mus.

Eliasz rozmawiał z matką. Zdarzało się to rzadko, ale jeśli się już zdarzało, obie strony wykazywały zawsze pełną powściągliwości gotowość. Oboje chcieli pod osłoną pozornie błahych pytań dać bezwzględny upust sercu.

-- Wygląda na to -- zaczął Eliasz --\* że pogoda nie dopisze na ślub.

— Hm -- brzmiała odpowiedź matki.

Przerwa.

— Wybierasz się na ślub? -- spytała matka.

— Hm, sam jeszcze nie wiem.

Przerwa, dłuższa od poprzedniej.

-- Moje stosunki z narzeczoną nie są, jak mi się zda je, zbyt dobre -- dorzucił Eliasz.

— Jak to? Powiadają, że ty sam masz również narzeczoną.

— Tak mówią?

— Nie wiem, jak jest naprawdę, ale mówią, że Lyyli z Korkee.

— A co ty byś na to powiedziała, matko?

— Dla mnie to obojętne. Każdy żeni się przecież dla siebie, wszystko jedno, jak się to później ułoży.

-- Tak i ja myślę...

Koniec.

Eliasz wyszedł. Było mu cudownie lekko na sercu. Jego troski bezustannie dotąd narastające, odbierały mu wszelką radość. Dziś jednak myśli nie chciały już więcej zajmować się troskami. Czuł jedynie, że idzie i patrzy na świat, jakby poruszał się wśród obcych ludzi i był przez nich obserwowany. Ogarnął wzrokiem rozciągający się przed nim krajobraz. Dokąd teraz iść? Jak spędzić ten dzień?

-- No, dobrze! Mogę to zrobić --\* zdecydował niby zupełnie przypadkowo i ruszył drogą na południe.

Deszcz przestał padać, ale chmury nadal wisiały na niebie niby granatowoczarne worki. Na południu, gdzie przetoczyło się już słońce, widnokrąg wyglądał jak wysoka, stroma ściana skalna i przypominał człowieka, który płacze, bo go zniesławiono. Natomiast po stronie wschodniej i północnej niebo przejaśniło się. Stwarzało to złudzenie, że widnokrąg przesunął się tu dalej i kiedy Eliasz stanął i spojrzął za siebie, miał wrażenie, że pogodny nastrój ogarnął całe Malkamaki. Unosiły się nad nim świeżość i radość, jak nad człowiekiem, który wyszedłszy cało z niebezpieczeństwa zapomina, że był niedawno w biedzie i że szukał już nawet ratunku u Boga... Eliasz patrzył na niebo, gdyż nigdy jeszcze nie widział podobnego. Sceneria nieba nie powtarza się bo-

wiem nigdy, podobnie jak nastrój człowieka, który spogląda ku niemu.

Eliasz miał teraz za sobą położone wysoko Malkamaki, gdzie dworska panna imieniem Olga ma jutro wstąpić w związku małżeńskie. Pod zwisającymi na południu ołowianoszarymi chmurami leżała wyrobnicza zagroda Korkee. Podążającego ku niej młodzieńca opanoowało nieodparte uczucie, że musi tam przedsięwziąć coś zupełnie niepotrzebnego, a przecież nieuniknionego. Gdy ruszał w drogę, pomyślał o tym przelotnie i powiedział sobie: „No dobrze! Mogę to zrobić”. -- A teraz miał to zrobić. Idąc mógł dokładnie śledzić, jak niebo stopniowo się rozpogadzało. Ołowianoszara chmura od dawna już straciła swój groźny wygląd, rozpływała się. Niebawem ukaże się z pewnością słońce.

Z początku zachował wewnętrzną równowagę. Kiedy jednak doszedł do świerkowego lasu, owionął go zapach wilgotnego mchu, otoczyła głęboka cisza, panująca tu przez cały rok. Wędrowiec znalazłszy się w tej ciszy, która nie była mu wroga, wręcz przeciwnie, pełna zrozumienia dla niego, czuł, że opuszcza go sztuczny spokój. Zauważył, że jest już bardzo blisko celu i przysiadł na przydrożnym kamieniu. I nagle w tym nastroju leśnej ciszy wszystkie jego troski rozwiały się w jednym mgnieniu oka, zniknęły jak kropla trucizny w oceanie. Był sam w lesie, siedział na kamieniu, wśród drzew błyskały łagodne promienie słońca, a w głębi jego serca rozbrzmiewały stłumione dźwięki niezliczonych skrzypiec. Zdawało się, że zbliża się uroczystość święcona wieczorem dnia powszedniego. -- Słusznie! Już blisko ślub. Olga wychodzi jutro za mąż!

Ale popatrz tylko na niebo! Ono nie przemija, nie ucieka jak lato, przejaśnia się tylko i szlachetnieje, gdy nadchodzi jesień... Chmurzy się, płacze, gdy zbyt długo szafowało szczęściem. Ale jego szczęście jest d;ilcl

Niebo jest daleko, bardzo daleko, daje się uchwycić tyl ko jednemu z naszych zmysłów, najszlachetniejszemu... nie jak szczęście kwiatów, które można uchwycić wszystkimi zmysłami. Niebo jest sąsiadem słońca. Teraz dostrzega wreszcie, jakie jest naprawdę niebo.

Takie to myśli przepływały kłębiąc się przez głowę młodzieńca, ale mimo to przed jego oczami igrał w dalszym ciągu, kuśił kuglarskimi sztuczkami złudnie powabny i nęcący obraz, który podsuwała mu miłość. -- Lyyli z pewnością dużo się napłakała. Teraz musi dostrzec w moich oczach moje dawne, prawdziwe ja. Kiedy się u niej teraz zjawię, będzie się śmiała, trochę zawstydzona, ze wszystkich nieporozumień ostatnich tygodni... Wszystko się wyjaśni. Porozmawiamy o wszystkim, a potem inni również będą się tak samo śmiali... Ma się już pod jesień. Pora żniw... Wszystko ułoży się dobrze... Kochanie, kochanie, rozumiesz przecież...

Podniósł się i szedł dalej. Chór niezliczonych głosów wewnętrznych wołał na niego, żeby zawracał. Przed nim wyrastało to, co się zdarzyło: niszczycielskie, niewyciężone, niewybaczalne. A ona, Lyyli, była równie daleko, jak niebo. -- Zawracaj! Zawracaj! Uciekaj sam w inne strony! -- Nie mogę, nie mogę! Muszę to zrobić. Muszę!

Wiedział, że pcha go nieodparcie do tego domu, który wydał mu się teraz bardziej obcy niż kiedykolwiek przedtem. Chór wewnętrznych głosów szeptał mu, że tą próbą pojednania i zadośćuczynienia położy nieodwracalnie wszystkiemu kres. Zdawał sobie jasno sprawę, że tak się stanie, lecz musiało się tak stać. Nie zastanawiał się wcale, co powie i co zrobi. Schodził ku zagrodzie, nad którą unosił się zapach świeżo skoszonego siana. Ołowianoszara chmura zawisła znowu nad jeziorem, narzucając mu swoją barwę i nastrój. Okna mieszkalnego domu połyskiwały niebieskawą czernią. Nad

wszystkim snuła się cisza południa. Teraz nie było już możliwości odwrotu.

Drzwi izby otwarły się i zamknęły jak wówczas, gdy przestępca zostaje wprowadzony na salę, gdzie urzęduje sąd. Oto w dobrze znanym, pełnym spokoju nastroju izby siedzi cała rodzina. Jedna tylko Lyyli stoi sama przy płycie kuchennej. Nie podnosi oczu. Zamienia się w zakłopotaniu parę słów o pogodzie. Ojciec podnosi się i patrzy przez okno, matka siedzi, milcząca i sztywna, Saima przytula się ukradkiem do Marty. Lyyli przegarnia ogień.

-- Miałbym ci coś do powiedzenia w cztery oczy, Lyyli. Nie przesłabyś ze mną do alkierza? A może jest tam Vaino? (Dlaczego o to pyta?)

Jego słowa nie wywierają na Lyyli większego wrażenia niż na kimś, kto jest głuchy jak pień. Milczenie jest teraz tak dokuczliwie przykre, że działa osobliwie uspokajająco na tego, co się ośmielił odezwać, zupełnie tak jakby był zajęty jakąś ogromnie ważną sprawą, która układa mu się pomyślnie.

-- No, idźże przecież, jeśli Eliasz cię prosi! -- mówi ojciec tonem nie cierpiącym sprzeciwu.

Dziewczyna popatrzyła na młodego człowieka z błyskiem przekory w głębi swych pięknych, wilgotnych od łez oczu. Teraz podnosi się także młodzieniec i oto stoi naprzeciw siebie dwoje młodych i zda się, że w żadnym z dwojga nie zostało nawet śladu z tych ludzi, którzy tu przebywali z sobą przed dziesięcioma tygodniami i nosili te same imiona. Właściwie nie pasuje do nich w tej chwili żadne imię. Są po prostu jedynie dwojgiem ludzi.

Dziewczyna czekała, żeby młodzieniec zrobił pierwszy krok. Poszedł więc przodem, najpierw przez drzwi z izby do przedsionka, potem do alkierza, gdzie jego spojrzenie padło od razu na stojącą pod piecem parę

znajomych buczków. Siadł na łóżku... Ta historia wkrótce się skończy... Dziewczyna zatrzymała się na progu, jakby zamierzała zaraz odejść. W jej oczach malowały się barwa i nastrój ołowianoszarej chmury.

-- Nie usiądziesz przy mnie? -- spytał Elias z lekkim uśmiechem i położył rękę obok siebie na łóżku. Po czuł, że tymi słowami i ruchem wzbudził w dziewczynie odrazę.

Nie odpowiedziała, stała milcząca patrząc na jego stopy.

-- Czy nie chcesz mnie już zrozumieć? -- odezwał się ponownie i ciągnął w myśli: To ja tak przemawiam...

Dziewczyna czekała w milczeniu, kiedy wreszcie skończył to sam na sam. Gdy nie przemówił od razu, zrobiła ruch, jakby chciała odejść.

— Jeszcze jedno pytanie, Lyyli: czy nie będziesz miała...

— Czego? -- spytała i było to pierwsze słowo, które wyrzekła. Z jej oczu tryskały iskry ognia.

— Myślę... czy nie będziesz miała... dziecka?

— O, nie! -- rzekła niemal pobłażliwym tonem. Błysnęła zębami i spojrzawszy z ukosa zmierzyła go szybko od stóp do głowy. Spojrzenie jej przypominało roześmianą błyskawicę pośród ołowianoszarych chmur. A potem gestem, który w tej chwili zdawał się nieświa domie podkreślać całe piękno jej kształtnej sylwetki, zniknęła szybko w drzwiach...

Młodzieniec siedział w dalszym ciągu na łóżku, wpatrując się bezmyślnie w łebki gwoździ w drzwiach, w szeregi kafli pieca, w Bogu ducha winne buczki itd. Przez chwilę siedział nie myśląc w ogóle o niczym, ('słyszał, że ktoś wyszedł do przedsiönka. Wtedy i on

\*odniósł i wyszedł. Na podwórzu stał ojciec i zdawał się przyglądać ciężkim deszczowym chmurom nad irem. W głębi stały osiki, łaźnia, spichlerz...

-- Coś mi się zdaje, że. sprawy Eliasza nie potoczyły się zbyt gładko -- rzekł ojciec i spojrzał mu prosto w oczy.

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem, a potem ukazał się na niej dobroduszny uśmiech.

-- Nie, niezbyt... -- odparł.

Ojciec podniósł nagle rękę, jakby chciał przybić i rzekł:

-- No cóż! Najlepiej, gdy każdy trzyma się równych sobie.

Nie przybił jednak, lecz poszedł pod dom, wziął na wpół gotową obręcz na beczkę i zaczął ją wyginać.

-- Może to i racja... Do widzenia! -- rzekł młodzieniec.

Bez najmniejszego wysiłku ojciec powstrzymał się od odpowiedzi.

Znalazłszy się na powrót w lesie, Eliasz poczuł zno wu ulgę. Nucił z cicha i rozkoszował się melancholijną świeżością, którą wyczuwało się w nadchodzącym wieczorze. Niemało zadowolenia sprawiało mu rozpamiętywanie aluzji, które niejednokrotnie wyrażała matka. Spojrzał poniekąd z jej punktu widzenia na to, że syn dawnej gospodyni na Malkamaki chodził do córki zagrodników z Korkee. Do licha! To wcale nie było głupie! Nie, wręcz przeciwnie, było naprawdę piękne i uczciwe. Jest się przecież młodym mężczyzną, szuka się dziewczyny na lato. Lyyli będzie jeszcze z pewnością...

Cha! Cha! Cha! Jutro jest przecież ślub! Wspaniałe zakończenie lata. Wszyscy będą się gapili na Olgę, a ja jestem jej bliższy niż ktokolwiek inny.

Nie opodal dworu zobaczył, że naprzeciw idzie właśnie sam gospodarz z Malkamaki.

— No, jak tam z kupnem działki pod budowę? ■-- spytał, szczerząc białe zęby.

— Myślę, że nic z tego nie wyjdzie -- odparł Eliasz

—

z wesołym, niemal szelmowskim uśmiechem. -- Stara łem się o dziewczynę z tamtej strony wzgórza, ale ta młoda wiedźma nie chce mnie za męża!

Zęby Malkamakiego zniknęły pod czarnymi wąsami. Zrobił taką minę, jakby jego rozmówca pokazał mu bezczelnie język. Wspomnił o gruncie, o którym rozmawiali w wieczór przełomu lata. Wypowiadanyimi słowami wszczynali obaj niewidzialną walkę, do której podjudzała ich jakaś stara uraza, choć żaden z nich właściwie nie uświadamiał sobie, jak mogła między nimi powstać. Malkamaki miał już na języku: „Przyjdzie pan przecież na ślub?” -- ale nie powiedział tego...

Zbliżająca się uroczystość ślubu wisiała już w powietrzu niby niecierpliwe oczekiwanie, a Eliasza czuło przy tym, że wszystko, co się dziś zdarzyło, nie dotarło jeszcze do jego najtajniejszej świadomości.

No cóż! Trzeba było poczekać, aż to się stanie.

## ŚLUB

Olga miała zatem krucze włosy i krucze brwi. Oczy jej były szare, a postać dość korpulentna i silna. Szczególnie korpulentną miała kibić, ale i biustu jej nie brakowało, tak że ogniści młodzieńcy tam właśnie kierowali swe natrętnie spojrzenia. Ponieważ jednak miała zgrabne nogi i szczupłe biodra, jej pełna sylwetka wy dawała się mimo wszystko smukłą.

Tak była ukształtowana młoda kobieta -- jedyne dziecko obecnych gospodarzy Malkamaki -- której ślub wyznaczono na sierpniowy dzień i rzeczywiście w tym dniu się odbył. Dzień był pogodny od rana do wieczora, taki właśnie, jaki powinien być. Po przebudzeniu Olga leżała jeszcze chwilę w łóżku. Gdy powoli wracała do rzeczywistości, spadła na nią raptem świadomość bli-



skiego już ślubu. -- Dziś ma się to odbyć. Słońce jest już dość wysoko na niebie, aby się wszystkiemu przyglądać. Wzeszło, wzeszło nieodwołalnie... To poczucie nieodwołalności kryło w sobie coś niepokojącego a zarazem przykrego. Czula, że ogień uderza jej do głowy, pali ręce. Ogarnęła ją gwałtowna pokusa, żeby wysko czyć z łóżka i -- uciekać, zrobić cokolwiek, w ostatniej chwili, odłożyć ślub pod jakimkolwiek pretekstem, uciec od Bruniusa, nigdy więcej nie pokazać mu się na oczy, wyjechać do jakiegoś dalekiego kraju i tam żyć, zażywając swobody i wolności... Brunius -- myślała -- ma dziś przyjechać, ale w drodze może go spotkać nieszczęśliwy wypadek; z pewnością zostanie zabity i zgruchotany... -- Na chwilę ten urojony obraz tak usidlił Olgę, że dała mu się ponieść, podobnie jak nieraz czło wiek daje się ponieść nadziei na wielką wygraną na loterii. Wyobraziła sobie, jak później w żałobnych szatach i w asyście niezliczonych tłumów będzie odprowadzała Bruniusa do grobu, a ludzie będą patrzyli na jej bujne kształty, które żałoba uwydatni w szczególnie ponętny sposób... Była zadowolona, silniej niż kiedykolwiek przedtem, że nigdy nie pozwoliła sobie na lekkomyślne wybryki.

Nigdy nie pozwoliła sobie... A Eliasz?...

Obraz Eliasza włączył się bez oporów z jej strony w kojące rojenia o pogrzebie. Ogarnęło ją dziwne, nigdy przedtem nie odczuwane pragnienie, aby szukać pomocy u Eliasza, i pewność, że chłopiec mógłby ją uratować. -- ...Eliasz jest silny. Widział mnie nagą wtenczas, w tamten skwarny dzień, i dlatego ma teraz nade mną władzę. Ucieknę z nim. To da się zrobić... -- Raz po raz zmieniała bezwiednie pozycję, jakby chciała uciec przed rzeczywistością tego dnia, a jej niespokojny umysł snuł uparcie dzikie rojenia. -- Zamknąć oczy! Tak... uciekać z Eliaszem!... Oh!... Czas ucieka, a ja muszę przecie/.

wstać... Brunius przyjeżdża... ślub... Jakże byłabym szczęśliwa, gdyby mi było wolno leżeć tu z zamkniętymi oczami... -- Olga rozkrzyżowała ręce, wyciągnęła się i w swej wyobraźni zobaczyła natrętne spojrzenia wszystkich młodych ludzi, skierowane na nią niby reflektory. Kiedy tak leżała z zamkniętymi powiekami, miała wrażenie, że odsunęła się od wszystkiego i schroniła za mur tych niezliczonych oczu. Stamtąd mogła nie widzieć przygotowań do ślubu. Niesiona przez te spojrzenia zdawała się unosić w powietrzu... Zmogła ją na powrót senność, ale zaraz się przebudziła, wystraszona, nie pora przecież na spanie. Zerwała się na równe nogi z łóżka, na którym przespała ostatnią noc jako panna. Niebawem skończy dwadzieścia sześć lat. Przy tym drugim przebudzeniu pierchły wszystkie niespokojne myśli. Odwróciła się ostatecznie od swych letnich wrażeń, którym pozwoliła na moment odżyć raz jeszcze w pamięci. Pozostały niejako w łóżku, które przed chwilą opuściła. Sama natomiast zaczęła przeżywać rozsądnie dzień taki, jakim on był naprawdę.

Do trzeciej jest jeszcze sześć godzin. Na dworze przepiękny dzień późnego lata. Płynie wolno, a przecież niebawem przeminie. W promieniach słońca lśnią liście brzoź, a cienisty obraz rozkołysanych gałązek ślizga się po białych pniach w górę i w dół. Liście olch ukazują srebrzyście obrzeżonym chmurom swą szarą podszewkę. Po zboczu osłoniętym gęstą pokrywą listowia przebiega raz po raz lekki dreszcz. W koronie jednej z jabłoni skacze z gałęzi na gałąź mała, szara ptaszyna, nie przejmując się wcale ślubem dziewczyny, a tuż obok trzepoce się w migotliwym blasku słonecznym motyl o białych skrzydłach. Skądś przyfrunął inny motyl, i wyczyniając w locie woltyżerskie sztuczki, zatrzepotał skrzydłami i poleciał dalej. Światło słoneczne jest ciepłe, kojące, pozwala wykorzystać jeszcze ostatnie chwile tym,

którzy narzekają, że lato skończyło się tak niepostrzeżenie.

Jest już południe. Teraz już nikt nie powinien oglądać narzeczonej poza tymi, którzy pomagają jej przy ubieraniu się. Dookoła żyją ludzie, których nie zaproszono na wesele, ale im także dłuży się ten dzień pełen niecierpliwego oczekiwania. Czekają już teraz na zapadnięcie mroku, na weselny wieczór, kiedy będą mogli uczestniczyć w uroczystości, przyglądając się jej zza płotu...

Jest druga. Przybyli już niektórzy z dalej mieszkających gości. Przechadzają się po ogrodzie, a widok ich odświętnych strojów przepędza z całej okolicy resztki dnia powszedniego. Ktoś nie zaproszony, przechodząc w roboczym ubraniu, wygląda tak niestosownie i nieelegancko, że gościowi wręcz nie wypada zauważyć przechodnia, choćby go nawet przypadkiem znał. Wystrojeni po weselnemu młodzi ludzie, czekając na uroczystość, jedzą porzeczeki wprost z krzaków i płatają sobie wzajemnie figle, ale to figlowanie jest jeszcze bardzo sztywne i ospałe. W czarnych garniturach jest za gorąco na słońcu. Tam dalej stoi dom mieszkalny, w którym stroją teraz narzeczoną. Eliasz stoi z paroma znajomymi i je porzeczeki. Młodzieńcy zachowują się względem siebie uprzejmie, z wymuszoną wesołością.

Jakiś czas nic się jeszcze nie dzieje. Co teraz robić? Jest cudownie piękny dzień, ale to drugorzędna rzecz, pogoda jest prawie tak samo obojętna jak przechodzień w roboczym ubraniu. Nikt już nie zwraca uwagi na dzień jako taki. Dzień... Przez całe lato składają się nań poszczególne zdarzenia. Przeżyło to wielu z obecnych gości, także narzeczonej i wielu innych ludzi, których tu nie zaproszono. Ale te zdarzenia i te dni nie grają już teraz żadnej roli. Gościom weselnym znacznie bliższa jest noc. Mogłoby się zdawać, że ze swą księżycową

poświęta została stworzona tylko po to, aby pogłębić dobre samopoczucie gości; mogą wówczas wychodzić z domu parami, czasem samotnie, i patrzeć na światło księżyca. Wszyscy wiedzą, że na dworze czeka na nich noc, która niby dobra wróżka z bajki, na pewno nie przyniesie nic złego weselnikom... Nikt z gości nie myśli teraz o narzeczonej, jej bliskość wyczuwa się nieświadomie, ona i uroczystość to jedno. Ubierają ją właśnie w najdalszym narożnym pokoju. Wkrótce będzie gotowa. Goście zebrani tłumnie w salonie i innych pokojach rozmawiają z sobą półgłosem. Narzeczonej w wieszaku na głowie stoi w pokoju narożnym i przegląda się w lustrze. Kieruje przy tym, zupełnie przypadkiem, spojrzenie przez okno na równinę doliny i dostrzega tam nie zauważony dotąd dzień pełen rzewnie bladego światła. W myślach rodzą się dziwne skojarzenia: jej dawno minione życie, obecne lato i bieżąca chwila -- wszystko to zamyka się jakby w widoku okolicy, jaki rozciąga się przed nią... Z salonu nadpływają dźwięki skrzypiec: tiri... tara... tiri... Przychodzi po nią ojciec. Gdy stawia pierwszy krok, aby iść do salonu, w jej świadomość wdzierają się nagle imię i osoba narzeczonego. Brunius, Brunius -- jakby teraz dopiero uzmysłowiła sobie, że Brunius to pan, którego pewnego razu spotkała na wiecznym przyjęciu, ten sam, który zalecał się do niej, który do niej pisywał, który tu był na przełomie lata, i który jest obecnie tam, dokąd prowadzi ją ojciec... Brunius to nie męskie imię, lecz określone pojęcie, wiąże się z nim ściśle ramię ojca, na którym się teraz opieram. Co ze mną teraz zrobią w obecności tych wszystkich ludzi? Po to się przecież wystroili i przybyli, aby przyglądać! Czyż nie odbywa się tu obecnie wesele? Kto mnie prowadzi do salonu? Ojciec, niby przychylny, lecz nieuchronny los. Teraz drzwi do salonu otwierają się, tam zebrali się już wszyscy goście...

W drodze do salonu Olga miała dość czasu, aby uświadomić sobie tajemniczą potęgę, której poddani są teraz wszyscy: ona sama, ojciec, goście... Ojciec prowadził ją, szła u jego boku, a spojrzenia gości skupiły się na niej i pchały ją naprzód. Coś podobnego nie powstało nigdy w jej wyobraźni, gdy przychylnie przyjmowała zaloty Bruniusa. Zdawało jej się, że idzie teraz posłuszna cudzej woli. W momencie, gdy ojciec podszedł wraz z nią do Bruniusa, opanowała ją dziwna niechęć do ojca, do całej jego istoty. Sam Brunius wydał jej się natomiast kimś zupełnie bez znaczenia, niezainteresowanym i Bogu ducha winnym. Gdy wkraczała na dywan, na którym miał się odbyć ślub, przypomniała sobie raz jeszcze nastrój, jaki ogarnął ją tego ranka, gdy leżała w łóżku. Nastrój ten zjawiał się tylko przelotnie w jej myśli, zniknął zaraz, ale pozostała świadomość, że Eliasza jest tu w salonie, gdzieś za jej plecami. Ona sama czuje się w tej chwili rówieśnicą Eliasza, straszliwie młodą -- i niewinną jak on. Uczucie to nie opuszcza jej przez cały czas trwania uroczystości ślubnej... Pastor wygłasza długie, rzeczowe kazanie.

A potem całe napięcie rozplywa się, rozbrzmiewa polonez. I pomyśleć, ile przeżyło się już poczynając od jasnych godzin wczesnego ranka! Teraz rozbrzmiewa polonez, płynie niby potok miękkich, urzekających dźwięków, porywa wszystkich tańczących i wyzwala ich z dotychczasowej sztywności. Na dworze złoto wieczornej czerwieni stapia się z dźwiękami poloneza. W ogrodzie pachnie rezedą. Potok dźwięków rozplywa się po wszystkich członkach i swą czarodziejską siłą każe zapomnieć o wieku. Zostaje jedynie to, co wiecznie ludzkie. Teraz zaczęło się wesele.

Po polonezie, w chwili, gdy właśnie zapada zmierzch i zapala się światło, przychodzi najpiękniejszy moment -- pierwszy walc. Jeden takt płynie za drugim, nikt nie

potrafi zgadnąć, kiedy to się skończy. Od dawna już palą się świece. Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Ślub odbył się o trzeciej, ale pierwsi goście przybyli już wcześniej. A świece palą się od dawna. Ma się niemal wrażenie, że wesele dobiega końca. W czasie przerwy między jednym tańcem a drugim nie wyczuwa się już drżącego zniecierpliwienia. Niejednokrotnie zdarza się, że przez cały czas trwania długiego walca nie dostrzega się którejs z najlepszych i najbardziej zapamiętałych tancerek. Wesele jednak ciągnie się nieprzerwanie dalej. Na dworze świeci księżyc.

Ach, tak, księżyc! Jest dziś zupełnie okrągły i kiedy pierwsi goście wychodzą z domu, aby nań popatrzeć, okrągła tarcza dotyka właśnie najwyższej położonego punktu Malkamaki. Króluje tam niby potwornie wielka, czerwona głowa na olbrzymim, czarnym korpusie. Młodzieniec i dziewczyna stoją obok siebie i w milczeniu patrzą na księżyc. Nie trzeba rozmawiać, gdy patrzy się na księżyc. Trudno dociec, jak dalece księżyc rozumie związek łączący młodą parę, ale spogląda na nich oboje ukradkiem tak dobrodusznie i wyrozumiale nieporuszony, że niechaj sobie patrzy do woli, ile tylko chce! Młodzieniec otoczył dziewczynę lewym ramieniem. Ona chwyta jego dłoń, jakby nie chciała dopuścić do tego, żeby ta ręka miała przepędzić z jej twarzy jasność księżycowej poświaty. On to rozumie i stara się być opanowany. W salonie muzyka milknie, ale zaraz czyjaś ręka uderza parę wstępnych akordów i mocny głos kobiety zaczyna śpiewać. Młodzieniec i dziewczyna stoją na dworze w świetle księżyca i słuchają. Są sami. Śpiewaczka nic o nich nie wie. Ramię młodzieńca nie wycofuje się z bioder dziewczyny, a jej dłoń, która miała przed nim bronić, spoczywa w istocie rzeczy w jego dłoni. Księżyc także słucha pieśni śpiewanej w salonie. To wesele w Malkamaki. Śpiew zda się płynąć ponad

wszystkim nie wiadomo skąd. Wszystkie inne głosy w weselnym domu milkną i przez chwilę obojgu młodych, przysłuchujących się na dworze, mogłoby się zdawać, że w całym domu nie ma nikogo z gości, a pieśń jest śpiewana wyłącznie dla nich, gdzieś daleko za domem. Bezwiednie próbują zgłębić, jaką to prawdę mówi im ta pieśń... Nadarza się teraz sposobność, aby przekonać się, jakie jest naprawdę szczęście. Szczęście jest poważne, jasne i nie zna granic w czasie.

Wesele trwa dalej. Jest to jedna z tych chwil, które zdają się pełznąć. Nastrój weselny znalazł się w silnie sfalowanej, stromo opadającej dolinie. Następuje przerwa.

Oblubienica i oblubieniec siedzą obok siebie i milczą. Eliasz stoi samotnie przy drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Patrzy na młodą parę. Przygląda się oblubienicy, ale w myślach widzi ją przed sobą w sukience, którą miała na sobie w ów skwarny dzień. Ma w ogóle wrażenie, że ten moment uroczystości weselnej zajmuje to samo miejsce, co okres upałów w czasie ubiegłego lata. -- Oto siedzi dziewczyna, która należała do mnie, która powiedziała wtenczas do mnie te cztery słowa. Mógłbym niemal przysiąc, że i teraz powtarza je bezdźwięcznie myśląc o mnie. Taka to więc jest istota! Dawniej nie miałem nigdy sposobności, aby się jej tak przyjrzeć... Lyyli -- gdzie może być teraz Lyyli? Jest gdzieś w ciemnościach, które otaczają to miejsce, gdzie odbywa się obecnie wesele. Lyyli! Jest gdzieś poza tym domem, a ja jestem tu, w środku. Nikt jednak z obecnych nie wie, co mi się przydarzyło wczoraj w Korkee. Gdyby oznajmiono to nagle wszem wobec, wszyscy skoczyliby ze swoich miejsc i zaczęliby mnie szukać. Lyyli jest gdzieś na zewnątrz, czeka niejako na to, abym raz wreszcie rozprawił się z tym, na co ona czeka. Taka jest Lyyli, którą poznałem dopiero

w ostatnich dniach, a która wczoraj ciskała na mnie gromy oczami i ustami, gdy tymczasem jej prawdziwe ja nie drgnęło przez cały czas pod tą zewnętrzną powłoką, jakby chciało mnie zganić za moje nieszczęście, za to, że dotąd nie zakończyłem ostatecznie tego wszystkiego... A teraz siedzą tu ospali ludzie i nie zdając sobie sprawy, trwonią bezcenny czas... Teraz oblubienica powiedziała coś oblubińcowi. Odpowiada jej. Pod jego krótko przyszyżonymi, ciemnymi, męskimi wąsami błysnęły dwa białe zęby. I ja tę oblubienicę trzymałem w ramionach...

Olga rzekła do Bruniusa:

— Jak ci się podoba Eliazsz?

— Kto?

— Młody Malkamaki.

W ten sposób pyta się oblubienica swego oblubińca o chłopca, o którym obydwójce słyszeli piosenkę w wieczór swych zaręczyn.

Oblubieniec odparł:

■-- Ma wygląd chłopca.

Charakterystyczne, że do tej pory nie zamienili z sobą ani jednego słowa na temat Eliasza. Najintymniejszą chwilą w ich dotychczasowej znajomości był moment, kiedy po przyjeździe Bruniusa w najkrótszą noc roku Olga zjawiała się w jego pokoju. Od tego czasu całkiem nieświadomie unikali rozmowy o piosence Taavego i o samym Eliazszu. Piosenka, jej treść, były dla Bruniusa niejako wytworem tego obcego środowiska, częścią tego wszystkiego, z czym on sam nie czuł się w najmniejszym stopniu związany, ale co przeraźliwie wyczuwa się w jego narzeczonej. I z tego właśnie powodu narzucało się to w ostatnim czasie jego świadomości nieprzyjemnie często, jakby chciało go upomnieć, że powinien się tym zainteresować. On osobiście zgodnie ze swymi upodobaniami nie czuł absolutnie potrzeby zbliżenia się



do tego świata. Teraz jednak złączył się z Olgą -- ostatecznie i na zawsze -- nie tylko ślubem, lecz również głębszymi więzami -- i tam, gdzie znajduje się jego dusza lub umysł, tam jest również dusza i umysł Olgi z tą nieprzewycięzoną skłonnością, która gubiła się w nieznanym: nierozzerwalną wspólnotą, łączącą dziewczynę z tym obcym światem, w którym wobec braku jakichkolwiek zasad były możliwe wszelkie niespodzianki i z którego najbliższym przedstawicielem był w jego pojęciu właśnie Elias. Dlatego też znalazł się w bardzo drażliwej sytuacji, gdy musiał wyrazić opinię o Eliaszu, a gdy użył słowa „chłop”, miał wrażenie, że znalazł się krępująco blisko tej obcej dlań Olgi i że niepotrzebnie potraktował całą sprawę jako coś, co dorosło do niego. Olga natychmiast to wyczuła.

— Żebyś wiedział -- rzekła -- co my oboje... kiedy ciebie nie było...

— Mówiła o tym przecież piosenka -- zauważył z uśmiechem Brunius.

Sytuacja była wręcz nie do wytrzymania, ale na szczęście Olga umilkła. W stosunku do Eliasza Brunius nie czuł właściwie nic ponad to, że z pewną niechęcią zauważył młodego człowieka wśród innych gości. Wprawiło go poniekąd w zdumienie, że młodzieniec mógł zjawić się tak spokojnie i swobodnie na jego weselu. Ale to, co Elias i Olga mogli z sobą przeżywać -- nie zaniepokoi Bruniusa nigdy przenigdy nawet w jego najtajniejszej głębi. Nie musnęło dotychczas nawet naskórka jego świadomości. Teraz jednak, gdy związał się z Olgą, miał bezustannie uczucie, iż te sprawy, które zakłócały mu spokój właśnie dlatego, że były tak niepotrzebne i niepojęte, i które tkwiły w nim nadal jako bezustannie dokuczliwa, nieokreślona bliżej zadra, istniały jednak naprawdę. Niemniej wiedział, że jakaś

częstka Olgi -- chociażby zupełnie znikoma -- jest z nim ściśle zespolona.

W takich okolicznościach płynie życie Bruniusa i tak będzie się toczyło, gdy wyjdzie stąd po weselu. Wesele trwa. Eliasz zniknął ze swego miejsca przy drzwiach.

W salonie śpiewa kwartet. Adwokat, który był tu na wiosnę, śpiewa basem. Olga siedzi obok Bruniusa, ale w tej chwili zapomniła o nim, widzi i słyszy, rzecz osobliwa, tylko adwokata. Dotychczas nie zwracała na niego baczniejszej uwagi. Noc weselna trwa jednak już dość długo i wszyscy goście ulegli nastrojowi uroczystości. Nikt już nie pamięta, że poprzedzał ją zwykły dzień roboczy, a tym bardziej nikt nie myśli, że po niej nastąpi znów zwykły dzień. Wszyscy czują się jak w podróży. Powoli podążają do pewnej mety, z której już nie wrócą. Nie wrócą nawet do punktu, w którym rozpoczęli podróż: do kłopotów ubraniowych, do światła wczorajszego dnia. Od wielu już godzin atmosfera nie jest szczególnie ożywiona, nie zmienia się też po północy, wszystko jakby zatrzymało się na tym samym poziomie, który osiągnęło przed północą. Liczniejsze zgromadzenie ludzi stanowi materiał, który ma tę właściwość, że sta je się odświętny. Każda bowiem uroczystość zawiera w sobie tajemnicze, nieuchwytnie drożdże, zupełnie jak wino, w którym wywołują one fermentację. Uczucia wznoszą się na powierzchni jak perlące się, rozpryskujące pęcherzyki. Chwila jest pełna nastroju, nie ma w niej nic z zapobiegliwego pośpiechu. Rozbrzmiewa basowy głos adwokata, płynie swobodnie nie zastanawiając się, czy ktoś go w ogóle słucha. Zupełnie jakby czterech śpiewaków wyzwoliło się ze swej ludzkiej powłoki i jakby zebrani wokół nich słuchacze znajdowali się również pod przemożnym urokiem dźwięków. Wśród nasyconej światłem jesiennego księżyca nocy siedzi Olga i nie spuszcza oczu ze śpiewającego adwokata: pod

dobrze sobie znaną światową postacią tego człowieka dostrzega oczyma duszy coś, czego nie potrafiłaby w żaden sposób wytłumaczyć. Wraz ze śpiewem przenika w tajemną głąb jej istoty coś niewypowiedziane, wzruszająco jasnego. W myślach może bez znużenia, ale i bez podniecenia bawić się swymi wszystkimi przeżyciami, wszystkimi. Wie, że w tym wszystkim, co zrobiła albo też chciała zrobić, nie ma nic złego, choć szep tało jej to czasem sumienie. Nie jest złe, gdyż stanowi część tego, co składa się na wszystko. Nie potrafi tego wytłumaczyć, ale widzi to wyraźnie w śpiewającym adwokacie. A może to tylko jej oczy spoczęły na nim przypadkiem, gdy tymczasem myśl omija go i wybiega daleko, daleko w nieznanne, z którym wiąże się wszystko: cała historia jej życia, ślub z Bruniussem, Eliaz...?

Śpiew spowodował ponowny nieznacny wzlot, nastrój podniósł się na najwyższy poziom, jaki zdołano osiągnąć w czasie wesela. Potem zabrzmiał na no wo walc, stłumiony i ostrożny, między jego taktami prześwitywała już bliskość poranka. Goście jednak nie mieli jeszcze zamiaru wyjeżdżać. Oblubienica mogła zniknąć na chwilę i nikt tego nie zauważył. Wycofała się do jednego z najdalszych pokojów, do którego goście nie mieli wstępu i nikt nawet przypadkiem nie zajrzał. W pokoju panował nastrój domowego zacisza, który przepędzono z salonu. Było tu ciemno, ale na dworze, nie opodal okna, przebiegała ostro zakreślona granica między cieniem domu a skąpanym w świetle księżycy ogrodem. Olga schroniła się w zacisznym pokoju nie zdając sobie właściwie sprawy, dlaczego to czyni, a potem porwana nagle przez równie niedorzeczny, niezrozumiały w swej istocie nastrój, prze-kradła się chyłkiem do domu dawnej gospodyni, gdzie siedział samotnie Eliaz...

Do alkierza wdziera się przytłumiony zgiełk tańca, niepodobna rozróżnić, co właściwie tańczą. Chyba to jednak polka.

Na sofie w ciemnościach siedzi samotnie Eliasz. Z daleka dostrzega się tylko biały gors koszuli. Przeżywa właśnie podobną chwilę wewnętrznego zatopienia, jaką Olga przeżywała przedtem przy śpiewie kwartetu w uroczyscie oświetlonym salonie.

Napatrzywszy się oblubienicy i oblubieńcowi ze swego miejsca przy drzwiach bardziej niż było to w zwyczaju, opuścił cichaczem salę weselną i wymknął się do swego alkierza. Na podwórzu ujrzał całą zgraję gapiów, między innymi poznał także brata Lyyli, Vainó... Ubrał się trochę lepiej. Eliasz natomiast miał na sobie frak z głęboko wyciętą kamizelką. Wpadli na siebie twarzą w twarz, ale mimo tak bezpośredniego zetknięcia nie zamienili z sobą ani spojrzenia ani nawet milczącego ukłonu. Eliasz uważał, że Vainó przyszedł tu całkiem niepotrzebnie. Natomiast gapie stojący przy płocie, zgadli od razu, że on sam jest jednym z weselnych gości, nie rozumieli jednak, dlaczego wraca do domu matki. Niejeden może by to zrozumiał, gdyby wiedział, jak rzeczy stoją.

Eliasz wszedł do alkierza i usiadł na sofie.

W ciszy alkierza uświadomił sobie z całą wyrazistością, że Lyyli z Korkee nie należy do sfery ludzi, którzy się tam w tej chwili bawią na weselu, a właściwie on także. Pomyślał również, że jest coś przygnębiającego w tym, że Vainó stoi tam na dworze między gapiami, że w ogóle istnieje. To nie znaczy, żeby miał nienawidzić brata Lyyli. Czuł również, że Vainó także nie żywi do niego niechęci. Mimo to ciążyła mu jakoś myśl, że Vainó istnieje. Może właśnie dlatego, że nie żywili do siebie wzajemnie wrogich uczuć.

Wszystko inne odczuwał tylko jako nastrój, jako

stan przejściowy między dniem roboczym a świętem. Nie sprawiało mu to jednak przykrości.

Jednocześnie czuł podświadomie, kto się zjawi. Drzwi uchyliły się lekko i na progu stanęła Olga -- powiedzmy: prawdziwa Olga. Musiała coś powiedzieć, gdyż nie umawiali się na to spotkanie ani spojrzeniami, ani jakimkolwiek innym znakiem. I dlatego rzekła:

-- Siedzisz tu?

Eliasz nie odpowiedział, nie uważał tego za potrzebne. Białe gors jego koszuli błyszczał w ciemności i Olga w welonie na głowie usiadła obok niego na sofie. Sie dzieli nie odzywając się do siebie, bez ruchu, podobnie jak nieraz siedzi się zwyczajnie obok siebie. W gruncie rzeczy żadne nie czuło się uroczyście nastrojone. Byli dalecy od wszelkiego wspomniania i wszelkich tęsknot, nie myśleli: Oto jest przy mnie Olga! -- albo: Oto jest przy mnie Eliasz! -- Siedzieli prawie tak samo jak zwykli siedzieć dobrze wychowani narzeczeni w liczniejszym towarzystwie: obok siebie, ale właściwie nie myśląc nawzajem o sobie. Nie zrobiło na nich również żadnego wrażenia niespodziewane zjawienie się dawnej gospodyni.

-- Nie wstyd wam! -- rzekła, stając na progu. -- Przypomniało to jedynie Oldze, że wkrótce opuści Mal-kamaki i że dzięki temu nie potrzebuje rumienić się ze wstydu przed dawną gospodynią. Eliaszowi było zu pełnie obojętne, że matka widziała ich razem. Obojętne do tego stopnia, że przysłoby mu z łatwością wstać i zapytać się: „Ach, przepraszam, coś powiedziała?” -- Siedział jednak i przysłuchiwał się melodii tanecznej, którą z daleka brał za polkę, graną na zakończenie wesela. Ranek bowiem zaczął już na dobre wyprawiać gości...

I tak oto skończyło się wesele, a dużo rzeczy nie zostało opisane. My, którzy obserwowaliśmy wszystko jako ludzie niezainteresowani -- mamy jeszcze ostatnią okazję odmalować nieco dokładniej nastrój... Co to mówiło się o pierwszych pocałunkach w ową noc wczesnego lata, gdy na czubkach świerków pełno było młodych szyszek, a w powietrzu drżała pieśń drozda-śpiewaka?... „Duch małej polanki był subtelny i nie chciał się im dać poznać. Teraz, jeszcze o tak późnej porze, powietrze było zupełnie jasne i ciepłe, tak jakby to ciepło i wszystko, co zdołały uchwycić zmysły, wypływało z łona rozwijającej się ziemi, która zaczęła właśnie budzić się do życia. I tak wolno im było spotkać się zaraz pierwszego wieczora, mogli w swych błyszczących oczach oglądać przejrzystą, kiełkującą noc niedzieli, pod której osłoną przybyli na wzgórze, wcale się przedtem nie umawiając, i usiedli obok siebie na trawie...” -- Coś w tym rodzaju mówiło się o owym wieczorze.

Na zakończenie jednak jeszcze kilka słów o księżycu w tę weselną noc. Gdy odpłynął trochę od najwyższego punktu wzgórza Malkamaki, nie wyglądał już tak krotochwilnie jak przedtem. Spoważniał, podobnie jak poważnie nieraz największy figlarz. Jeśli przypomnimy sobie, jak wyglądał przedtem, to przyznamy, że teraz, gdy stoi po drugiej stronie nocnego sklepienia, nie ma wcale żartobliwego wyrazu. Jest raczej zamyślony. Zresztą w tej chwili nawet przygoda czarnego chrząszczyka nie wydałaby się nam krotochwilna... W tym oświetleniu nic nie jest śmieszne. Światło księżyca uwydatnia przede wszystkim znikomość. W jakiej przepastnej głębinie zniknęła wiosenna czerwień świerkowych wierzchołków? Gdzie podział się nastrój, który cię przepełniał, gdy czytałeś rozdział „Pierwsza noc letnia”? Czy nie przypuszczasz, że ci wszyscy lu-

dzie, których łączyły w lecie tak bliskie wzajemne stosunki, dawno już pomarli? Czy nie zdaje ci się przypadkiem, że wszystkie te wzajemnie wymienione spojrzenia, wszystkie te zdarzenia, te rozliczne myśli, wiosny i jesienie, te miasta i pustkowia, i tak dalej, i tak dalej, aż do nieskończoności -- czy nie zdaje ci się przypadkiem, że wszystko to łączy się w jedną jedyną, wyzwoloną ze swych materialnych związków, falę myśli i uczuć i że fala ta płynie między księżycem i gwiazdami hen w przestworzach, gdzie nie istnieje ani czas, ani przestrzeń?

Sądziś, iż dostrzegasz coś z tego, gdy wyobrażasz sobie, że z zamkniętymi oczami siedzisz na wzgórzu w świetle księżyca z tego ostatniego rozdziału. Twoje ciało jest zimne i z pewnością już wkrótce wyobrazisz sobie, że szukałeś schronienia w błękitnym kielichu dzwonka i patrząc z niego, wyolbrzymiałeś na własną miarę ten mglisty świat w miniaturze. I wcale przez to nie postąpiłeś niewłaściwie. Siedząc w środku kielicha widzisz poprzez źdźbła i kłosa ziemię, powietrze i wo dę, a na sklepieniu nieba żarzący się wszechpotężny ogień...

I właśnie w podobnie nieokreślonej chwili jednego lata splotły się razem losy kilkorga ludzi w pewnym rozdziale rozwoju wypadków. Chłopiec, ogorzały od słońca, siedział na wierzchołku sosny w pobliżu niewielkiego urwiska, jedna z dziewcząt, ubrana w coś czerwonego, szła wąską dróżką polną, rozkwitłą fioletowymi kwiatami, a hen daleko, gdzie słońce tak mocno nie świe ciło, inna dziewczyna siedziała przy krosnach -- obok buczał trzmiel i tykał jednostajnie zegar, a z oczu jej promieniowały wieczna tęsknota i smutek -- najważniejsze rysy ludzkiego istnienia.





## SPIS RZECZY

|                                 |   |     |
|---------------------------------|---|-----|
| Powrót do rodzinnego domu ..... | 5 |     |
| Wiosna Lyyli z Korkee           |   | 8   |
| Początek                        |   | 24  |
| Pierwsza noc lata               |   | 27  |
| Niedziela                       |   | 46  |
| Upuszczony fiołek               |   | 52  |
| Miłość i miłostka               |   | 64  |
| Znowu niedziela                 |   | 71  |
| Najkrótsza noc                  |   | 79  |
| Na spotkanie przełomu lata      |   | 87  |
| W słonecznym blasku             |   | 106 |
| Trzydzieści dni i nocy          |   | 118 |
| Burza                           |   | 130 |
| Nowi ludzie                     |   | 137 |
| Liście ciemnieją                |   | 144 |
| Dżdżysty dzień sierpnia         |   | 154 |
| Ślub                            |   | 162 |

*Printed in Poland*

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE  
POZNAŃ 1966

Wydanie I. Nakład 10 000+258 egz. Ark.  
wyd. 8,1; ark. druk. 11,23. Oddano do  
składania 12 III 1966. Podpisano do  
druku i X 1966. Druk ukończono w  
październiku 1966. Papier druk. mat. ki.  
IV, 60 g 82X104 z **fabryki w Kluczach**.

Zamówienie nr 619/66 Cena zł 14,-

ZIELONOGÓRSKIE ZAKŁADY  
GRAFICZNE Zielona Góra, Plac Lenina  
12/15 Zam. 1355 P-2